

HETMAN UKRAINY,

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.



~~Państwowe Gimnazjum i Liceum Pedagogiczne~~
~~w Katowicach~~
LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.

821.162.1-3M.6



NS 13593¹



77

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XVIII.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.
TOM SZÓSTY.

HETMAN UKRAINY.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1863.

DWOM KAROLOM

RÓŻYCKIEMU I SIENKIEWICZOWI

ŻYJĄCEMU I ZMARŁEMU

przypisuję to nowe wydanie mojej powieści o Janie Wyhowskim, Hetmanie Ukrainy. — Przypisuję, nie zażądawszy wprzód ich przyzwolenia. — Zmarły mi go dać nie może, a pozostała wdowa i trzech synowie, spodziewam się, nie wezmą mi za złe tej oznaki wysokiej czci, dla pamięci męża myśli i pióra Ukrainy; w ostatnich czasach Polski powstającej i cierpiącej na wygnaniu, że tak się wyrażę, jedyne go męża Stanu. — Gdyby go był Jezuityzm nie wyparł ze steru zachodów i usiłowań Jagiellońskiej pracy, od mistrzowania wychowaniem potomków Jagiellońskich, byłibyśmy mieli Naczelnika do kierunku naszej świętej sprawy, króla do podniesienia strąconej korony — i rzecz ojczyzna nie byłaby szła jak dziś na frymarkę Generalów, chcących władzy i podatków, a nie Polski.

Żyjący byłby mi może odmówił przyzwolenia, bo on już obumarł dla rzeczy ludzkich i dla świata, a szczególnie dla świata Kozaczego, świata Ukrainy — ale ja mimo jego przyzwolenia; wszędzie i zawsze hołdując czią wspomnienia i czią zasługi mężowi serca i szabli naszej Ukrainy. — Jam mu wiele winien, on był moim Mistrzem, kiedy jeszcze był Kozakiem, Ukraincem. — Wdzięczność i cześć temu serdecznemu Dowódcy. — I na tego jak się uwzięli Jezuici, naprzód go zlacinnili, a potem żyjącego pchnęli w obszar duchów marzących, żeby nie dotykał ziemi, a przez to nie dotknął nieba Ojczyzny.

Ci dwaj mężowie na jednej ziemi się porodzili, na tej samej bujnej Ukrainie, na której się urodził Jan Wyhowski i tak jak on padli ofiarą Jezuityzmu i Jezuitów.

Życie Jana Wyhowskiego dzieli się na trzy wielkie prawdy, które jeszcze dziś wcielone w życie, byłyby zbawieniem sprawy polskiej.

Kiedy był jeszcze pisarzem Kozaczyzny przy Hetmanie Bohdanie Chmielnickim — po przegranej bitwie pod Beresteczkiem, kiedy Chmielnicki z rozpacz i ze złości zapijał się i jęczył przekleństwa na szlachtę polską i pisał na Lachów manifesta i potępienia, jak dzisiejsi demokraci na szlachtę — i nie mógł postawić jednego pułku do boju, Jan Wyhowski napisał wicie: Od Dniepru i Nizowych stepów, do Dniestru, do Karpatów, po Błucz i Bug, na całej Ukrainie, każdemu być Kozakiem, i rozesłał po grodach i siołach, po stepach i borach.

Dwa miesiące nie upłynęło, a Chmielnicki szedł na czele stutysięcznego wojska różnych młodców mazać klęskę pod Beresteczkiem sławną umową pod Białącerkwią.

Nazwa Kozak wówczas znaczyła to samo co szlachcic w Polsce — był wolnym, posiadał futory i chłopów nawet, bo jak najwyraźniej znajdujemy: Kozak rejestrowy, czyli Kozak — i chłop kozacki urodzony na kozackiej ziemi. Kozak był tedy człowiekiem uprzywilejowanym w społeczeństwie i w oczach prawa, przez swoją własną zasługę, albo przez urodzenie z zasłużonego rodu, Kozaczyźnie.

Jan Wyhowski, nie jak dzisiejsza demokracja przez swoje gromady Humań i Grudziąż — przez swoją centralizację, chcącą szlachtę znieszlachcić a schłopić — albo wymordować, i trupami zasypać przedział, jaki jest między szlachtą a chłopami, ale jak człowiek rozumu i serca do obrony kraju skozaczał wszystkich mieszkańców nazwą, a tem samem prawem i przywilejem na zadatek przyszłej zasługi.

Takby i dziś powinno być, gdyby kto wchodził na polską ziemię z serdeczną chęcią odbudowania zwalonej Polski, i posadzenia na tronie polskim króla polskiego. —

Dość, żeby rozesłał wicie:

W imię Króla polskiego, Wielkiego Księcia Litwy, Rus i Prus kto siądzie na koń, kto chwyci za broń do służby Ojczyzny, ten szlachcicem — kto zostanie za piecem, a ma młode lata i hoże zdrowie, ten wskazany na zostanie chłopem. —

Niech cały naród zostanie szlachtą, daj Boże —

Wszystkim dać a nikomu nie nie wydzierać, na tem rozum. —

Wtenczasby łatwo poszło nadanie własności, urządzenie stosunków, dzierżaw, robocizn i całego szeregu ustaw i praw, tej kwadratury koła dla demokratów. Równi przez zasługę dla Ojczyzny, zdobędą się na nowe poświęcenia, na nowe ofiary, bo będą widzieli, że nie nikomu się nie wydziera, a wszystko każdemu się daje. Ojczyzna dać winna i szlachectwo i własność tym, co jej służą. —

Tak sądził Jan Wyhowski, bo nie był członkiem demokratycznej centralizacyi, ani Jeneralem manifestacyi prowokującej podatki na rozpustę życia, żeby nią podniecać rozpustę myśli i rozpustę czynów swoich i swoich zwolenników, ale był mężem Ukrainy. —

W Kozaczyźnie każdemu być Kozakiem. —

W Polsce każdemu być Szlachcicem. —

Kiedy po śmierci Bohdana Chmielnickiego został Hetmanem Wszej Ukrainy i Car Aleksy zapraszał go do wcielenia się, czy do związania się w Wielkie Sławiańskie Państwo, na odpowiedź wezwał Hana Tatarskiego i Króla Polskiego, i szedł z ich poczetami przeciwko Moskwie. —

Przybyło do obozu Hadziackiego mnóstwo wygnańców Kozacych; niechętnych polityce Chmielnickiego, niechętnych Moskwie, ludzi dawnej zasługi i niezaprzeczonej wartości. Przyjął serdecznie, po bratersku, ale dowództw im żadnych nie dał i wezwał do dzieła starych pułkowodców stojących na czele pułków, już tworzących wojsko białego Cara. I przyszli Neczuje, Lebiedy, Jakobuwscy, Iskry, Koczubeje na czele pułków. — I jak był stworzył swoją wicią pisarską stutysięczne wojsko Chmielnickiemu, tak i teraz stutysięczne, dzielne, wprawione wojsko przyprowadzili mu Pułkowodce. —

Rozprawa pod Konotopami taka była sławna i skuteczna, jak była pod Białocerkwią. —

I dziś gdyby był mąż taki, odepchnąłby Caryzm Sławiński, Margrabiego Wielopolskiego i Republikę Sławińską skonfederowanej Sławińszczyzny Hercena; niedotykałby Generałów Polaków, Włoskich, Madziarskich, Ho-tentockich i Bóg wie jakich; a zaprosiłby do czynu Rzewuskich, Szubelskich, Kryczyńskich, Boguszewskich, Mirskich, Jedlińskich, Radziwiłłów nawet. I byłoby wojsko, i byłyby drugie Konotopy Moskałom. Król Polski siedziałby na tronie, czy w Warszawie, czy w Krakowie, czy w Wilnie, czy w Kijowie, bo to by było jedno, zawsze na tronie polskim Piastów i Jagielonów. —

Katolicyzmem Polska wyszła ze Sławińszczyzny — Panslawizmem do niej nie wejdzie; za późno. —

Raz pobił Polacy, dobrze, dość na tem; drugi raz błędzić nie trzeba, bo w polityce błędy gorsze od występków, od zbrodni. — Tej smutnej prawdy dowodem Polska i Austria: Polska przez błąd czy błędy upadła, Austria przez zbrodnie stoi w sile i w potęgze. —

Wychodźce, choćby mieli rozum wojenny Anibala, śmiałość Cezara, Geniusz Wielkiego Napoleona, w kraju gdzie nie ma narodowego wojska, a gdzie huk wojska zaborczego, tchem nie stworzą siły. Polacy, w służbie wojskowej Zaborców, stoją na czele siły zbrojnej, oni mogą i powinni przypro-wadzić siłę powstającej Ojczyźnie — im się należy dowództwo a nie wychodźcom, oni są Hetmanami z prawa, Korony, Litwy i Ukrainy.

I wtenczas tylko przyjdzie do ostatecznej rozprawy, tak żeby się Polacy z Moskalam na dobre pobili: tylko bitwą można zatrzeć urazy między narodami, a po bitwie mogą nawet się pokochać z sobą. Tak jak to się zrobiło między Polakami a Turkami; dobrze się bili, i dobrze się kochają i kochać będą — bo uraza krwią zatarta; przyjaźń i serdeczna i wieczna, bo na wspomnieniach męstwa oparta. —

Taką nam zostawił naukę ze swojego czynu Hetman Ukrainy.

Kiedy Król Jan Kazimierz do Hetmaństwa Ukrainy dodał Janowi Wyhowskiemu Województwo Kijowskie, i w darze dziedzictwa, starostwa Baru i Rudy, zaraz powiedział:

Oj prodam i Bar i Rudu
Zahram Wyzuwitom w dudu. —

Na Bazylianskim klasztorze w Owruczu do dziś dnia są haki, świadczące, że sprawdzał czynem słowo na tym Zakonie, który za obiecany Pater noster od Moskali frymarczył sprawą Polską, buntował rycerstwo katolickie przeciwko Królowi i Króla Bohatera do grobu wepchnął. — A potem z Austryą wynarodowił Polaków i z uczuć i z mowy a potem w 1832 wymógł na Papieżu Gregorzu bullę potępiającą tych Polaków, którzy się wzięli do broni w roku 1830 i w 1831 przeciwko Carowi Moskwy. —

O szkoda, że nie dano czasu Hetmanowi Ukrainy, aby Polskę zbawił od Jezuitów, wyganiając ich za góry i za lasy, a przegrywając im w dudy, na wesoly pochód, czy wychód. —

Mielibyśmy i Karola Sienkiewicza między żyjącymi, boby go przed czasem nie zagryzła chęć a niemoc służenia sprawie Ojczyzny tak jak mu rozum męza Stanu, i serce Polaka wskazywało. —

I mielibyśmy Karola Rózyckiego między nami, bo nie byłby klepał pacierze, jak kościelny dziadek, i udoskonalał swego ducha do ulotnienia się w wielkie nic, ale byłby siedział na koniu i z szablą w dłoni wodził nas na nowe Mołoszki, Tyszycę, Uchanie Iłżę za Dunaj za Dniester, do starego Kijowa i do rodzinnego Berdyczowa. —

I byłoby lepiej między Polakami; nie byłoby tylu Faryzeuszów, i tylu Konspiratorów na bratnie dobro — na bratnią sławę, ile mamy niestety teraz przez Jezuitów i Jezuityzm. —

Byłoby lepiej. — Bogdaj Polacy zdobyli się na powiedzenie swoim Jezuitom: precz z pomiędzy nas; ruszajcie w świat, niech wam się szczęści w Chinach, w Afryce, nie u nas. —

Hetman Ukrainy, jako wykonawcom swojej ostatniej woli,

blogosławieństwo by nam u Boga wymodlił przez srebrnego Archanioła, Patrona Ukrainy. —

Karola Sienkiewicza dzieła otworzyłyby rozgarnienie upojonym panslawizmem Hercena. —

A Karol Różycki, jako stary Palej — powitałby nas jako Hetman Ukrainy. —

28. Lutego 1863, w Larysie, w Tesalji.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Stronica
I. KONOTOPSKA BITWA	1
II. PUTYWELSKI ZAMEK	16
III. MONASTER	27
IV. DROGA	35
V. CZAPLE PIÓRO	46
VI. POŻEGNANIE	57
VII. JAK DAWNIEJ SZLACHTĘ ROBIONO	69
VIII. NOCNA WYPRAWA. PRZECZUCIE	78
IX. BIESIADA, MNICH HETMANEM	89
X. ZA PÓŻNO	99
XI. ZEMSTA HELENY	109
XII. CZARY	121
XIII. CZARODZIEJSKA FLASZA	132
XIV. BITWA NA STEPIE. NARADA W REFĘKTARZU	142
XV. ŹLE SIĘ DZIEJE	151
XVI. KNOWANIA	162
XVII. ŁACHY POD LUBARTOWEM	172
XVIII. POWTÓRE HEMANEM	182
XIX. ZAKON KOSZOWY	193
XX. I KTOBY SIĘ SPÓDZIEWAŁ	199
PRZYPIS	209

SPIS ROZDZIAŁÓW

1	KOZIOŁEK SZYWA	I.
16	PIĘKNE KAMIE	II.
27	MOZAIKA	III.
32	DRUGA	IV.
46	CEMIE MÓDRO	V.
57	POKONANIE	VI.
60	JAK DAWNO SZŁACHETNE HORNO	VII.
72	NOGA WYKAWA. PRZECIWI	VIII.
74	BEZADA. MIECH HETMAN	IX.
98	ZA RÓŻO	X.
100	NIETA HETRY	XI.
121	CAŁY	XII.
133	CAŁOCHODZKA HETRY	XIII.
142	HETWA KA SZYWA. NARADA W BIEŻANIE	XIV.
151	ŻADNY KAMIE	XV.
162	HOWAŁKA	XVI.
172	LACNY ZOD SZAROTOWE	XVII.
187	LOWOJE KAMIE	XVIII.
192	ŻADNY KAMIE	XIX.
199	I TĘŻY ŻADNY	XX.
200		Przebieg

I.

KONOTOPSKA BITWA.

Lata orzeł po nad kozaczą krainą, lata i kracze. Czy braci orłów zajrzał po nad Desną, po nad Semem? O nie! Nie orły to tam skaczą; ale dwa wojska stoją obozami i patrzą sobie oko w oko. I na wzgórzach, co się wznoszą niby skoki ziemi od Semu do Desny; i na błoniach Desniańskich taka siła namiotów, taka siła ludzi i koni, że miasteczko Konotopy zmalowało, szeszło przy nich, i orle oko na nie ani spojrzalo.

Po nad Desną stoi obozem Moskwa; Książ Trubecki temu moskiewskiemu wojsku przywodzi. Pierwszy to bojarzyn bialego Cara, mąż i na głowie, i na brodzie, i na wąsach siwy, jak gołąb grzywacz; mnogie lata przeżył na tym świecie. Kiedy gada o przeszłych latach, to każdy rok liczy mnogimi bitwami, a zawsze wygranemi. Krągło jak rybie oko, trzydzieści tysięcy dohornego żołnierza ustawił na przodzie, wzdłuż lewego brzegu Desny, i sam swój namiot na samem czole posadził, aby pokazać, że nie tylko jest głową, ale i piersią swojemu wojsku. Moskał kretem potoczył rowy i przekopy; jak w wiosennej porze sterczą tyki na Bachusowem polu, tak tu na Marsowej winnicy sterczą rogatki piechoty.

Za tem przedmurzem przekopów, wałów, rogatek i piersi pieszego żołdactwa mnoga jazda pasie konie. Dalej, już na samych błoniach, między taborami wozów stał Książ Pożarski z trzema dziesiątkami tysięcy konnicy i piechoty carskiej, i hukiem obozowych luzaków. Przy nim było sześćdziesiąt harmat burzących, prochy i cała amunicja.

Na prawym brzegu rzeki padło jak szarańczy, z nasypem dwa tysiące sotek kałmuckiej hordy. Książ Trubecki związał Desnę mostem, tak szerokim że dwa wozy i jeden jeździec w poręcz iść mogli.

W samym Konotopie usadowił się Marcin Cieciora, Wa-

tażka, niewierny matce Polsce, z dwudziestą tysiącami kozactwa skabaconego przez Moskwę.

Od Putywa, od Taruczy naleciały te Moskiewskie sępy nad Desnę.

Na stepie, w widłach, gdzie Kijowski szlak zbiega się z Perekopskim szlakiem, stoi trzydzieści dziewięć kureni Zaporozskich, a w nich krągło szesnaście tysięcy młodców; tych dzieci Dnieprowych, co to psim węchem wroga dotropią; orlim zerkiem wroga dopatrzą; na koniach jak w prysiuły i tędy i tędy, i po swojemu taniec zawiodą.

Za nimi trzy tysiące husarzów, pancernych i czterysta dragonji lackiej.

Na prawo tabory pułków Ukraińskich; w nich dwadzieścia pięć tysięcy kozactwa z ośmiu harmatami. Z tyłu czterdziestotysięczna horda Perekopców i Budziaków.

Te sokoły Ukrainy, te Lackie orły i te ptaki Tatarskie przyszybowały od Bachmacza, od Baturyna. A wszystkim im dowodził Jan Wyhowski, Hetman wszej Kozaczyzny, Kijowski Wojewoda.

Stoją wojska i patrzą na siebie. U góry, pod niebiosami, na pośmiech radości orzeł jak kracze, tak kracze: w jarugach niby z ziemi płowy wilk rzewnie powywa, a w pickle sam djabeł chychoce, bo wraży taniec będzie.

Szary mrok przeminął i ściemniało na niebie, a księżycy i gwiazd jeszcze tam nie było. Jak ława burego dyniu z pomiędzy płomieni, tak czerniał Konotopski zamek z pomiędzy ognisk rozelanych dokoła jego podnóża. W samym zankowem cielsku jedno tylko, jedno światełko błyska, i ztamtąd jak więzień, ciekawie, zawistnie pogląda na samowolę braci ogniów. Dokoła ognisk kozacy siedzą, i sumują i dumają; chmurno im w wejzeniach, dziko im w twarzach, jak u nocnych ptaków. Oczu na ogień podnieść nie chcą, a tak milczą, że słyhać potrzask palącego się ognia; słyhać szelest ślaniającego się płomienia.

Zdala na wale przechadzało się dwóch ludzi. Jeden rosły, chudy a podgarbiony wiekiem; drugi mierny, krępy, pleczysty a w samej sile wieku.

— E do djabła, Mospanie, wstyldno nam.

— A to czemu?

— Moskale z nas drwią, a swoi będą złorzeczyć.

— Nie drwią oni z nas.

— Z ciebie nie, djabli synu; już ty jedną ręką trzymasz za atamański buńczuk.

— Tażę trzymam; tylko powiem, chcę, i obudwóma rękoma go wezmę; ale jak zachcę, to i drugiemu go oddam.

— Ba, jaki ty hojny! a tobie za buńczuk w handel dać czarnobrewkę, nie prawda?

— Jak chcę, to i buńczuk i czarnobrewka będą moje.

— Nie koniecznie; ot pogadajmy z sobą po prawdzie. Ty Moskalowi baki świecisz, i Moskal ciebie hołubi; ale czy kozaki za tobą pójdą, o tem szeroko Dawid pisał.

— Jak Car każe.

— Car Carem dla Moskala, a dla Kozaka hetką pentelką. Nie przegniewaj się Panie bracie; a ani ty, ani twój Car, jaki on tam jest, nicbyście nie zrobili, żeby stary Neczaj tego nie chciał.

— A jakże to się stało, że Iwaśko z Pisarza Hetmaństwa się dochrapał; a wy ojeze Niczaju, zięć Hetmański, najstarszy i najwierniejszy jego towarzysz, jakeście byli, tak i jesteście Pułkownikiem?

— Iwaśko, ha Iwaśko! trzystaby djablów jego matkę zabrało! — Bohdanko nie po tatarsku jemu mówił; bądź opiekunem mojemu Juryszce; a on z opiekuna stał się wypiekunem. Na śmiech ludziom powiedzieć, hetmańskie dziecko jak djaka w książce czytać uczy, a sam hetmańską szablę do boku przypasał, i nam dulę pod nos pokazał. Ha! żeby no on mnie się popadł w łapy!

— Tylko przyłożmy pracy, a będzie nasz; już sam nam włazi jak w matnię.

— O nie mów tego. To gracko! gracko on piórkiem smaruje, ale gracko i w szablę dzwoni; jak raz weźmie na ząb, to i pojedzie.

— Ta to daremna rzecz, trzech zawsze powije jednego.

— Jak jeden dureń i tchórz; ale jak chwata, to i trzem da rady.

— Policzywszy co on ma, a co my mamy, to nas więcej jak trzech na jednego.

— Przed bitwą nie liczy, to żydowska rzecz. Ja stary, zęby na wojnie zjadłem, ja to dobrze wiem. Jak Hetman dureń, jakiś parszywiec, to przed bitwą liczy, liczy i ucieknie, a jak dobry, trzystaby jego matkę, to nie karbuje wielu ich tam jest, tylko idzie, bije, pobije, a potem policzy. — Aż wyprostował się i wąsem się poczwanił. — Nie kozacko to rzecz rachować, ale kozacka bić. — Spojrzał ku stepom, nie widział, ale ręką ku nim machnął. — Tam Kozacy! — Obrócił się ku rzece: — Tu Moskale! — I plunął.

Marcin Ciciura milczał, ku ziemi pochylał czoło; jak koń tabunu szuka trawy, tak on z ziemi szukał słów, któremiby mógł zaloskotać w uszy staremu Neczajowi. A stary Iwan Neczaj, zięć Chmielnickiego, od ćwierci wieku Pułkownik Pułtawskiego pułku, od pół wieku hulaku na wojnie, zawzięty na Wyhowskiego, że mu jak z przed nosa porwał hetmańską bu-

ławę, przez zawieść z Moskwą sojuszem związany, w myśli sobie podumał: o żeby tym Moskalom dali lupnia, a tego, a po naszymu.

W zamku, w komnacie jeszcze nie zupełnie popadłej w zwaliska, siedziały dwie niewiasty czarnobrewki. I jedna i druga młoda; i jedna i druga krasawica. Jedna płacze, sobolowym zarękwkiem łezki ociera. I druga markotna. Obie są rodzone siostry, córny nieboszczyka Hetmana.

— Siostro Heleno, czemu ty tak dużo łez lejesz?

— Alboż to ja nie mam płakać czego? ja w niewoli, mąż daleko.

— Może i blisko.

— Cóż mi z tego, kiedy nie ze mną.

— Może będzie i z tobą niezadługo.

— Może, może, wszystko może i nie więcej; a tu tyle kul, tyle szabel, tyle spis, wszystko to na niego.

— Nie on sam jeden z tamtej strony.

— Ale oni wszyscy na niego uderzą. Ja taka biedna!

— Ty go tak kochasz Heleno?

— O kocham! kocham nad wszystko w świecie! nad wszystkich! — Popatrzyła na siostrę, podała jej rękę. — I ciebie kocham Stefanido.

— Siostro moja. — Westchnęła Stefanida i zamilkła.

— Czegoż ty wdychasz, mąż twój z tobą.

— Ze mną — zemną! — I chciała smutek rozgonić z czoła.

— Mówmy o Danielu; ja pamiętam jak on tobie dumki śpiewał, z tobą trapaka wycinał, jakaś ty była szczęśliwa!

— O ja taka z nim zawsze! ale teraz jemu boleść, mnie niewola.

— Ty nie w niewoli, tyś przy swojej siostrze, moja Heleno.

— I ty w niewoli, twój mąż w niewoli.

— U kogo?

— U Marcina Ciecinyry. — I zadrżała czarnobrewa.

— Nie bój się moja miła, i włos ci z głowy nie spadnie, ja nie dam, mój mąż nie da. — I do siostry się przybliżyła; i obie czarnobrewy tuliły się do siebie, jak gdyby były na pustyni, bez ojca, bez matki i kogobądź w świecie; jak gdyby sieroctwo na ich serca padło; przytulały się do siebie, jak dwie zuzule na czeremszy, a w zamku było głucho, a na dworze było cicho. —

Wyplłynął księżyc na obłoki, i jasno świeci Świętemu Piotrowi i Pawłowi, bo to dzień ich święta jutro; dziś i na wiwaty janczarki grzmiały, dziś im na wiązanie hordy harcowały. A Zaporoża młodce czekają z wiwatem, z wiązaniem; na jutro, na jutro. W kozaczym i w lackim obozie rżą konie, kopytami

ziemię kołupią, strzygą uszyma, paszy nie chcą, a bezustannie zrywają się jak do biegu. Kozacy z Lachami po bratniemu gadu, gadu, o bojach rozprawiają, a wciąż na niebo patrzą; oczyma chcieliby pchać księżyc żeby prędzej sobie płynął, oczyma świt rozniecić, i dniem niebo zabielić.

Kolo namiotu Atamańskiego zebrała się cała starszyzna. Trzech było Lachów: Jędrzej Potocki, Strażnik Koronny, Stanisław Jabłonowski Oboźny i Łączyński pułkownik królewskiej dragonji; trójka to mężów ochrzczonech prochem i żelazem w boju. Stali tam i Sułtan Galga, i Nuradyn następca, i brat Perekopskiego Hana, dwornie z czterema Agami i dwunastą Mirzami. Podle nich: Oboźny kozaczy Tymofej Nosacz, ciekawa i sprytna sztuczka; raz tylko spojrzy po polu, i wie gdzie piechotę, gdzie jazdę postawić. Cymbalista Hrechory taki zasadny, że i z niedzwiedziem mógłby pójść w boruki. Stefan Jachowski buńczuczny, rosły chłop, a taki pokaźny jak ogier między tabunem. Chorąży Michał Kulka. On białego anioła nosił przed wojskiem kozaczem, a biały anioł po patrońsku i męztwa i otuchy mu dodawał. I Samuel Zaradny Sędzia wojskowy. Dalej Atamani kurcuni Zaporozża i Pułkownicy Ukraińskiego kozactwa. Między nimi byli: Jerzy Hulanicki o którym kozactwo mówi: kiedy on z nami, to biały anioł nad nami, a wraża krew pod nami. Niemirycz także Jerzy, Owrucki bohater i z serca i z dostatku; on jak jego praojcowie miru nie lubi, a bój to kocha. Leśnicki najpoufalszy druh Bohdana Chmielnickiego. Michał Chanenko kochanie Zaporozża. Paweł Tetera brat zlaszonego Semena. Dwaj bracia Serki zbrojni znachorowie Zaporozża, tumany jakich świat nie widział; oni jak głową powróżą to wszystkie konie z tabunów Hana, wszystkie dziewice z haremów na Ukrainę przeprowadzą; a jak szablą powróżą, to długie lata będą rodzily bisurmanki, nim narodzą tyle ludu ile wysieka. Eustachy Hohol, Sabatyn, Pawołoski Czayka. Woronicz, Zuzulicz, Orlik, Zaporozkie to ptaki, po czajczemu kiliczają, szparko latają jak sokoly, a po orlemu dziubią. Sawa przesławny hulaka, Pawlenko łaman na żydów, Zieleniecki i Papeńko gracze w krzywe szable. Rakocy z Siedmiogrodzianami może o tem powiedzieć; on poprobował co to się dzieje z ludem Bożym, kiedy oni go wezmą po swojemu w szable. Karpenko hołubiec czornobrewek, czy na teorbanie zadrumkać, czy uciąć w prysindy, metki, praworny. Proskura co szablą jak proskurką obdziela błahoczestywców Moskali. Kunicki jak mruk posępny, miledkiem słucha, miledkiem i bije. Mohyla krew Wołosza skozaczała na Ukraińskiej ziemi, na tej ziemi, na którą jakie ziarno padnie, czy Lach, czy Rusin, byle nie Niemiec, to wszystko kozaczeje. Samko serdeczny, co w boju jak buhaj na całe gardło ryczy: bij, kól, siecz wrażego syna, ale jak buhaj na rogi, tak on na spisy wroga bierze. I

dwaj stryjeczni bracia Hetmańscy, Konstantyn i Daniel Wyhowscy; Konstantyn hojny na złoto i żelazo, jednym sieje między przyjaciół, drugim między wrogów. Daniel najkрасiwszy młodziak z całej Ukrainy, czy na koniu, czy to w tańcu; rosły, składny, siwe oczy, białe ząbki, a ciemny wąs; lichy nie chłopiec. Oj licha on narobił na Ukrainie! zapytać dziewię, a co one nagadają, to i wiekły nie wystarczył dudarzom na śpiewanie dumek i o nim i po nim! a teraz i sam smutny jak ukraińska dumka.

Wszyscy czekali na rozkazy Hetmańskie. Przed wchodem namiotu stali Asawulowie, Mazepa, paż Jana Kazimierza, białut Laszki Senatorki. Brzechowiecki zapiekły wróg lackich panków, bo mu ojca, dziada i pradziada zamordowali; ale siostrzan Hetmański, kozak lubiący matkę Polską, byle ona była bez panków i wyzuwitów. Młody Daszko plemię Ostafiego Daszkowicza. Możajski Książ ruskiego szczepu. Kamiński i Kordysz. Żaden z nich jeszcze trzydziestki nie dożył; wszyscy szczęściu takie chłopcy co to ha! czy dziewczę w hołubce, czy wroga w szable pochwycić.

Pod namiotem Hetmańskim obitym powołozą, usłanym kościami tureckimi, obwieszonym bronią i rycerskimi przyborami, lśknącymi w srebro, złoto i drogie kamienie, dwóch ludzi tylko było.

Jeden dość słusznego wzrostu, nie cienki, ale nie otyły, w samą miarę, postawy poważnej, ale nie chępliwej; już przeszło czterdzieści lat przeżył na świecie, ale ciemny włos jeszcze się nie bielił, tylko gdzieś gdzieś poszroniał szpakowacizną. Oczy ciemne, nie duże, ale błyszczące ogniem woli, i dobre łagodnością; czoło odkryte, pogodne, twarz ospą naznaczona. Jak nie w boju, to zazwyczaj osłaniała się tęskną dumką, ale kiedy spozierał na kogo, albo z kim rozmawiał, to półśmiechem twarz rozmilał, jak gdyby chciał sercem każdego częstować; i dla tego też serca wszystkich ku sobie garnał. Wąs ciemny podstrzyżony mszył się na wardze, a ręce miał małe i białe, jak gdyby nie do szabli były stworzone. Strój jego był skromny, kontusz siwy kusy, żupan biały, krasne szarawary i krasne buty, ale z pasa złoto jakby kapło; guz z szafiru rubinami obrzucony, w miejscu zaścieczki zmykał pod szyją koszulę. Przy baraniej czapce czaple pióro było przypięte spinką z jaskrawego brylantu, i rękojeść krzywej szabli, i buława hetmańska, i buńczuk nasypem były nasadzone złotem i drogiemi kamieniami. To był Jan Wyhowski.

Drugi niższy wzrostem, cienki, smykowaty, oczu piwnych, a takich rzutkich jak błyskawice; twarzy śniadej, a tak ruchawej jak gdyby była na sprężynach, włosy czarniawe i wąs czar-

niawy; taki strój jak u Hetmana, ale nie widno na nim tyle złota i drogich kamieni, a barania czapka bez czapłego pióra. To Piotr Doroszenko, pisarz kozaczyzny.

Pod tym namiotem był stół, a na nim szkatuła hetmańska z papierami, a podle niego trzy miedziane beczki, zewnątrz wybielane, pod czopami konwie: jedna z miodem, druga z wódką, a trzecia z winem. Były tam roztruchany i puhary. Hetman pod swoim namiotem częstował zazwyczaj starszyznę i kozactwo, ale teraz nie częstował Pana pisarza, tylko na rękach sparty o stół słuchał jego doniesień.

— We wczorajszej potyczce horda straciła przeszło pięćset ludzi. Sultán Nuradyn mniema, że w otwartem polu ani Moskwie, ani Kałmukom stawić czoła nie może, chciałby zapuścić zagony ku Putywlowi.

— Zapewnie, nasz kraj niszczyć? Z tego nic nie będzie. A języki i zbiegowie?

— Zbiegów nie wielu, a wszyscy zgadzają się, że przy Ne-czaju i Cieciorze najstarsze kozactwo, wyćwiczone w boju.

— I nasze się wprawi.

— W obozie moskiewskim żołnierstwo ochocze, Książ Trubecki chce bitwy.

— To będzie ją miał. — Pomyślał trochę. Coż Hulaniccki przywiózł?

— Desna spokojna, nie głęboka, w niektórych miejscach można w bród przeprowić się, a most jakoś niepewnie stoi. Szpieg który wrócił z moskiewskiego obozu, powiada, że sam Trubecki boi się o most.

— Mniejsza o most. — Zatarł ręce. — Dać rozkaz oboźnemu, żeby wszystko było gotowe do broni przed świtem.

— Starszyzna czeka.

— Hulanicckiego prosić, a potem Sultana Nuradyna. Panom Lachom i Sultanowi Gałdze powiedzieć, że zaraz będą z nimi.

Niedługo rozmawiał z Hulanicckim i z Nuradynem; i jeden i drugi wyszedł, i wprost udali się do swoich stanowisk, a szli śpiesznie. I sam Hetman wyszedł przed namiot.

Księżyc świecił, niby srebrem słał się po stepie. Hetman zdjął czapkę, czaple pióro powjało, pokłonił się Panom Starszyźnie; wszyscy czapki zdjęli. Gałga Sultán, Agowie i Mirzowie schylili czoła, a prawe dłonie do lewego boku przyłożyli. Hetman nakrył głowę, i wszyscy głowy nakryli.

— Panowie bracia, jutro Bóg da spróbujemy się z Moska-lem; Moskał i liczny i mężny, ale i nam na sereach nie braknie, a ramion nie pożałujemy. Panowie bracia, ci co dowodzicie starym żołnierzem, powiedzcie im, niech w jednym dniu nie poszkapią sławy nabytej latami. Ci co macie pod sobą młodych żołnierzy, mówcie im, że jutro w jednym dniu mogą nabyć takiej sławy, jakiejby nie nabyli i przez pięćdziesiąt lat

bezustannie wojując. A jedni i drudzi niech baczą na uczciwość wojskową, na cześć i zasługi jakich dostąpią przed Ojczyzną matką i przed Królem Jegomością. Panowie bracia, sprawiedliwość przy nas, zwycięstwo dla nas! Weźmy się szczerze do roboty, a i Bóg będzie z nami.

Po tych słowach wszyscy spojrzeli na Hetmana, na niebo i na swoje szable. Poczem Hetman zawołał:

— Konia! —

W mig przyprowadzono mu wronego rumaka, wskoczył na koń; Oboźny Nosacz, dwaj Asawułowie Mazepa i Brzuchowiecki takż wskoczyli na swoje konie. Hetman jeszcze raz pokłonił się starszyźnie, i pojechał objeżdżać obóz.

Z prawego skrzydła z pomiędzy taborów sunie się pieszce kozactwo, i pięć tysięcy się wysunęło, przed niem na czele Hulanicki. U pasów błyszczą obosieczne siekiery, w ręku jedni niosą samopaly, drudzy rohatyny z kosami oprawnemi na prawiec. W prawo gdzieś się pociągnęli, a idą wilczym chodem, i jak wilcy w jarugi się cisną. I z tatarskiego kosza mnogie tabuny jazdy poszłapały, a tak cicho, że tylko słyhać głuchy szelest, niby padanie liścia w jesieni, i pobrzękiwanie niby świerkanie konika polnego: to podzwanianie wędzidel; tanto glaskanie szwaru kopytami końskimi.

Hetman powrócił z objazdu, i wkrótce wszystko ucichło tak jak gdyby nikt do niczego nie zabierał się na jutro. Hetman usnąć nie mógł, tak mu się myśli tłoczą a tłoczą do głowy, a wszystko wojenne. Pod namiotem mu duszno, wyszedł przed namiot o kilkaset kroków, i usiadł na gołym stepie; patrzył to na księżyc, to na step, a dumał nie o księżycu, nie o stepie. W tem doleciało mu do ucha drumkanie teorbenu i głos pieśni:

Wyje wicher, Dnieper szumi,
Ho, ho! orle to rozumie.
Z ponad Dniepru orląt troje,
Szparko leci, het na boje.

Wszystkie troje tegoż rodu,
Ho, ho! na krew wprawne z młodu.
W Ukrainie bój się toczy,
W Ukrainie ptak ochoczy.

Tam mogiła za mogiłą,
Ho, ho! orłom dobrze było.
Wrogów siła, bójkę hukiem.
Z sępem, z czapłą, z wroną, z krukiem.

Tam Zuzula takóž była.
Ho, ho! to to ptaszka miła;
Jedno orle przywabiła,
I już więcej nie puściła.

Drugie takóž tam zostało.
Ho, ho! trzeecie spanoszało.
Taj sokolom rej przywodzi,
Taj i orlów na bój wodzi.

Z pod nad Dniepru, z nad padola,
Ho, ho! orly swoje woła,
Za orlami matka płacze,
Za orlami ojeiec kracze.

Szparki orle, mój hetmanie,
Ho, ho! zawierz w me gadanie;
Taj w Zuzuli nie wierz słowa,
Bo to ptaszka, białogłowa.

Hetman wstał, okiem szukał śpiewaka, i w tej stronie skąd słychać było drumkanie nikogo nie nadybał, choć na stepie było jasno. Koło siebie spostrzegł swoich dwóch braci Konstantyna i Daniela.

— Słyszeliście?

— Słyszeliśmy.

— A czy nie widzicie tam kogo?

— Szukamy okiem, a nie widzimy. —

Czaty widać, ale nikogo więcej na stepie; i trzech bracia wracali ku namiotom, a księżyc płynął swoją drogą.

Jeszcze świt niewidny, tylko majaczeje niby, a już pan cymbalista w kotły dzwoni. Rauny to ptaszek, dzisiaj wszystkie ptaki stepu uprzedził: on widno czekał świtu z dumką: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. I Kozacy i Lachowie rozczumanieni, żywo, żwawo biorą się do broni i do koni. Sułtan Gałga trzy razy od ucha sprzął nahajem srebrny kocioł; srebro dzwignęło a horda wskoczyła na koń.

Świt zajaśniał, dzień biały za nim tuż. Orzeł znowu latał pod niebiosami i patrzył.

Kniaź Trubecki sprawia szyk swojego wojska; ratnictwo piesze za rogatkami staje, na skrzydła kopijnicy się wysuwają, na koń siadają rotы bojarskie; kniaź Pożarski aż ku mostowi pociągnął swoje pułki po nad samą rzeką, na dawnym jakimś przekopie ustawił harmany, taborami wozów jak płotem się ogrodził; a od Trubeckiego tylko nieszeroka smuga nadbrzeżnej sianożęci go przedziela. Mamaj sułtan Kałmuków na koń

wsadził i po obu stronach mostu trzyma hordę w pogotowiu do puszczenia na czambuł. Z Konotopów Iwan Neczaj prowadzi do moskiewskiego obozu pułki starego Kozactwa: idą pod jego wodzą Hładki, Skorupadzi, Butowicz, Apostoł, Samujłowicz, Krzyżanowski, pułkownicy starzy jeszcze Bohdanka Chmielnickiego. Suną jak chmura, a ile razy spojrzą w prawo, to tak zasumują, że aż orłowi smutno na nich patrzeć. Marcin Cieciora został w konotopskim zamku w odwodzie; tak kazał książę Trubecki.

W górze rzeki od Taruczy, głębokim przekopem, świeżo wyrzuconym, tłum zbrojnego ludu dosunął się aż do samej wody; przed tym tłumem tatarska horda ślania się to w lewo, to w prawo, jak fale morskie, nim się rozkołyszą, i poczną tabunami bałwanów skakać; i na prawy brzeg Desny horda przebrała się także, jak rąbem oczom tych co z ziemi patrzą, zakrywa co tłum pieszego ludu robi; ale orzeł z pod niebios wszystko widzi.

Hulanicki ze swoimi zerknął okiem ku mostowi, sam poprobował dna, webrnął w wodę po pas, po szyję, wyszedł i machnął ręką. W duch Kozactwo kopie siana, oczeret, łozinę walilo w rzekę, i całcem ziemi przykrywało. Robotnicy to ochoczy, groble umieją sypać, bo tam będą zastawki nie na młyn, ale na moskiewską jazdę.

Już gdzieniegdzie Kałmucy z Tatarami, jak charciaki przyskakują do siebie na harc, kiedy Hulanicki przemówił do Nuradyna:

— Sultanie Nuradynie, bracie wojenny, weź dwadzieścia Kozaków, a na sokolich bachmatach pehnij w górę ku Taruczy. Niech w taborze wszystkie zastawki zrzuć, niech groble rozkopują. Wody, wody nam trzeba, żeby nasze młyny pomelly. — Obrócił się do Kozactwa: Nuże bracia, tutaj trochę drogę dla wody przekopać — wskazał ręką na smugę — żebyśmy pomelli Moskwę.

Tłum Tatarów cwałem kopnął się w górę, mirzowie na ich czele; i nowa droga dla wody się żłobiła, i grobla jak na drożdżach rosła.

Słońce weszło. Po raz drugi, po raz trzeci cymbalista zadzwonił w kotły. Hetman na koniu, bój zawietrzył, bój wypatrył. Oczy u niego iskrzące jak promienie słońca, a twarz jasna jak samo słońce. Pułkownicy przed pułkami, atamani kurenni przed kureniami stoją. Za nim jedzie starszyzna, a na jej czele pan Pisarz. Włosień buńczuka drże się od wiatru, biały Anioł kąpie się w czerwonej chorągwi; tuż przy nim asawulowie na koniach hasają, sami wertcy, oczy i uszy do Hetmana nastawili, a konie pod nimi wrą kipiączką ognia.

Pisarz wedle woli Hetmana sprawił wojsko. Prawe skrzydło Potocki z husarzami trzymał, Hetman cześć gościnności Lachom

oddał; przy nim pancerne chorągwie pod Jabłonowskim; za nim w odwodzie Łączyńskiego dragonja, i cała horda Galgi Sułtana poustawiana kazanami, a dowództwo nad tem skrzydłem miał Potocki.

Na lewem skrzydle z rejestrową jazdą stał Daniel Wyhowski, na wilczatym koniu z czarną pręgą, oko w oko patrzył szwagrowi Neczajowi. Obo niego piesze tabory, pod Niemiryczem Lesnickim, Sową, Pawlenkiem i Hoholem. Z tyłu w odwodzie jazda Humańska pod Zielenieckim i Popeńkiem, i tam dowodził obożny Nosacz. Hetman Kozactwo wystawił, żeby krwi własnej nie wiele się lało.

Rdzeń bitwy stanowiło szesnaście tysięcy konnych Zaporozców, kureniami w pół-księżyc ustawionych. Chanenko im watażył, a za nim Mohyla, Tetera, Konstantyn Wyhowski, oba Serki, Samka, Czayka, Woronicz, Zuzulicz, i inne ptaki Zaporozza, wszystkie ochocze do lotu, wszystkie drapieżne na krew. Przed nimi ośm harmatek pod nadzorem Kunickiego, a za nimi reszta piechoty pod zarządem Proskury, i luzactwo w tabory pozbierane. Sam Hetman temu rdzeniowi bitwy przywodził.

Skoro Hetman przyjechał przed wojsko, stanął, obrócił się ku wschodzącemu słońcu, zdjął czapkę, głowę pochylił:

— Hospody Boże, pomyśl nas!

I całe Kozactwo czapki rzuciło, i Bogu się kłoniło i zawołało:

— Hospody Boże! pomyśl nas!

Lachowie po swojemu się odezwali:

— Panie Boże, zmiłuj się nad nami. —

Hetman nadział czapkę, i Kozacy czapki nadziali. Hetman jak białozor w prawo, w lewo zerknął po polu okiem. Nura-dyna hordy już czambułują. Hetmanowi na słowa nie czas; krzywą szablą po czapce stuknął, znany to znak, asawułowie poskoczyli końmi ksobie, od siebie, i całe wojsko ruszyło z miejsca; ziemia jęknęła, powietrze zadźwięczało, i ziemia jęczy, i powietrze szumi w uszy Moskwie.

Dziw! dziw Moskwie! Desna cicha, spokojna, rozluła się; wyskoczyła z łoża, i taszczy się smugą sianożęci, i leje się w Pożarkiego obóz; ratnictwo w trwodze, puszkarze harmat odbiegają; a tu Zaporoziec idzie, Lachy idą, i Hulaniczki ze swym Kozactwem bieży do mostu.

Trubecki w pole swoich wyprowadza. Już kopijnicy zwarli się z pancernymi i husarzami, i wstecz od siebie odskoczyli. Już i na lewo dwaj szwagrowie pierwszy pocałunek sobie dali, kiedy zagrały kozacze harmaty, bryznęły raz, drugi i trzeci. Moskwa przy rogatkach się kupi, chłop do chłopu się ścisza, jak mur stoi. Trubecki na przedzie serea dodaje, a Zaporoziec idzie.

Chwilkę harmaty umilkły, dym się rozwiął. Widno jak Hetman trzy razy czaple pióro szablą pogłaskał, koniem kopnął, i wszystkie kurenie z kopyta pomknęły, a młodce w usta klasnęli.

— Sława Bohu! sława Bohu!

I Lachy po swojemu prą, i rejestrowce prą.

Kopijnicy i roty bojarskie zwinęli się za ratników; ratnicy drżą w kolanach, a oddychać im trudno, tak wichler na nich prze; z samopalów palą, ustawili rohatyny. Trubecki ledwie wykrzyknąć może: Stać!

Tak i jemu w piersiach zapiera głos; a Zaporozie taszczy się; za niemi, przed niemi, w około nich tuman, za kurzem świata bożego nie widać. Już na rogatki wskakują, przez rogatki wskoczyli, kołą, sieką Moskwę, a po djablemu wrzeszczą. Moskwa broni się, pada, w wodę skacze, i jęczy w niebowrzaski. Ztamtąd taki wrzask i jęk, jak gdyby piekło na ziemi wybrnęło, a tak się wszystko miesza, taki dym kurzu, że i orle oko tam nie przejrzeć nie zdoła.

Ale na moście to widno. Akiuof, Pożarski przebrali się z garstką na tamtą stronę rzeki, a resztę Hulaniczki zachwylił ze swoimi, morduje i topi. Łęczyńskiego dragonja jak do nurków, do pływających pali, a Nuradyna horda rozgoniwszy na cztery wiatry Kalmuków, chwytą w jasyr, który się wymknie z pod kozaczego noża, albo z pod lackiej kulki.

Na lewym skrzydle nie tak się działo. Stary Neczaj taborem się obsłonił i kroku nie ustąpił. Darmo Nosacz i jazdą nacierał, i piechotę podprowadzał; Neczaj nie kazał z samopalów palić, ale zjechać się kosami rohatyn. Daniel Wohowski ze swoimi moskiewskich kopijników zajął, i tłukł na zgnile jabłko. Lesnicki wpadł na pułk Pożarskiego przybyły w pomoc Kozactwu, i tam ochocił się do woli, a resztę Nosacz wyprowadził z taboru, i wiódł wprost na Kozactwo Neczaja; jazda Popenka i Zielenickiego szła za niemi. Kozactwo z Kozactwem miało się krwawić bratnimi rękoma.

Nad obozem Trubeckiego już trochę przejaśniało. Ratnicy broń rzucają, a Kozacy i Lachy kołą, sieką, żywych ludzi do Jasyra Tatarom nie dają. I nowe i stare koryto Desny topiąceni się ludźmi zasute. Hulaniczki już nie tylko na moście topi, ale i za most się przebrał, i swoim pozwolił po brzegach hulać; i konie bez jeźdźców tabunami biegają, a Desna płynie, mije trupy i nurza topielców.

Widno już i czaple pióro Hetmana. Wybrnął z rzezi; przy nim nie wszyscy Assawulowie, a Starszyczna pomaleńku się ściągają tagoż z rzezi. Zwawo obrzucił wzrokiem po polu.

— Mazepa, niech Proskura tu ze swoimi przyjdzie zrobić ład, a żwawo. —

Mazepa poskoczył koniem.

— Panie Pisarzu, Atamani Kurenni niech Kurenie zbierają. Doroszenko zwinął koniem i pojechał.

— Kordysz, panów Lachów prosić, niech na swoich każą trąbić do porządku. —

Kordysz jak błyskawica koniem pokocił.

— Gdzie Brzechowiecki?

— Ot jedzie. —

Brzechowiecki wiózł przed sobą kniazia Trubeckiego ranego. Hetman ujął jeńca za rękę.

— Kniaziu, losy bitwy w mocy Bożej. Kamieński, miej staranie o Kniaziu, jak o mnie samym. A ty Brzechowiecki, weź jazdę Popeńka i Zielenieckiego, całą horde Sultana Galgi; przebrać się za rzekę, i w pogoń za temi co uciekli; tylko nie czambułować po wioskach, ale wroga tępić. Rozumiesz.

— Rozumiem — dziko Brzechowiecki mruknął, i zaciął konia nahażem jak gdyby mu chciał bok przeciąć, a koń tak wyskoczył, jak gdyby go darł ze skóry.

Trubecki ranny milczał, a hetman ze starszyszną i z dwoma Kureniami tylko poskoczył ku Kozactwu Neczaja.

Hetman skakał koniem po samym przodzie, czaple pióro ku Kozactwu powiewało, a wiatr jak gdyby namyślnie białym aniołem i krasną chorągwią wjął w oczy Kozactwu. Oni na to patrzą, patrzą i na braci idących na nich. Smutno im, ale broń gotową trzymają. Neczaj nie wytrzymał, krzyknął:

— Na dół rohatyny. —

I sam wyskoczył z tabora, biegł ku hetmanowi, i zadyszczanym głosem wołał:

— Niech żyje nasz Hetman! —

Hetman zsiadł z konia, ścisnął się z Neczajem, i coś mu szeptał w ucho, ale bliscy tylko koniec dosłyszeli.

— Com przyrzekł, to dotrzymam. —

Kozacy się bratali i wołali:

— Niech żyje nasz Hetman! —

Hetman już znowu na koniu.

— A gdzie Marcin Ciecziura?

— W Konotopie. — Odpowiedział Neczaj i patrzył w oczy Hetmanowi, jak gdyby chciał jeszcze coś mówić.

— Bracie Neczaju, twój lud świeży, niezmordowany; ruszysz do Konotop. Daniel Wyhowski z jazdą pójdzie pod twoje rozkazy. Oszczędzać krew bratnią; ztamtąd pójdiesz pod Putywel, tam się złączymy.

Hetman odwrócił się i pojechał, a Neczajowi lzy w oczach stały.

— Pójdę i na samego djabła, i zrobię co ty każesz Ojce



Hetmanie, już my teraz do śmierci się nie rozłączymy; taki Iwaśko jak zawsze był: to mi człowiek.

Już w pochodzie po kilka razy ścisnął Daniela.

— Twoja Helena zdrowa jak rybka; płacze, ale oczów nie wypłacze, jeszcze będą ładniejsze jak ciebie zobaczy. A tego psa Cieciorę na haku zawieszę.

Daniel mało pytał o Helenę, ale tak mu śpieszno było, że radby całe Kozactwo zabrać na wilczego, i z niem dernąć do Konotopa sumakiem, sokołem.

Słońce już dobrze ku zachodowi się miało; rzeź ustała. Tatarstwo nie wiele sztuk naspędzało do Jasyra, ale matka ziemia to miała trupów taki huk, że stu karbowych jednego dniaby ich przeliczyć nie mogło. Desna czerwona od krwi, a trupy kupami jak spławy pluszczą się po wodzie; gdzie niegdzie już i w groble się poskupiały.

Harmaty burzące, broni siła, siła koni, namioty, sprzęty, przybory, wszystko to się w lupie dostało. Trzysta chorągiew, a między niemi chorągiew carska i srebrne kotły carskie pod namiot hetmański znoszono, a Hetmana tam nie było. On był przy umierającym Kniaziu Trubeckim. I ostatnie słowa konającego Kniazia, po żalobie nad straconem wojskiem, po żalobie nad pierwszą przegraną, były do Hetmana:

— Bóg ci zapłać! —

Hetman wyszedł stamtąd, ale już nie takich jaskrawych oczów, nie takiej jasnej twarzy. Po swojemu tęskną dumką się osnuł. Kazał rannym dawać staranie, i przepatrywał swoje wojsko. Pyta o Daszka: a Daszkową szablę mu przyniesiono. Daszkowi już nią nie błyskać po tym tu świecie!

Pyta o Możajskiego: i konia Możajskiego mu przyprowadzono. Już Możajskiemu na nim nie hasać po tym tu świecie!

Pyta o towarzyszków Zaporozża, o młodźców Ukrainy, o braci Lachów; którego tylko oko jego szuka, a nie nadybuje, a jemu mówią, że już się z nimi nie spotka na tym tu świecie.

Schylił czoło ku ziemi, i czaple pióro ku ziemi się kłoniło, krzywa szabla drzemiała w pochwie, a oczyma nie patrzył na Kozactwo, tylko tęsknym głosem rzekł:

— Bracia, grzebać ciała, sypać mogiły. —

I wnet wszyscy kopali domy wiecznego spoczynku i sypali zamki mogiły, dla sławy kozackiej, dla uczciwości wojskowej, dla pamięci ludzkiej.

Kapłani Boży święcili mogiły, lud zbrojny się modlił, i Hetman się modlił z odkrytą głową.

Słońce już już zapadało za ziemię, i jak gdyby umyślnie chwilkę pół twarzą się zatrzymało. Nad Desną i po stepie orły krakały na dobranoc — i słońcu i sutemu żyrowi: Do jutra! Do jutra! Całe wojsko było pod bronią, i na koniach. I Hetman na koniu. Ostatni promień słońca czepiał się po czaplem piórze, twarz Hetmana była weselsza, sprawił wojsko, machnął ręką, i poszli w pochód ku Putyłowowi.

II.

PUTYWELSKI ZAMEK.

Złoty ptak Ukrainy, Hetman, Kozactwa kochanie, Hetman, kozacza chluba, jednego dnia do wschodu od zachodu słońca, całą siłę Moskwy w Desnie zatopił. Z tego ogromnego wojska ledwie dziesiątek tysięcy pierzchnął, i z tych zbiegów jeszcze dwie połowy Zaporozże wynizalo na spisy; bo Hetman nie spoczynek obchodził zwycięztwo, ale na wsze strony rozpuścił pogonie, aż do granic samej Moskwy. Zamki odbierał, szlaki oczyszczał, a Kozactwo raźnie, ochoczo pracowało, bo dla niego spoczynek to śmierć, a ruch to życie. Przejdą wieki, pomrą ludzie, a sława Hetmańska żyć będzie po wiek wieków, orły orłom będą odkrakiwały: Tu było krwi, tu było krwi, tu było ścierwa, tu był żer. Ludzie ludziom będą opowiadali o Konotopskiej bitwie, o Janie Wyhowskim. Mogiły będą gadać do oczów, wiatr będzie gwizdać do uszów, a wszystko o Janie Wyhowskim, a wszystko o bitwie Konotopskiej.

Widno Putywel Kozaczy; położył się po nad rzeką, w samym kolanie, tak jakby się ona umyślnie umknęła na jego posadę; z trzech stron srebrną szarfą uwija miasto, a z czwartej wznosi się wysoki wał. Na mogile siwieje stary zamek, jak stary sokoł na skale, a koło niego narożne baszty jak sokołeta: trzema kopułami w niebo strzela cerkiew przeczystej Dziewicy, i trzy krzyże złocą się w powietrzu, jak gdyby trzy gwiazdki spadły na kopuły, i Bożem błogosławieństwem nad niemi błyszcząły. I dzwonnica z za cerkwi wyziera ciekawie, radaby zagadać do ludu Bożego.

Dwoma szlakami dwa wojska schodziły się pod Putywel: jedno prowadzi sam Hetman, drugie stary Neczaj; przed Hetmańskim wojskiem biegła Zaporozzka jazda; przed wojskiem Neczaja prowadził jazdę Daniel Wyhowski; i jakaś zmara go napadła. Sam niej swój, a koniem balamuci; nie zastał w Konotopie czarnobrewki, i kozacza tęsknica go napadła; nie miał kochania, chciałby złość skrupić w bójce, a tu nikt bić się nie wychodzi. W Putywlu brzęczą dzwony pokojem, bramy się

otwierają, i lud pieszy idzie z chorągwiami, z chlebem, z solą, a po jego czole starszyzna z odkrytymi głowami, a po ich przodku Marcin Ciecziura, z wnrzonym w ziemię wzrokiem, taki pokorny, jak gdyby szedł w pieczary Kijowskie, w odwiedzinę do błogosławionych pańskich. I Daniel i Nosacz go poznali, obóm w oczach było gniewno, obóm ręce zwinęły się do rękojeść szabel, ale sam Hetman sadził koniem ku temu ludowi.

Zna Ciecziura wronego konia, jak kruk czarny, tylko chrapa podpałala, i biała strzałka na chrapie; na tym samym Wyhowski pisarzował pod Chmielnickim; na tym samym dziś hetmani kozactwu. Zna Ciecziura dobrze tego męża, nie uląkł się — tylko na talerzu chleb i sól z kluczami bramy ku niemu podnosi, i woła:

— W Imię króla Jegomości, łaski i przebaczenia. — Hetman wziął w rękę chleb, posolił, złamał na dwoje, jedną część pomógł do ust, drugą dał Ciecziurze.

— Chleb i sól jedzmy, braterstwo nam! —

I Ciecziura i lud cały odpowiedział okrzykiem:

— Cześć tobie nasz Ojczel! Cześć, cześć, nasz Hetmanie, cześć tobie Matko Polsko! —

A w Putywlu dzwony wesele głosiły na daleko, na szeroko.

Więcej trzystu Bojarów chroniących się do Putywła, Ciecziura kazał w kajdany pokuć i przedstawił Hetmanowi jako jeńców, niemniej rozbrojonego ratnictwa z górą tysiąc, siła chorągwi, i innych zdobyczy. Hetman kazał to wszystko przyjąć, jencom zdjąć kajdany, powiadając: że sama niewola i bez tego ciężka; a czoło jego ciągle było tęskne.

Później powitał braci kozaków dawno widziany i czoło jego zaweselało trochę.

Daniel Wyhowski, stary Neczaj o żony pytają, a czarnobrewek tam nie masz. Ciecziura zaklina cię na matkę, w ojca, w Boga, w djabła, że nie wie gdzie się podziały. Po wycieczce z Konotop znikły z obozu i w Putywlu nikt ich nie widział. Stary Neczaj czerkieską szaszka byłby go na pół przeciął, i Dawid Wyhowski byłby go Damascęńskim palaszem płatał, ale Hetman jadł z nim chleb z solą: oba szwagrowie poszli do Hetmana.

Hetman wypytywał Ciecziurę i nie więcej się nie dowiedział, tylko że obiedwie córy Chmielnickiego w pochodzie ujechały ze starym Wysoczaniem pułkownikiem Putniańskiego pułku, tak że on Ciecziura o tem ani wiedział.

Kiedy bracia Lachowie i Starszyzna Zaporozża prosiła Hetmana, żeby psu Ciecziurze nie wierzył, i po Lacku kazał z niego ciągnąć słówka, on odpowiedział:

— Kiedy syn choćby jaki, przyjdzie do ojca i prosi o miłość, ojciec mu ją daje. A ja ojciec kozaczego ludu, ja tu zastępca Króla Jegomości, a on kozak syn matki Polski; chleb i sól z nim jadłem, między nami cała przeszłość zapomniana,

a na przyszłość Bóg będzie patrzył. Ojczyzna ma nagrody i kary. Sprawa Neczaja i Wyhowskiego to nie sprawa Polski. Marcin Ciecziura nasz brat, stanie przed Królem Jegomością i przebłaga za swoje winy; jam rękojmią jego wolności i jego życia: jam poręczyciel jego wolności przed matką Polską. Dzisiaj żadnych sporów, żadnych zwad, ja proszę, ja każę. —

Nikt i słowa już więcej nie mówił o tej rzeczy, bo prędejbys się znalazł znachor na tym świecie, coby siny Dniepr na lichy ruczaj przeczarował, jak wołę Hetmańską zmienił na jeden włos.

Hetman pisał listy do Króla Jegomości, do Hetmanów, do Senatu; kazał zarzucić bogatemi podarkami namioty Sultanów Gałki i Nuradyna; między Tatarstwo hojne pieniądze wysypał w większej części ze swojej własnej szkatuły, i odprawił z mową:

Panowie sprzymierzeni Króla Jegomości naszego i rzeczy pospolitej, kiedy wola, czambułujcie po Moskiewszczyźnie, a na kozaczej ziemi mir, mir; pókiście nam druchy, i my wam druchy. Bogdajby družba między nami była po wiek wieków, a jak zechcecie być wrogami, to i my mamy szable. Bogdaj tego Bóg nigdy nie dopuścił. —

— W imię Allaha, w imię proroka, przyrzekamy, że nigdy z tobą miru nie zerwiemy. —

Odpowiedzieli Sultanowie obadwaj i wszyscy trzej dobyli palaszów i w misie z wodą zanurzyli ich końce, na znak że ich nigdy w swojej krwi nie chcą maczać; po czem prawe ręce przyłożyli do serca, znak to że między ich sercami i ramionami sojusz zawarty.

Tatarstwo dowolne, rade, prąznik między kozactwem. Jedzą, piją, hulają a nie sumują, nie dumają, i czarnobrewę Putywlanki jak ptaki krasnopolone na obóz naleciały, teorbaniści w teorbany drum, drum, pobrzękują; cymbaliści w cymbały brynk, brank dzwonią. Mołodyce i dziewczki tną trapaka, w hołubce plaszcą, a mołodce w przysiudy, w poskoki zahulali, gromko, szumno, rażno, ochoczo.

I stary dziad, dudarz nadnieprowy dumkę zawodzi.

Hej, hej z naszej Ukrainy
Idą, idą djable syny.
Pan Wyhowski w samym przedzie
Djablich synów k' Moskwie wiedzie.

Za nim, za nim Doroszczenko,
Pod nim siwy koniczenko.
Nasz Chorąży, nasz Hryhory,
Pod nim karasz, silny, spory.

Biały Anioł srebrem sieje,
Kary buńczuk z wiatrem wieje;
Cymbalista w kotły wali,
Asawulstwo w boj się pali.

Atamani hajdamaki,
Zaporoża wiodą ptaki;
Pułkownicy orle syny
Wiodą pulki Ukrainy.

Bracia Lachy suną z nami,
Z nami, z nami Kozakami.
Pan Wyhowski w samym przedzie
Wszystkie wojsko w taniec wiedzie.

Idą Lachy na trzy szlaki,
A na cztery nasze ptaki,
A Tatarzy pole kryli,
Brali w Jasyr, co my bili.

A dziewczęta tam rzną żyto,
Bławut sięją pod kopyto;
A kosarze owies koszą,
O zwycięstwo dla nas proszą.

W naszej ziemi Moskwa stała;
Hejże po nich hala drała.
W czapkę Hetman szablą stuknął,
Hala, drała, w taniec huknął.

Hala, drała, siaki taki,
Hejże Lachy, hej Kozaki!
Zaporoże hej w prysiudy!
Siece, kole, siudy, tudy.

Oj nie długo tam się wlekło
Wichrem wmiętli Moskwę w piekło.
W górę czapki lecą stadem.
Krzyki w uszy biją gradem.

Sława tobie Boże Panie,
Żyj i panuj nasz Hetmanie.
Matko Polsko cześć twej sprawie!
Królu ojczy, żyj, żyj w sławie!

I nasz Hetman dobrze zrobił,
Zbawił Polskę, Moskwę pobił.
Sława tobie Boże Panie
Żyj i panuj nasz Hetmanie!

Kozactwo się weseliło. Lachom wygadali, zwyczajnie bra-
ciom, gościom. A Hetman w zamku nie spoczywał, nie wese-
lił się; po bitwach, po zwycięztwach sprawiał kraj kozaczy.

Ranek począł świtać. O na jakąż to tam hulankę poczyna
zabierać się w świecie Bożym. Jak step długi, jak step szeroki

tam het, śpiewacy ptakowie świergoczą; świergoczą i w czarnej puszczy. Po nad Semem jaskółka się muska, pluska się rybka w Semie, dobry dzień sobie powiadają. I czajki ptaki kozacze biją się skrzydłami po nad bagnem, ki-hi-ki-hi po kozaczemu kihiczą. W oczerecie buhaj po moskiewsku luczycy; rosa perłami się bieli, djamentami błyszczy, bo już i złote słońce wzeszło. A w Putywlu nie wiele jeszcze ruchu, w kozaczym obozie mniej jeszcze. Kozactwo hulało aż do białego dnia a teraz przysnęło trochę na jednym uchu.

Daniel Wyhowski i Iwan Neczaj wybierali się w drogę szukać czarnobrewek, a dwaj bracia Sirkowie oka nie zmrużyli, równo ze świtem wybiegli w pole. Starszy jak lis koło futuru myszkował koło hordy, czy nie można nyszkciem zachapać co ze zdobyczy tatarskich, bo to kozacka rzecz. Młodszemu wpadła w oko dziewczyna Putywlańskiego osadniczego; poszedł wilać się, czy czasem hołubka nie wyjdzie pleć w ogrodzie, albo prac chusta u rzeki; chciałby z nią poświegotać, pomrużyć, bo i to kozacka rzecz.

Osadniczego chata była za wałami nad samem bagnem, które długim obszarem ciągnęło się aż pod Putywlańską puszczy; djabeł sam tylko mógł tamtędy się przebrać. Sirko złodziejem czaił się pod płotem, nawet przyslonił się kuszczem łożyny; stał, czekał, wyglądał, i znudzil się. Zaczął krząkać, pokaszliwać, jak gdyby kto o tem wiedział, że on tam czeka; potem pogwizdował jak na charta, jak na sokola i mruknął: psia wiara trzystaby djablów ją piekło. Już z krzaka wyhulknął, machnął ręką.

— Et, to nie warto tyle zachodu! —

A w tem w kapuście pod konopiami zamajaczała mu zapaska. Ho! ho! jego oko sokole na te ptaszki; jak sarna przez płot skoczył, żerdzi i obcasem nie dotknął, i wprost jak na oślep przez grządki walil, na przepadłe łomotał czosnek i cebule, znać że wołokita nie gospodarz. Dziewczyna pleć przestała, patrzy, poznała co to za djabeł, gwałtem trzyma oczko od mrugu, usta od pustego śmiechu.

Sirko ruchem się składa, okiem się wdzięczy.

— Dobry dzień harna dziewczyno. —

— Dobry dzień Panie Kozacze. —

Sirko zapomniał od czego zacząć, dziewica się uśmiechnęła.

— A czego wy chcecie Panie Kozacze? chleba, soli, czy krynicznej wody? —

— Ani jeść, ani pić mi się nie chce, ale ty dziewczyno, taka harna, żeby cię djabeł porwał! —

— Z doprawdy? —

— Z doprawdy, z doprawdy; przysięgam Bogu, jak matkę kocham. — I chciał ją wziąć za rękę, ale dziewczę się drażniło.

— Dajcie mnie czysty pokój. —

Oj dam co zechcesz, tylko kochaj mnie! —

— Jeszcze czego nie stało; albo to ty mnie ojciec, czy matka? —

— Oj kochaj mnie dziewczyno moja! —

— Jam nie twoja. —

— Jedno słówko powiedz, a będziesz moja! —

— Z doprawdy? A gdzie wy mnie Panie Kozacze zawiedziecie? —

— Nad Dnieper, w zamek; będziesz tam panowała jak Laszka Pari. —

— Z doprawdy?.. —

— W jedwabiach będziesz chodziła, na puchu spała. —

— Patrzaj! —

— I obrazek każę z ciebie wymalować na adamaszku. —

— A z kąd na to wszystko pieniądze? —

— Konie, spisą zdobędę, a jak nie, to i konia i spisę przedam, a będą pieniądze. —

Dziewczyna się śmiała, dziewczyna mrugała.

— Hoj! hoj! eo tu obietnic! ale wy wiecie Panie Kozacze, obiecanka, cacanka. —

— Panie Boże tak mnie wspomagaj; niech mnie wszyscy djabli porwą, jeśli nie dotrzymam co przyrzekam. Oj dziewczyno moja lastówko, kochaj mnie, kochaj mnie! —

Tak się prosił, w przysudy przysiadł, i obie rączki dziewczęcia już miał w swojej ręce; aż tu nagle dziewczyna wyrwała rączki:

— Uciekaj! chowaj się! —

Kilka kroków w bok odskoczyła, i poczęła plec jak gdyby nic nie było.

Sirko schował się w konopie, w kuczki przysiadł, i laso na dziewczynę patrzył, jak kot na mysz; aż tu trzech ludzi koło niego przeszło. Poznał: byli to Marcin Ciecziura, osadniczy Prokop, i jakiś dziad rudobrody jak szerszeń, piegowaty i zielonawych oczów. Przez płot przeleźli i jeszcze tam długo z sobą rozmawiali. Potem dziad poszedł wprost w bagno, a Ciecziura z Prokopem wracali.

— No, już to jak on chodzi przez to bagno, to djabeł to wie? —

— No wielkie dziwo, nie koń to koniaka; djabeł a on, to niby to nie wszystko jedno. —

— Mniejsza o to, ale on nam pomoże Wyhoszczukom sadła zalać. —

Prokop spojrzal na córkę.

— Parasko moja, co tobie tak na pracę się wzięło? —

— Trzeba plec żeby ziele nie zagłuszyło kapusty. —

— Ale najmyczkaby to zrobiła! —

— O ona tak nie robi jak ja. —

— Oj ty robotnica! Chodźno teraz z nami. —

— Nie mogę, niech dopieję. — I oczkiem spojrziała w konopie.

Cieciura odrzekł:

— Zostaw ją kiedy tak chce, będzie jeszcze czas, byle przed wiewczorem. —

— Szli ku chacie, a Sirko ich okiem popędzał.

W obozie kozaczym Daniel Wyhowski sierdził się a milczał. Stary Neczaj oseledec targał i mruczał.

— Służba to nie radość. Dobrze to mówią, cudza bieda to ludziom śmiech. Jemu to nic... a u mnie żonki jak nie ma, tak nie ma, tak nie ma. Nieboga gdzieś tam gorzkimi łzami płacze, a tu Iwaśko nie pozwala ruszyć na ratunek. —

Daniel Wyhowski przystąpił.

— Bracie Iwanie, jak ty myślisz o tym Wysoczaninie. —

— Ba, djabeł go wie. —

— Mnie się jego wiara nie zdaje bardzo szczerą. —

— Bóg to święty wie, teraz taki paskudny czas nastał, że i sam sobie człowiek nie wierzy. —

— Żeby no on czasem nie był w znowie z tym psem Cieciurą? —

— Tатеż oni często z sobą rozmawiali. —

— A o czym? —

— To o tem, to o owem; a djabliby ich tam podsłuchiwali, albo spamiętywali. Słowa to nie taka łakoma rzecz dla mnie; co jednym uchem wleci, to drugim wyleci; jak przyszło, tak poszło. —

Stary Neczaj nieprzyjaciel słów, kiedy ochota kozacza rozczumani serce, teraz w kozaczej chandrze niemi szafuje, zwyczajnie lichą, zdawkową monetą. I boi się o czarnobrewkę i żal mu jej. A Daniel słowami skąpi a zębem zgrzyta. W tem nadszedł młodszy Sirko. — Tak mu jakoś dobrze z oczów patrzy, jak myśliwcowi po uszczwaniu gracza zająca, a wąs podmuskiwał i nogą podrzucał, jak człowiek co to zrobił jakieś chwactwo. Nie nie mówi, a chciał żeby jego popytano, bo mu język świerzbi; a tu jak na złość nikt o nic nie pytał.

— Ha, trzystaby jego matkę, co ładny to ładny ranek dziś. —

— Nie było odpowiedzi. —

— Ojciec Neczaju, co wam takiego na wąsy wsiadło? —

— Ot, tak sobie. —

— He! he! i Pan Daniel coś taki chmurny, jak gdyby miał burzę sypaną na świat: tak to kiedyś nie bywało, pamiętają jak to my Kijowiankom sprawiali zabawę? —

— E!.. —

— Nie ekajno tak panie bracie, oł chodź ze mną, zobaczysz jakie Putywlanki. Jak zajrzysz młodycę, czy dziewczynę, to aż ledwie człowiek ze skóry nie wyskoczy, tak chce rączki jej dotknąć. —

Daniel Wyhowski odwrócił się.

— Prawda, że to ty żonaty. Biedny chłopcze, i na co to było

robić takie kępstwo; nie lepiejże to było zostać jak ja, jak Konstantyn, jak wszyscy chłopcy Zaporozża. Do nas dziewczęta śmieją się, za nami płaczą a na ciebie patrzą jak na nieboszczyka, jak na trupa jakiego. Niech mnie djabeł żywcem porwie, jeśli ja kiedy tę pohaną rzecz zrobię. —

Stary Neczaj zbliżył się do niego.

— I przestałbyś paplać. Siedemset tysięcy par djabłów byś zjadł, tobie śmiech, a nam płacz. —

Staremu Neczajowi lza w oczach stanęła, a na twarzy Sirka weselość jakoś zaturbowała się

— Przepraszam was ojcze Neczaju, daruj Danielu, nie przegniewajcie się. Ja nie myślał, żeby wam tak smutno było po żonkach, ale poczekajcie, ja wam dam dobrą radę. Zobaczycie, podziękujecie mnie. —

— Co takiego? — Obadwa przystąpili bliżej.

— To psiawiara ten Marcin Ciecziura... —

— Ha! co! — I uszy podkładli pod usta Sirka. A on opowiadał im wszystko co widział, a przytykał wargami, a kręcił głową. Nie zapomniał poczwarnić krasę Putywlańskiego dziewczęcia, ale obadwa szwagrowie nie słuchali tego nawet ani jednym uchem.

— Jedźmy panie bracie. —

— A ty Sirko pojedź z nami. —

— Ta czegoby ja dla was nie zrobił, ale pod warunkiem: że przed świtem tu będziemy, bo i ja mam swoją hołubkę na doświtki — pokręcił wąsa.

— Hej koni! — Oba szwagrowie wołali, i żaden nie zrobił tej rozkoszy Sirkowi żeby spojrzął na jego miąg, po pokręceniu wąsa, a on jechał dla nich.

Noc była — kury na północ przepjaly; na Semie w oczerecie i na halawach kaczkę dziwnymi głosy homonią w powietrze. Cyranka cyrka jak gdyby dziobem łamała suchy oczeret. Swistuny pogwizdują. Łyski drą się wrzaskiem. I hohole i podgorzalki, i plaskouose i krzyżówki kwaczą. Dzika gęś gęga, Putywelskiej straży zasnąć nie daje. Czarny bocian, nocny hajster dziobem postukuje, a czapła powrzaskiem wyplakuje rybiego ścierwa. Na cerkwi putywlańskiej puszczyki puhuczają; po chuszczach putywlańskie słowiki pieją; dziwna mieszanina, ale świat Boży dla wszystkich.

W Putywlańskim zamku Hetman jeszcze czuwał. Już przestał pisać listy, myślą dumal, a wzrokiem wodził po komnacie. To ta sama komnata w której po Beresteckiej wyprawie naradzał się Bohdan Chmielnicki z kilkoma ze starszyny kozackiej.

Zabawiał się Hetman w grę przypomnienia. On wtenczas był młody, niedawno pułkownik. Starszyna ręce opuściła, za-

niemiała jak kamień. Chmielnicki zwątpił, prawność go odbiegła, wódz przed starszyzną się tłumaczył.

— Ledwie nas pięćset koni, i to nieskorych do boju. Pano wie kozacy zwyczajnie starszyzna, każdy o sobie myśli, ten Lacha, ten Moskala, ten Bisurmana się czepia; a chłopci kozacy powiadają: niechaj temu Pan Bóg daje, kto dla nas dobrze дума. Lach zbrojno zajechał nasze kraje. Bisurman het precz w Ostrowy pozaganiał Zaporozie. Moskwa załogi powsadzała w nasze zamki. Wyzuwici naszym po łacinie Boga każą chwalić. Bojarowie naszych w poddaństwo zapisują. Tatarzyn niechrzczona psiawiara, molodyce, dziewice nasze w Jasyr goni; a my ani ludu nie mamy, ani grosza nie mamy, nie mamy za co zaczepić. Nie nam nie pozostaje tylko uciekać za Don, za Wołgę, i z tamtąd wyglądać co nam Bóg da, albo tam na czuźnie położyć naszą kozaczą głowę. —

Wszyscy milczeli, usta nie śmiały powiedzieć, ale myśli wtórowały Chmielnickiemu: nie ma co robić, uciekajmy. Wtenczas młody Jan Wyhowski wziął papier, krótko napisał, i podał Chmielnickiemu.

— Ojczu, te słowa rozeszlij między lud wszej Ukrainy, a zobaczysz czy będzie trzeba nam uciekać, czy wszystkich nie podużamy. —

Hetman w głos odczytał te słowa:

— Od stepów Nizowskich, od Dońca, po Slucz, po Boh, na wszej Ukrainie, każdemu być Kozakiem. —

Starszyzna otworzyła oczy, nie rozumiała, ale Chmielnicki zrozumiiał.

— Tak, tak, [każdemu być Kozakiem: podużamy, zwyciężymy. Janie Wyhowski, ciebie mianuję pisarzem kozaczyzny. Jak słowa Boże, tak te słowa obwieść, obesać po wszej Ukrainie. —

Słowa wichrem poleciały, i rozwiały się po wszej Ukrainie, a widzieli ludzie co porodziły. Chłop kozacki już kozak biegł do broni, a kozak w domu nie siedział, boby było i nie ładnie i nie wygodnie. Nie wiele czasu trzeba było żeby Ukraina kozaczą pieśń wolności zaśpiewała, i kozaczej swobody używała na całą gębę. I gdyby potem Pan Chmielnicki nie był szalał i mataczył, djabelby się nie wnięszał w sprawy kozackie, i nie byłoby licha na kozaczyźnie, z którego i sam Chmielniczenko spowiadał się przy śmierci: a kiedy śmierć człowieka garnie, to wtenczas z ust wychodzą słowa szczerzej prawdy.

O owym to czasie rozpamiętywał Hetman, a potem już niedawniejszy czas sobie przypomniał. Tu w Putywlańskim zamku, w tej samej komnacie, przez umierającego Chmielniczeńka, który nie chciał hetmańskiej buławy powierzyć ani synowi, ani zięciom, mówiąc: com ja popsuł, to Jan Wyhowski naprawi; przez wybór kozactwa już Hetmanem, pisał list do Króla Jego-

mości, i do Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, którym kozactwo wracał do matczynego łona, i żądał dla niego wolności wiary, swobody i równości z bracią Lachami; ten list sprowadził Hadyacką umowę, a umowa Konotopską bitwę.

Z takim to dwojgiem dzieci swojego wspomnienia pieścił się Hetman; i do tej zabawki dorzucał myśl o szczęściu kozaczego ludu, o służbie matce Polsce na przyszłość. W terażniejszości potężnej żenił z przeszłością przyszłość.

Tak dumając otworzył okno, chwycił świeży wiatr w piersi. Czy słuchał pienia słowika, bo on i to lubi? O! nie! tam drumkanie teorbenu spłoszyło słowiki, i znowu pieśń nieznanego dudarza ostatnią zwrótką brzmiała:

Szparki orle, mój Hetmanie,
Ho! ho! zawierz w me gadanie;
Taj w zuzuli nie wierz słowa,
Bo to ptaszka, białogłowa.

Potem drumkanie, po niem słowa zwrotki nieznaniej:

Balamutka to zuzula,
Ho! ho! w dumę się rozhuła,
Mimo chęci, mimo wołę,
Wwiedzie orły na złą dolę.

Pieśń ustała, drumkanie ustało, rozgłosem konało i skonowało, a Hetman stał w oknie, nie już nie słyszał; a tej pieśni z myśli pozbyć się nie mógł.

Równo ze świtem trzech jeźdźców przybieżało z putywlańskiej puszczy do kozaczego obozu; wszystkie trzy konie pianą zmydlone, rozparły się i robiły bokami. Dwa jeźdźce zostali, a trzeci ledwie z siodła skoczył, pobiegł ku wałom.

Ci dwaj stali jak dwa słupy milowe, nie do siebie nie mówili, nawet na konie nie spojrzeli, a oni kozacy, a to bracia konie. Dopiero po chwili, jak gdyby im na jedną dumkę zagrało w duszy, zawołali!

— Ha psiawiara! — I obadwa dłońmi złożonemi w kułaki, uderzyli się o uda.

— Już to on! —

— O on! trzystaby go djabłów piekło. —

— Ja mu dam! —

— I ja nie pożałuję. —

— Hycel! —

— Zdrajca! —

— Poczekaj! —

— Chodźmy! —

— Chodźmy! —

Rozmówili się panowie szwagrowie, i szli prosto do zamku, a miny ich były czepko złe; zdaloby się komu, że cały świat chcą

wymordować. Stary poddawał młodemu, a młody staremu. Wyszli wprost do hetmańskiej komnaty gdzie była starszyzna; między niemi był i Marcin Cieciura. Hetman popatrzył na nich okiem, i jak szczerwacz harapem powstrzymuje charty od zwady, tak on ich powstrzymał. Była mowa o kozaczych rzeczach, a żaden ze szwagrów nie śmiał przed Hetmanem w obec starszyzny wytoczyć swojej sprawy; bo ile razy usta już składały się do mowy, to tyle razy oczy ich spotkały hetmańskie oczy i milczeli; ale za to mową tych oczów nałajali Cieciurę.

Przy wychodnem napotkali młodszego Sirka, i jego żar gniewu palił.

— Ha psiawiara! hołubkę mi zabrał. —

— Kto? —

— Co? —

— Ha! dziad czarownik. —

— Marcin Cieciura? —

— Ha! nie, ten hycel; ja mu dam, ja dotropię. —

— Kogo? —

— I moją i waszą; ruszajmy. —

— Czekałmy. —

— Czas nie stoi. —

— Cieciura huncwot przyjdzie. —

Nie wychodził Cieciura, a czas uchodził.

— Ruszajmy na gorący trop. —

— Czekałmy trochę. —

— Ruszajmy. Dalibóg dopędzimy, a damyż psiawiarze, damy. —

— No kiedy ruszajmy to i ruszajmy. — I wszyscy trzej poszli.

III.

MONASTER.

W Baturyńskim lesie między Nikolskiem a Uteżą, stał sławny monaster pod godłem Trójcy Świętej. Na północ monasteru leżało jezioro, we środku czyste, a tak spokojnej i gęstej wody, że zdawało się oku jak ława zastygniętego srebra; choćby jaka burza była na świecie to wody zmarszczyć nie zdołała, i jaskółcze skrzydło od wody odślizgało, i muszkieta na niej ani znać było; po jeziorze nigdy a nigdy czołno się nie pluśkało, bo tam ryba nie mieszka, bo tam ptak się nie pławi. Do koła jeziora opasała się rąbem łozina szuwarem i chuszczami podszyta. Za tą łoziną hulaszczą dąbrowa; z rzadka sterczą dęby rozsochate, niby strażnicy monasteru, czołami w niebo patrzą, a gałęzie chylą ku ziemi, jak do podjęcia, jak do uścisku. Trawa bujna, szerokolistna, narzucona różnobarwnem kwieciami; tam liljowe dzwonki piją rosę, wstydzą się słońca, i medwedunka ukraïnka z pod mszystego liścia to różą, to błękitem się mieni; piwniak młodziec od słońca jaskrawiej jaskrawieje; krwawnik w trawie wstydem płonie, ostróżka po nad trawą buja, a kraśny budiak wszystkiemu hetmani. Wśród takiej dąbrowy było jezioro, i nigdzie oko ludzkie nie mogło znaleźć śladu zkąd się brały wody, i gdzie odpływały; na jeziorze nie było pleśni, ani ubytku, zawsze w równi stało, zawsze było czyste.

Dąbrowa zajęła krągłe wzgórze, a około wzgórza porało się bagno przepaściste, istna topielica; a za bagnem het ku Uteży, ku Szynkom, ku Nikolskowi, ku Ustji ciągnęła się czarna puszcza. Przez bagno jedna tylko sagłówka prowadziła na wzgórze, i to długą a krętą taśmą. W puszczy było kilka drożyn, ale to takimi wertepami, że ludziom tamtędy jeździć to kara Boża; a tak tam bezludno, że nigdzie nie słyhać supilki pastuszka, ani kołokoła bydłęcia; w całym lesie nie było ani futuru, ani pasieczyska. Monaster tylko sam jeden w Baturyńskim lesie gościł, ani dobrego, ani złego sąsiada nie miał. I dla tego jedni zwali go Trojeckim Monasterem od godła Świętej Trójcy, drudzy Samotnikiem.

Jak wieść niesie, że kiedy Ataman Swiergowski z młodcami na Wołosze poskoczył, bratnią rękę podać Gospodarowi Iwoni, chrześcijańskiem żelazem wychlustać psa bisurmana; trzy jego córki, krasne dziewice, ojcowskim groszem w Baturyńskim lesie monaster wystawiły; poświęciły świętej Trójcy, na uproszenie czci i sławy ojcu i kozactwu, i powiedziały: tu będziemy czekały, póki ojciec nie powróci. Czekaly, czekały i nie doczekały się ojca powrotu; ale przed śmiercią doleciała ich wieść o uczciwej śmierci ojca, o sławie, o czci atamańskiej, o sławie o czci kozaczej. Pomarły dziewczycami, a ich towarzyski, takóž kozacze dziewice, poprzysięgły na monasterne życie, i z tąd powstały Czernice Baturyńskiego lasu.

Monaster w czworogran się wznosił; w ścianie od jeziora była brama, dniem i nocą na wrzeciędzie zaparta. Na bramie był przybity krzyż ze Zbawicielem, pod nim święcielnica z wodą święconą i kropidło; nad bramą wieżyca darła się w trzy ramiona, i na każdym stał krzyż złocony. Obok trójramiennej wieżycy druga kopułą kryta, a pod nią trzy dzwony jeden pod drugim, na wiązaniach zawieszony; tam była cerkiew, a obok niej mieszkanie starego Czernca, spowiednika zakonu, i starego dziada posługacza cerkiewnego; i ta ściana zwała się ścianą Świętej Trójcy. W ścianie od wschodu były mieszkania gościnne dla pielgrzymów i podróżnych, okna z niej wychodziły na dąbrowę, na świat Boży, i ta ściana zwała się: ścianą błogosławionej Anny, od imienia najstarszej dziewicy Atamana Swiergowskiego. Południowa strona przeznaczona od nadworu dla chorych, od środka na rozmaite składy, zwała się: ścianą błogosławionej Zofii, od imienia średniej córki Atamana Swiergowskiego. W zachodniej części mieszkaly Czernice, do tej części wchód był ciągle strzeżony zamkniętą furtą, a przez korytarze, małemi drzwiami był wchód do cerkiewnego chóru; ta część zwała się: ścianą Marji, od imienia najmłodszej córki Atamana Swiergowskiego. We środku ogród warzywny przezucony sadem śliwkowym i wiszniowym; tam była krynica ocembrowana, a nad nią groził kruk z zaczepionem wiadrem. Ogród był oczęstokolony, a w około niego szerokie miejsce przechodu.

W zaczeluścionych kurnikach śpiewał drób w różnogłose, ale go widać nie było; słyhać było i rachanie wieprza, ale nie było go widno; czasem kot na dachu się ukazał, albo kuna z pod muru pod mur przebiegła, i kilka liszek biegalo w około częstokolu, zaglądało jakby tu można z monasteru wyleść: to gospodarstwo księdza Spowiednika. Zewnątrz siwemu monasterowi przeciwnym obyczajem jak u ludzi, młode lysin na starość coraz bardziej a bardziej chwastem porastały.

W samotnym monasterze zazwyczaj było cicho, glucho, jednak i jednako, ale od dni kilku nie tak się działo; przyjechali

nie pielgrzymowie, ale podróżni, i to dostatni, bo dworno przy nich było. Czerniec spowiednik poznał pułkownika Wysoczana, bo i czerniec Filaret zakonnikiem się nie urodził; kiedyś on bratem koniem po stepach hasał; kiedyś siostrą szablą mahał w prawo, w lewo; dla niego jęczał wróg pod nogami; dla niego śpiewała czarnobrewa krasawica. Oj! ganiał on i na czajce w bisurmańskie grody. Znał się on z Wysoczaniem, witał dawnego brata wojny; patrzył na konia, na szablę, i dawne czasy mu się przypomniały; a kiedy ujrzał niewiasty czarnobrewki, i dowiedział się, że to córy Chmielnickiego Bohdana, to tak w nim koczacza krew zagrała, że na ich jedno słowo dałby się był rozciwertiwać.

Przełożona, ksieni Czerniec, rodzona siostra Wysoczana, przyjęła gości. Mieli wszelkie wygodę, ale oko ich nie widziało żadnej Czernicy, tylko ucho słyszało śpiewy w cerkwi. Obie czarnobrewki tęskniły na tem odludziu, i co dnia, po kilka razy na dzień pytały Wysoczana, co się dzieje na bożym świecie, gdzie ich mężowie? On wciąż jedno i toż samo odpowiadał:

— Żaden mnie posłuch jeszcze nie doleciał, ale mam ja wiernego człowieka przy Cieciorze, on innie o wszystkim doniesie. Córy mojego nieboszczyka Hetmana, bądźcie spokojne, włos wam z głowy nie spadnie, wróć was waszym mężom; ale teraz póki zamieć w Ukrainie, lepiej tu przesiedźmy, a jak nam nasze słońce zajaśnieje, to ruszymy w drogę. —

Obie czarnobrewki znały wierność Wysoczana dla krwi Chmielnickiego; on nad nimi mimo ich wiedzy czuwał, i jak tylko skmetował, że Cieciora nieczestne zamiary knował, natychmiast uprowadził ich z kozackiego obozu.

Wysoczan dziki, okrutny, tak iż go wszędzie nazywano rosumacha kozacka, Lachów nie cierpiał jak kot psa, Moskwę zaś jak pies kota; z Bisurmanem tak się nie godził jak ogień z wodą, a Wołoszy tak był przyjaznym jak woda ogniowi. Bohdana Chmielnickiego tyle ukochał co swojego konia i swoją szablę, i do jego krwi czuł także samo przywiązanie. Nie miał ani żony, ani dzieci, ani jednego serdecznego druha w całym Kozactwie; za młodu, powiadają ludzie, że jako tako z ludźmi przestawał, ale na starość to się zmieniło. Do jedynej siostry ledwie parę słów przemówił, i ze starym Filaretem unika rozmowy. Jego służba powiada, iż jeden tylko dudarz Naum Pohany, dla brzydoty swojej twarzy tak przezwany od Kozactwa, miał do niego przystęp, a ten dudarz to djabeł to wie jaki człowiek; wszyscy mówią, że niesamowity.

Dzień to był sobotni, dzień Matki Dziewicy. Słońce ojaśniało świat cały, ukraińskie niebo takie czyste, że kiedy sokol leci, to oko kozacze dojrzy ślad jego lotu; a wiatr tak drzemał,

że kozacze ucho, choć tam z wysoka, słyszy poświst jego pióra. Obie czarnobrewki wyszły na dąbrowę, chodzą sobie jak dwie łanie; to kwiecie zbierają, to wysłuchują czy jaki rozgłos nie homoni po puszczy. Wysoczan do koła nich z daleka krąży, jak drop stadnik, oko bystre na zerki, a ręka chwacka do szabli. Patrzył na niebo: od wschodu pojedynczo orzeł po orle leci, pomruknął:

— Czy już po wszystkim? —

Znowu patrzy od zachodu na wschód: kawki i wrony tabunami się taszcą; machnął ręką:

— Już po wszystkim. —

I czerniec Filaret także ku jezioru się zbliżał, i on patrzył na orły, na kawki i na wrony; zrozumiał co to znaczy, żegnał się krzyżem świętym; bił się w piersi i szeptał pacierze, modły, o wieczny odpoczynek dla dusz poległych w boju ludzi; o przebaczenie im ich win.

Aż tu w lesie zagwizdało, nie sowa to, ani żadna ptaszka. Wysoczan się naszczudlił, i obie czarnobrewki ku niemu się zbliżyły. Jeszcze pogwizduje; Wysoczan machnął ręką:

— To on, to Naum. —

— Wieści nam niesie! —

Obie czarnobrewki zaświegotały, i rozglądają po dąbrowie; aż tam idzie starzec, a obok niego dziewczyna: starzec rudobrody, a taki ponury jak pies przed wściekliczną; dziewczyna czarnobrewa, a taka smutna jak owieczka na powrozie. Już przyszli: dziewczę mileczy, a rzecz dziwna! Wysoczan z Naumem nie powitali się kozaczym obyczajem: Sława Bogu — Na wieki wieków; tylko Wysoczan mruknął:

— Cóż tam słyhać, Naumie? —

Obie czarnobrewki uszy nastawiły ku starcowi, a okiem patrzyły na dziewczynę, bo twarz starca im nie w smak. Naum na nie niby nie patrzył, odmruknął:

— Moskwę djabli wzięli. Cieciora zmarnował czaple pióro, bo dwóm czaplom piórom nie być na kozaczej ziemi. Na djableśmy imię zesłi! pan Pisarz hetmani, a krew naszego ojca Hetmana, krew Chmielnickiego uniżenie pana Pisarza słuha. —

Obie czarnobrewki spojrzwały na siebie, a Naum jak z umysłu westchnął.

— O tak, tak mnie żal. Czemu nie Juryszka? wszak to rodzone dziecię Bohdana? Czemu nie Neczaj? czemu nie Daniel? Wszak to przybrane dzieci Hetmana nieboszczyka. Czemu nie oni czaple pióra noszą? A to Pisarz... człowiek z niczego, i niczem Chmielnickiego krwi. Oj! gorzko nam gorzko! Na liche imię, do djabła Kozaczyzna idzie. —

Obie córki Chmielnickiego słuchały, a Wysoczan się zniecierpliwił.

— Babom płakać i narzekać, a nie nam; cóż tam teraz Naumie? —

— Pan Pisarz panuje, Lachy i Tatary po Ukrainie się włączają. —

— A taż co za dziewczyna? —

— Córka Bundiucznego Prokopa osadniczego Putywła; mnie ją powierzył, żeby ją schował przed Lachami i Tatarstwem. —

Helena przygarnęła do siebie dziewczynę.

— Parasko, ty moja siostra mleczna. —

Zbliżył się i czerniec Filaret. Czerniec się wzdrygnął, i Naum się wzdrygnął; może oni gdzie się z sobą i znali. Czerniec imię Boże wyszepnął, a Naum wymruczał imię djable.

Kiedy wchodzili do monasteru, wszyscy palce maczali w wodzie święconej, i trzykroć razy żegnali się ojcem świętym, tylko jeden Naum tego nie uczynił. A jak czerniec wziął kropidło, i wodą święconą i ludzi i gmach błogosławił, Naum się umknął i wstrząsł się jak gdyby go dreszcz napadł; nikt jego nie zwał oprócz starego czernca.

Naum wszystkie a wszystkie wypadki opowiadał Wysoczanowi, a czoło pułkownika chmurzyło się i chmurzyło, a usta burczały imieniem djablem; w końcu powiedział:

— Neczaj dudek, Cieciora szachraj. Chmielnickiego krew musi panować. Niech ich wszystkich djabeł pobierze. —

Mleczna siostra Heleny opowiadała o Putywlu; jakiego tam ludu mnóstwo, jak ojcu nie wiedzieć się co przywidziało i wyprawił ją tu na pustynię. Rozповідаła o Sirku hołubczyku, dwa razy go tylko widziała, raz na tańcach, drugi raz w ogrodzie. Widno że Sirko czasu nie stracił bo w serduszku dziewczyny dobrze się ugościł. Helena wypytuje czy jej co nie mówił o Danielu Wyhowskim, bo Wyhowscy a Sirkowie to przyjaciele pobratni na pohulankach Kozacych. Biedna czarnobrewka mniemała, że Sirko taki niegłażny, iżby miał ładnej dziewczynie gadać o przyjaciolach, albo o innych bojach; on nie z takich ludzi. I Paraska nie umiała odpowiedzieć na pytanie Heleny.

Wysoczan postanowił kilka dni przeczekać, a tymczasem wysłał gońców na wzwiady.

Mrok szary po niebie jak mglisty tuman po nad ziemią się rozwijał; na dębach ptaki już zadrzemały; w ługu lis skowytał, a niebawem wilk w puszczy zawył. Stary Naum nie chciał nocować w monasterze, mówił, że mu tam ciasno oddychać, poszedł nocować na dąbrowie. Czerniec Filaret pokręcał głową, wyszedł na dzwonnice patrzeć, co ten człowiek będzie robił. Cho-

dzi po nad jeziorem, wzrok wnrzył w ziemię, jak pies co zwierza tropi; zbierał zielę choć ciemno, chróst łamał, i zemknął z oczów w łozinie. Długi czas nie było go widać, aż nareszcie się ukazał, ale ledwie majaczał, tak już zaciemniało w powietrzu.

Widział Filaret jak rozłożył ogień tuż pod oknami, gdzie mieszkały córki Chmielnickiego, sam usiadł, grał na czterostronnej bandurce i śpiewał:

Hej wyje wilk w czarnej puszczy,
Gwiżdże sowa w ciemnej kuszczy,
I noc czarna, czarno płynie,
Smutno, tęskno Ukrainie.

Pan Chmielnicki nasz serdeczny,
Poszedł, poszedł w pokój wieczny,
Obcy człowiek nam panuje,
Krwí Bohdanka rozkazuje.

Hej w zakonie syn Bohdana,
Krasne córki mają pana;
A Kozakom iza nie płynie.
Smutno, tęskno Ukrainie.

Cześć hetmańska, nasza sława!
Buńczuk kary i buława,
Czaple pióro, pieczęć złota,
Wszystko poszło w obce wrota.

Obcy człowiek rej nam wodzi,
I hetmani naszej młodzi;
A Bohdanka krew nie sływie,
Smutno, tęskno Ukrainie.

Drumkał Naum, a tylko jedna głowa wychyliła się z wolna i słuchała jego pieśni. To była młodsza córka Hetmana niebo-szczyka, Helena, żona Daniela Wyhowskiego. Naum podniecał ogień, i w czarnem tle dym biały, niezwyčajny, wzbijał się w górę, a dudarz jakby niechęący poganiał go ku oknu, gdzie była czarnobrewka. Tak drumkał i jedną a też samą pieśń śpiewał, i ogień podniecał i dym poganiał, póki Helena od okna nie odeszła i okna nie zamknęła.

Stefanida, żona starego Neczaja, przy łóżku klęczała i modliła się do Boga, a Helena i modlić się długo nie mogła, i drumkanie i śpiew nie mogły ją rozerwać, tak jej tęskno za mężem kochankiem, a sen gwałtem ciśnie się na powieki. Jeszcze wczesnie, północy nie masz, a obie siostry nim zasnęły zawsze zwykły długo a długo z sobą gadać, choć cały dzień razem z sobą przepędziły; bo w sercu kobiecem tajemnice plenią się a plemią, snują się a snują, i nigdy tak się nie wysnują, żeby tam zosta-

wiły czechość. Ale tą razą ledwie spać się układły; Stefanida gadała i nie odebrała żadnej odpowiedzi.

— Heleno, ty śpisz, Heleno! — Darmo wołała. Helena spała i sen jej nie był pustym. Ledwie oczy zamrużyła, stanął przed nią Ojciec, w sutym atamańskim stroju, jaskrawym od złota i drogich kamieni; ale najkрасiwsze ze wszystkiego było czaple pióro przy czapce; twarz jego była ani smutna, ani wesoła; wziął córkę za rękę.

— Chodź ze mną,

I ona za nim szła. Szli z monasteru, na dąbrowę po nad jezioro, i po jeziorze zaczęli chodzić; ale tam nie tylko oni sami byli; mnodzy ludzie przechadzali się tak jak i oni suchą nogą, a wszyscy byli w kozaczych strojach, i wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra; nie nie mówili do siebie, nawet większa część zdawała się stronić od Chmielnickiego, a Chmielnicki gadał do córki:

— Patrz na tego, jaki rosły, jaki butny, to Lach. Lanckoroński z rodu, Przeclaw z imienia. On Moskwie na Bisurmanach pokazał co siła kozacza może; mógł być królem Wszej Rusi, a przyprowadził Kozactwo i oddał Polsce. Obok niego ten łysy, to Ostafi Daszkowicz, dziecig Dnieprowe, porohów kochanie, przedmurze i podpora Polski. Podle niego Bohdanko Książ Różyński, powiernik Wielkiego Króla; to trójka nierozzerwana, też samę dumkę śpiewali: Sława i potęga Polsce. Na pokład tejsze samej budowie szablami siekli, na potęgę i sławę Polsce. Oni wszyscy trzej kłonią czoła przed tym samotnikiem, a on w górę po orlemu patrzy; i oni mają czego przed nim się kłonić, i on ma czego tak w górę patrzeć. Od stworzenia świata aż do jego końca, nie było i nie będzie męża z takim szczerem sercem, z takim dzielnym ramieniem jak on: to Piotr Konaszewicz Sahajdaczny. —

— Oni odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli, i mało kto zrozumiął. —

— Patrz, to stary Iwan Książ Różyński, ten kochał Kozaczyngę, ale nie długo nad nią przywoził: to Wenżyk, dusza laska zkozaczała u nas; tanto Swiergowski, zna go Wołosza, u niego Bóg, dobra wiara i Kozacza sława, a więcej o nie nie dbał i dla tych trzech rzeczy zginął. Ten młody co się ciągle zżyma, to Szach; jemu się wciąż zdaje, że on na Carogród płynie, tak brwi marszczy jakby miał huknąć: w pień. w pień Bisurmanów. Ten ponury, smutny, to Skałozub, skurezyć się nie chciał, jak męczennik chrześcijański zginął; to kozaczy święty.

— I ci odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli. —

— Patrz, oto Podkowa, dziecina Wołoszy, na jego szyi jeszcze widno krew od lackiego miecza. Za nim Pawluk taki bładny, jak gdyby tylko z lackiego pala zeszedł. I Nalewajko cały

w ranach; tego bracia Lachowie, za zaufanie jakie w nich położył, w kotle, jak padło jakie gotowali. —

— Ci do mnie się garną, bo oni mnie nie zrozumieli, i nikt nie rozumiał. Chodź córko, może ty mnie zrozumiesz. —

Szli dalej pomiędzy tymi ludźmi, ale Chmielnicki milczał, a Helena patrzyła na nich; wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra. Przeszli jezioro i poszli w ziemię. Chmielnicki szedł śmiało, Helena drżała, ale szła za nim. Tam w pieczarze stanął, stuknął nogą, i ze złota korona z berłem zjawiła się na ziemi.

— Córko, mnie zwą i będą zwali zdrajcą. Wyrzucać będą, zem prowadził w poddaństwo Moskwy, zem zdradzał Matkę Polskę. O nie! chciałem ładu w Polsce, chciałem ją podeprzeć, postawić na nogi. Król Władysław mi świadkiem. Ale wyzwoleci, ale pankowie bezładni, to kłakol w narodzie. Z nim Polska to próchno; nie z niej nie można zrobić, chyba samemu z nią razem spróchnieć. Moskwie baki świeciłem, żeby ją znieść z kolei, i czaple pióro zamienić na koronę kozaczą. —

Rzucił czapkę z czaplem piórem o ziemię, a nałożył na głowę koronę.

— Córko, krwi moja, ty mnie zrozumiesz może! —

Helena padła na kolana. —

— Ojczu! Ojczu! —

Tak mocno krzyknęła, że Stefanida zerwała się z łóżka.

— Siostro, co ci jest takiego? —

I Helena otworzyła oczy.

— Ojczu! Ojczu! Stefanido! —

— Co ci jest takiego? —

— Nasz Ojciec! — tam w ziemi — na jeziorze —

— Co ci jest takiego? Patrz na mnie — Heleno! —

Helena otwiera oczy; siostra przy niej, ona na łóżku. Księżycowe światło płynie po izbie, a jej w oczach jeszcze mającej ją i czaple pióra i korona, a tam z za okna pieśń z drumkaniem leci:

Czaple pióro hej jaśnieje,
Hej korona złotem sieje!
Dla Hetmana, Króla pana!
Hej dla mężów, cor Bohdana.

Helena skryła oczy w dłonie.

— Ojciec! nasz Ojciec! —

— Siostro moja Heleno, co tobie jest takiego? —

I obie czarnobrewki tuliły się do siebie, jak dwa gołąbki kiedy zasłyszą świergot szulaka, a księżyc srebrem sypał i sypał, a do koła było cicho, było głucho.

IV.

D R O G A .

Szlakiem Baturyńskim bieży kilkunastu jeźdźców, a na rączych koniach; i bachmatom tatarskiemu nie zawodzić z nimi o wytrwałość, i arabskie neźdy nieszparksze od nich biegiem, i czekierskie dżianety w szusach nierażniejsze: to Dnieprowe kozacze konie, i Kozaków na sobie niosą.

— Hej Sirku! czy nie w ślepego my gramy?

— Ho! ho! spuść się na mnie, Ojczy Neczaju, psi węż ja mam a sokole oko.

— To to ty tuman, ale i djabeł tuman.

— Pokaże się, kto kogo w pole wyprowadzi.

— Ta żeby to Bóg dał, żeby tak było.

— Ojczy Neczaju, tak będzie; ty wiesz, że jak który z Sirków wsiądzie na trop, czy tatarski, czy djabli, darmo zaskoki, darmo kluczki, on swojego dojedzie. Niech nam w oczy pluną ludzie, jeżeli pokażą, że tarantowaty koń, albo Czarnobrewa dziewczyna wymknęła się Sirkom. —

Tu Daniel Wyhowski koniem skoczył.

— Ot, ot, coś majaczeje. —

Sirko w poprzek drogę przebiegł.

— Nie tak szparko, jeszcze nie czas.

— Ale on nam się wymknie.

— Słuchajno Danielu, żebyś ja tylko o sobie myślał, tobym gonil; może to i moja ptaszka tam się czerni: ale gdyby to i oni, ptaszka może nic nie wyśpiewać, bo może o niczem nie wie, a djabłowi wyrwij słowo z ust, to będziesz i sam djabełem. Wtenczas to dopiero łam sobie głowę, gdzie droga i dokąd jechać. Panowie bracia, wierzcie Sirkowi. Miejmy go na oku, a on nas zaprowadzi. O! nieraz, nieraz tak wodzili Sirków saniż Tatarowie do tabunów Hańskich. —

Stary Neczaj wąs musnął.

— Ta-że ty dobrze mówisz, musi być twoja prawda. Zresztą

nie wszystkim nam rozkazywać, tylko jednemu, bo inaczej to i najlepsza rzecz na durne imię pójdzie.—

Jechali stepem, a tam w dali coś majaczaje, i het bieгло przed nimi, a tak daleko że i kozacze oko nie mogło rozpoznać, co to takiego.

Już ku wieczorowi się zabierało; po szerokiem polu promienie słoneczne pomiotem jak len się słały, a ptastwo stepowe, jedno leciało na noclegi, drugie dziwnemi głosy homoniło po szuwarach; bez pastuchów wiodą żrebie tabuny, a ziemia dudni pod kopytami. Siwe woły, rogate, wałkami wałą przez burzany i ryczą. Czaban gra w supilkę, batogiem klaszcze, ku futorom pędzi wełniste barany. Het po polach, gromadkami, pojedynczo, idą młodyce, idą dziewczęta ze żniwa; na głowach wianki z pszenicy, z bławatka; za pasem sierpy, a z ust piosnki dźwięczą. Idą kosarze, na plecach kosy, u góry z pomiędzy grabiów żelazca jeszcze resztkami promieni słonecznych błyszczą. I wiązaczki noszą resztki przewioseł z pola, żeby je rosa nie zmoczyła. Wszystko tak jak gdyby w tym kraju wojny nie było. I rzecz nie dziwna; Moskal tam jak na gospodarstwo się sadowił, i nie niszczył tego co miał za swoje, a pan Wyhowski tak szybko, tak gracko się zwinął, że lud Boży ani się obejrzał, gdzie wróg się podział.

Wszystko tam było jak być powinno. Słońce zachodziło, rosa padała, a mrok ciemniał!

Kozacy jechali i jechali. Sirko zajrzał siolo, dawne Horodyszcze; tam ów maniak pokocił się, i już go widno nie było.

— Ojciec Neczaju, tutaj nad jarem przenocujemy.

— A czemuż nie w siole?

— Dla tego że nie w siole. — Ot tak sobie powiedział Sirko. Neczaj zdjął czapkę.

— Za przeproszeniem Waszmość Pana: ja zapomniał, to ty Watażka, już więcej tego nie będzie.

— Widzicie Ojciec Neczaju, żebyśmy byli w siole, mnieby skorciało do czarnobrewej jakiej, a to rzecz niepotrzebna, kiedy ma się co innego robić.

Niebawem Kozacy siedzieli, leżeli nad jarem, a konie w jarze się pasły. Daniel zły, markotny, od ludzi się odsunął, burką się obwinął, i tam do niej coś pomrukiwał. Neczaj, inna natura, w swojej markotności do ludzi się garnął, i rozmawiał i słuchał; od kozaczej dumki smutek jak mógł to odganiał, a Sirko harcował z myślami jak z Tatarami, jakby tu starego djabła w szory ubrać, a czarnobrewę Putywankę w rączki dostać.

Po jarugach wiatr świszczę, djabeł gdzieś harce wyprawia; Kozacy nie śpią, o djablich sztuczkiach dogadują. Jeden z Sa-

batyńców gorzałki pociągnął, z lulki zakurzył, parę razy przytknął wargami.

— Ot panowie bracia, wy temu może nie powierzycie co mnie się raz przytrafiło. Było to jeszcze za nieboszczyka króla Władysława, dobry to był człowiek, on lepiej lubił kozaków jak panów laskich; mówią ludzie że on dobrze pił, musiał tedy w winie prawdę znaleźć: że z Kozakami można i ład zrobić, i do dobra wszystko przyprowadzić, a z laskimi panami to będzie mądry jak to utnie; djabełby ich różnął, każdy dmie się jak paw, choć pusty jak pęcherz. Wszystko tylko — Mości-panie, nie pozwalam, i po ten dąb mila jego rozumowi, a jak przyjdzie ciągnąć wóz ojczyzny, to ten w prawo, to ten w lewo, a wóz na miejscu stoi, jeśli się nie połamie; paskudnie robią, ale djabeł ich tam pobierz, tu nie o tem rzecz. Barabasza psia-wiara był naszym Hetmanem, a Pan Chmielnicki jeszcze w pierze nie porastał. W Kaniowskim zamku my wtenczas byli, ja stałem na straży, a Darabasz pił w zamku z panami Lachami. Ciemno było, i noc chłodna, a szabla nie grzała w rękę, i kamień w nogi nie grzał. Puszczyk niedobrze puhaczył na dachur, psy wyły i biegły nad Dniepr, i trzy gwiazdy latawce w Dniepr spadły, znaki niekoniecznie samowite, aż tu do mnie coś biegnie, a łopocze; silniej ścisnąłem szablę w rękę, i zacząłem mówić. — Wszelki duch chwali Pana Boga — Tupotanie ustało a wyraźnie slyszalem: Me he he; jak gdyby cap zamekeczał. I tak trzy razy się powtarzało, i to było o samej północy. Ja nikomu nie gadałem o tem ale podumałem sobie: źle się dzieje — i źle dzieło. Nazajutrz rano przyjechał Wojewoda Kijowski; wtenczas był nim Pan Kisiel, z tym czarnym Niemcem. — I zaraz Barabasz tak się zaprzedał laskim panom, że i wiarę i swobodę kozacką chciał puścić na przepadłe imię. Otoż cap swoje wymrukał. Potem już później, kiedy Chmielniezeńko ciągnął na braci Lachów, myśmy byli przy Barabaszu, bo Sabatyńce zostali wiernymi matce Polsce; byliśmy w obozie z wielkim Hetmanem Potockim, znowu w nocy byłem na straży i cap po trzykroć razy mekczał. Z rana przyjechał czarny Niemiec; myśmy poszli pod Żółte wody i wszystko djabli wzięli.

— Twój djabeł to był prawdziwie djabła wart, nie taki jak ojca Syroda Hańskiego. Rzekł Sotnik Iwanowski.

— A jakież to był djabeł Hańskiego? zapytał Mykita Czernik.

— Jaki? to ja powiem. Wiecie, że stary Damian Hański mieszkał na odludnym futorze; otóż jednej nocy przyszedł do niego Niemczyk, skłonił się i powiedział: Zapisz mnie swoją duszę, a ja ci dam pełną bednię czerwońców — Damian to był zuch — zgoda, niech i tak będzie; tylko nie dziś, ale jutro. Niemczyk przystał — Damian cały dzień kopał a kopał jamę, i postawił na niej bednię, ale wprzód dno wybił. W północy

przyszedł Niemezyk, sypał złoto i sypał, i dziwił się mocno, że nie może napelnić; już nareście dosypywał, Damian chciał z czubem, Niemiec mówił dosyć; ale on targował się jak z żydem, strychował, gwałcił czerwonce czy dobre złoto, ważył na palcach, i tak wszystko kierował, mimo że Niemezyk gorący jak w ukropie parzony, aż kur zapiał, a on jeszcze duszy nie nie zapisał. Niemezyk naglił, Damian nudził; kur raz drugi zapiał. Niemezyk grozi, a Damian krzyż święcony położył w djabełskiem zlocie. Aż niemezyk i pisnął i hikiął, a tu kur raz trzeci zapiał — Niemezyk wert, skrypnął i poszedł — ale krzyknął. — Żeby żaden z twoich nie chodзил z szablą po złoto. — Zasmusował Damian, bo to djabełskie przeklęstwo na kozaka, zamówić go od szabli, ale złota było co korcami mierzyć. Zaraz Damian wystawił cerkiew, a księdza Czernca miał nieodstępny przy sobie — i Niemezyk więcej nie powrócił. — Prawda że teraz Hańscy się nie biją, ale co mają groszy, to mają.

— No to lubię, Damian Niemca ubrał w szory.

— Niech go trzysta djabłów weźmie z takim ubraniem! wolalbym ja z torbanami chodzić, jak wiedzieć o tem, że moje dzieci nie będą kozakami z szablą i ze spisą.

— Et nie zawsze to przeklęstwo djabełu się sprawdza.

— No to chwacki areszt położył Hański na djabełskiem zlocie.

Wiatr zawył w jarudze, a Sabatyńcowi widno coś się przysłyszało, bo krzyżem świętym się przeżegnał.

— Co ci jest takiego?

— Jak Boga kocham, cap mekceze. —

Śmieje się z tego Sabatyńcze, choćby mektał, to nie nie wymekceze; prędzej żaba zabita piersią pokarmi, jak tu na tej Ukrainie Niemiec się zjawi.

— Ho panowie bracia, ja widział, jakie to złe wróży.

— Dajmy pokój temu, ot niech Iwanowski wywoła nam djabeł Hańskiego, on może nam nasypie złota w czapki, a każdy z nas krzyżykiem złoto przyaresztuje.

Któryś tam snem zmoroczony stęknął.

— E, i rosa oczy wyje, nim się Hańskiego djabeł zjawi.

Tak kozacy między sobą bałakali, i pomalutku jeden po drugim zachrapał. Neczaj zasnął, staremu wołokicie do żonki nie bardzo się spieszy, lulkę na krótkim cybuchu miał w ustach, koło niego stała bakłaszka z wódką, te rzeczy przydobniejsze kozakowi w drodze jak młoda żonka, z sobą je zabierze i na czajkę i na kulbakę, a z młodą żonką po hulankach wojennych się nie wozić; konie się pasły w jarze, chrupotały trawę i drzemały nad trawą, a księżyc z nieba stróżował nad niemi, on nie spał — i Daniel Wyhowski nie spał; często obadwa na siebie patrzali. Księżyc był blady, smutny, i Daniel zły, markotny; obadwa milczeli, ale obadwa dumali. Księżyc o ziemi kochance, wieki wieków w okolo niej kołuje, kołuje, a dostać się nie może

choćby do jednego pocałunku. Daniel po niebie, po ziemi czar-nobrewki szuka; klnie Sirka czemu czekać każe, a sam jak dziecko bez niańki jechać się nie odważy i nie wie gdzieby je-chał, gdzieby szukał. — Dłużej nie wytrzymał.

— Hej do koni! już świt.

Czutko, rzutko kozacy na nogi się porwali, a każdy jeszcze oczów nie otworzył, a już za szablę dlonią chwycił. Daniel gwizdnął raz, drugi i trzeci; zbudziły się i konie w jarze, i jak psy na pogwizd w czwał biegły do kozaków.

Sirko kiwnął głową.

— Z ciebie nocznica Danielu, ale kiedyśmy wstali, to i w drogę, koni nie bałamucić. —

Stary Neczaj wziął za bakłaszkę.

— Na dobrydzień panowie bracia! —

Łyknął, i kolejko jeden po drugim z baklaszki łykali, potem skrzesał ognia, zapalił lulkę, i wszyscy kozacy pozapalali tytuń i kulbaczyli konie.

Ślaniała się, pełzła twarz księżycowa, jak twarz dziewicy, kiedy bladłość zetrze rumieniec, świt prószył się po niebiosach, a mgła z ponad ziemi tumanila się het precz szeroko, a kozacy wsiedli na koń, i pojechali w drogę; konie stępą kroczą i nozdrzami piją mgłę. Kozacy tytuń kurzą i łykają dym z mgły, a cichemi dumkami Bogu się modlą. Czas jakiś tak cicho je-chali, jak gdyby się wałęsali za lisem, albo za Tatarem po ste-pie. Nareszcie Sawa Oczeretny, któremu tak rzadko siadała tro-ska na wąsie, jak ptak na kołącym budiaku, zaczął śpiewać, nie frasując się czy to dla ludzi, czy dla siebie.

Kukuryku chłopcy idą,
Kukuryku w nogi z biedą;
Sabatyńce hajdamaki
Lecą końmi nihy ptaki.

Krasne dziewcze porzuc chatkę,
Porzuc ojea, porzuc matkę.
Z Sabatyńcem dernij w pole.
On ma złoto i sobole.

Ludzie sielsey, bracia swaty.
Ojeze, męże, nuże z chaty.
Hej psławitary hulk w pokrzywy,
Kiedy który chce być żywy.

Z Sabatyńcem nie iść w żarty,
Czysty djabel, pies uparty;
Jak się zmarszczy i rozgniewa,
Kukutyku wtenczas śpiewa.

Kole, siecze, we lby wali,
 Grabi, niszczy, chaty pali;
 Po tatarsku czambułuje,
 Kukuryku pośpiewuje.

Oczerecny śpiewał, kiedy natknęli się na siolo, bo za mgłą nie było nic widać. Tak rano, a już dzieci koło kolowrotu bawią się, nie w chrzászczyka, ale w inną zabawkę. Na szubienicy wisiało pół tuzina obdartych Moskali; drzewo szubienicy poskrzypywało, a dziatwa gruszkami trafiała w wisieleców. Kozacza to zabawka!

W karczmie nie było czarownika z Putywańską dziewczęcą, jak może sobie myśleli panowie kozacy, ale byli tam inni goście. Przed karczmą stała kolasa, po pod płótem stało uwiązanych kilkadziesiąt koni jezdnych, a dalej na słomie, kulbaki mając pod głowami, spoczywali ludzie w kaftanach łosiowych z wieczu pokrytych stalowymi koszulkami, w misiurkach na głowie, z szabłami u boku, a u głów leżały krzywe łuki ze strzałami; to towarzystwo lekkich litewskich chorągwi, z samych Tatarzynów werbowane, a zwane pocztowemi znakami, spali na dobre, i konie na dobre strawę jadły.

W pierwszej izbie w karczmie, na ziemi na rozciągniętych derbach i burkach, spoczywała starszyna litewsko-tatarska; chrapała, a twarze im się marszczyły, a wąsy im mrugały. Szynkarz z szynkarką już przygotowali wódkę i palanicę na dobry dzień.

W drugiej izbie zwanej alkierzem, dwóch ludzi już nie spało: jeden suchy, cienki, chudy, z policzkami tak zapadłemi, z oczami tak wklęsłemi wgłąb, jak u konia zrodzonego ze starej kobyły. Jednak te oczy po kociemu wyzierały z dołów. Wygodnie im tam było; nie potrzebował nikomu oko w oko patrzeć, a przynajmniej nikt jego szczerego wzroku zajrzeć nie mógł, był on w ciemnoburej kapocie, po bakalarsku skrajanej, długiej za kostki; na głowie czapka bobrowa, nakształt takiej jaką nosili ojcowie Jezuici. Drugi dorodny, przysadkowaty, zaledwie wyszedł z mierzyna, a pokaźnie się pobundiuczał. W kontusz z kusa po tatarsku przybrany, czerwona barwa, suto złota, mina gęsta, bez słów mówiły: to wojak z pancernego, albo huzarskiego znaku.

Chudeusz tak nastroił się surowo, jak bakalarz, kiedy ma wyrwać jakiegoś tam nequam do lekcji, a potem za tablicę.

— A coż Mości Muchawski czas już w drogę?

— Bene domine Vulpius, ależ ludzie tylko co się spać pokładli.

— Mniejsza oto, a my?

— *Illustrissime domine*, w kolasie dobrze się śpi, ale na szkapie djabelnie ciężko szpaka ująć.

— To się prześpią na miejscu. —

W mowie nie było brzmienia czysto polskiego, ale taki suchy, ucinkowy głos, że Muchawski przypomniał sobie dawne szkolne czasy; wyszedł do alkierza, a usta dłonią zatknął, żeby słowo przypadkiem nie wyleciało.

Muchawski rotmistrz husarskiej chorągwi Pana Wojewody Ruskiego, Starosta Stężycki, imieniem Franciszek Salezy, rodem Mazur, całe swoje nauki zakończył w infimie, w szkole tak zwanych braciszków świeckich, którzy gwałtem chcieli się podszycać pod opiekę ojców Jezuitów, chociaż największa część z nich bardzo niewiernie służyła kościołowi rzymskiemu; była to zbieranina włóczgów cudzoziemców i Polaków niewartych dobrego szlacheckiego imienia; żeby się pokryć bakalarskim płaszczem, każdy przybierał łacińskie zwanie, niby wojenne imię; każdy z nich starał się przyczepić do jakiego wielkiego pana, albo do tego co im się dawał powodować. Jak się który dochrapał tego szczebla, używano go do rozmaitych poselstw, i przez dziwny jakiś rachunek swoje czyny starali się kłaść na karb ojców Jezuitów. Zwano ich także doktorami mądrości.

Ci to braciszkwowie boćkowskim kańczugiem tak się dali we znaki Panu Muchawskiemu, iż nauczył się jak sroka paplać, *Illustrissime domine*, i kilka innych słów z Alwara, a tak dobrze pamiętał te szkolne czasy, że jak przejeżdżał koło jakich szkół, to mu pot zimny przechodził po za skórą, a skóra szwierzbiała jak gdyby przeczuwał że za frycówkę bakalarz sprawi mu frycówkę. Zazwyczaj krzykała i uparty, zawzięty jak ślepy Mazur, skoro zobaczył bobrową czapkę, to taki był potulny jak trusia, i trzy ledwie zliczyć umiał; a o mało co nie prosił *peto fores*: robił wszystko co mu kazano. Ci bobrowi braciszkwowie i Kniaziowie Suzdalscy dowiedli to światu Bożemu, że chcąc człowieka zrobić posłusznym i sprawnym, to to nie w głowę rozum należy mu pakować, ale w skórę bizunami walić.

Ledwie Muchawski począł budzić starszysznę, aż tu przed karczmę zajechał kozak jeden, i ten nie drogą przybiegł, ale z za karczmy wylulknął, a czając się na koniu, w okno zajrzał. Chudeusz jak djabeł od święconej wody, tak od okna odskoczył.

— *Laudetur Jesus Chrystus!* *Domine Muchawski*, ratuj nas! —

Muchawski wpadł do pokoju.

— *Illustrissime domine!* — I podniósł rękę do góry jak student, na znak że gotów na rozkaz.

— Patrz *Waćpan*. *Domine Deus*. —

Rotmistrz husarski popatrzył.

— To Kozak.

— Syzynatyk, Antychryst. Zdrada jaka!

— Ale to nasz zapewne być musi, nie Moskal. — I wybiegl.

— Nasz, nasz Kozak; — bluźnierca, lepszy Moskal. — Spojrzał przez okno że Muchawski jakoś przyjaźnie rozmawiał z kozakiem, i domrukiwał: tak, tak, lepszy Moskal, prędzej czy później będzie nasz, a tego to nigdy nie dostaniemy. Ja to wiem, ja jadę, tak kazano, ale wiem, że z tego nic nie będzie.

I tak się czoło i twarz doktora Vulpiusa namarszczyły, jak gdyby z ust i z oczów miał cisnąć pioruny trzaskające i śmierciodające na cały naród kozaczy.

Wpadł Muchawski, ale tak radośny, że zapomniał nawet o obecności groźnego mistrza.

— Nec locus ubi Troja fuit; Pan Wyhowski tak się uwinął z Moskalami, że i na nasienie nawet żadnego nie zostało, na całej Ukrainie. Requiam in pace im, hula babula, co djable, to djabel porwał.

Nim Chudeusz odpowiedzią powstrzymał rotmistrzowską wesołość, ukazał się w karczmie Sirko. Jak za wniesieniem światła do izby ciemność znika, tak za wejściem starszego kozackiego, zmieniła się twarz Chudeusza, uśmiech musu na nią wyjrzał, i przychylnością musu do niego się wdzięczył. I już nie po łacinie, ale po polsku przemówił.

— Chwała niech będzie Bogu, Panu naszemu, za odniesione zwycięstwa, a wy dzieci Polski odbierajcie cześć należną. —

Mówiąc te ostatnie słowa drgnął, jak gdyby go co ukluło w język. Kozak chmurno je przyjął; skłonił się, parę słów przemówił z Muchawskim, a potem karczmarza o jakies rzeczy na stronie wypytywał.

Niebawem nadjechali i inni kozacy; stary Neczaj i Daniel Wyhowski znali się z Muchawskim, w tych czasach w kraju polskim, kiedy wszysej na wsze strony uganiłi się za wrogiem; rycerstwo rodzone na jednym krańcu, znalazło się z rycerstwem rodzonym na drugim krańcu. Zwyczajnie lud bitny w kraju wrzącym wojną. Powitanie ich mimo smutku Daniela, mimo zasierdzonej elandry Neczajaja, było braterskie. Chudeusz zagaił obudwóch natychmiast i perorował, a z minką uśniechającą się, życzliwą i dobroduszną. Ale Sirko krzyknął.

— Panowie bracia, na koń, komu droga, temu czas. —

Sabatyniec za drzwiami kręcił wąs na palec.

— Sto djablówby jego matkę piekło i zapiekło; ja mówię, że mekezał, o toż i jest, bogdaj tylko wszystkiego nie wymekczal. —

Trzy razy splunął, trzy razy smyknął słomy ze strzechy i rzucił po za siebie, w stronę Chudeusza.

Jechali kozacy, Sabatyniec jak koń tabun, kiedy wilka czuje, niżyl kark, wnrzył oczy i wiódl wzrokiem po ziemi. I Ocze-

retnemu głos na śpiewkę się nie nawinął, Neczaj krzesał ognia i kurzył z lulki, wszyscy milczeli. Sirko wiódł przodem ale milczkiem. A Daniel był smutniejszym jeszcze; spotkanie Vulpiusa złym śwędem wionęło na kozaków, i niejeden pomarzył w dumce, trzeba było licha się pozbyć, żeby лихо nie robiło.

Słońce już poczęło wschodzić, złote promienie darły się przez tumanne mgły, a mgły powoli, powoli osuwały się na ziemię; i oko ludzkie widzi już świat Boży. Niebo błękitne, czyste, bez chmurki, i step taki szeroki, taki daleki jak niebo, a po stepie wszędzie niby jeziora leżą; i ludziom zdaje się chłodniej, i konie jak do wody raźniej zbierają nogi; a jeziora precz uciekają i znowu z przodu się kładą, i tak się drażnią póki w ziemię nie wsiąkną; a step ustroił się w rosę i promienie słońca, zdawał się utkany drogiemi kamieniami.

Szumno, wrzawno, ptastwo śpiewa, ptastwo leci, tabuny czwają, woły, owce suną na paszę, ludzie sielscy na robotę, a wszyscy śpiewem, rżeniem, rykiem Boga chwają, chwałę dzień biały.

Sirko jak pies tropowik, po drodze wzrokiem rzuca, czasem okiem w step spojrzy, i bieży przodem, konia nie w cały kłus puszcza. Kiedy rosa oschnie i na suchym calcu ślad kół ledwie gdzie niegdzie się znaczy, posyła w strony na wypadki, ludzie mówią: wóz się tędy pokocił, w prawo, w step, ot tędy gdzie orzeł poleciał; ot tamtędy gdzie ten tabun się pasie. Kosarze musieli widzieć, pytajcie tych czumaków, oni musieli zdybać. Gdyby orzeł chciał gadać, onby najlepiej powiedział; ciągle nad nim leciał, dopiero koło ot tamtej trzydziestej mogiły go porzucił. Takiemi poszlakami biegli, i nad wieczorem znowu im niby wóz zamajaczał daleko. I nazajutrz dzień po rozwianiu się tumannej mgły, znowu ślad znaleźli, i o poszlak się dopytali. I tak biegli trzy dni całe, aż nad wieczorem zamajaczała im Baturyńska Puszcza.

Słońce w puszcze zapadło, i nie przed puszczą dojrzeć nie można było; przyjechali pod puszcę, i radzi nieradzi musieli tam noclegiem stanąć. Sirko znał okolice, wiedział gdzie monaster, kmetował że tam musiał czarownik z Potywląską dziewczyną podybać; ale w nocy taką ciemną puszcą niekoniecznie pewno jechać, zwłaszcza że djabli mogliby drogę stumanić, i gdzie w takie wertepy zawieść zkądby ciężko się wylabudać, a kozak choć odważny jak orzeł, ostrożny jak czapla.

Już świtem wjechali w puszcę, a tak cicho, tak nyszkciem jechali, żeby djabła nie zbudzić, jak gdyby on mógł i w dzień Boży, po puszczy buszować. Już dojeżdżali do bagna, kiedy dało się słyszeć jakby drumkanie gęśli. Sabatyniec myślał, że to cap mekeze i przeżegnał się trzykroć razy krzyżem świętym. Stangli, słuchają, wyraźnie drumczy, a nawet i piosenkę pośpiewuje.

Leci orzeł dniem i nocą,
Leci, leci, poco? poco?
Po zuzulę, kumkę lubkę,
Po zuzulę, po holubkę.

Twa zuzula jest w niewoli,
Twej zuzuli serce boli;
Stęka, płacze, nudzi, swarzy,
Na szulaka bardzo skarży.

Hej, hej szulak hajdamaka,
Nuż orle na szulaka:
Daj ratunek kumce, lubce,
Daj ratunek swej holubce.

I śpiew ustał i drumkanie ustało; Daniel zawołał.

— Bieźmy, ona na nas woła, za mną. —

Wysforował się naprzód, a choć koń pod nim dzielny, i ścieżka w tem miejscu gładka, taki talerz zebrał, że aż pyskiem ziemi zachwyił. Sabatyniec się przeżegnał.

— Nie jedźmy, zły znak, cap mekce. —

Sirko chciał w bagno poskoczyć z drunkaczem, ale koń zachrapał, znarowił się, a po lesie taki szum i trzask się poniosł, że aż wszystkim czapki podniosły się na głowach. Daniel Wyhowski zerwał konia i ścieżką sadił w skoki, kozacy za nim, a Sirko już nie mógł przedrzeć się naprzód tylko krzyczał: w lewo, w prawo.

Przed bramą monasteru stał Wysoczan, a podle niego kilku z jego przydwornej służby. Kozacze ucho zasłyszało tentent konia; już miał wejść w mury, i dać rozkazy obrony, kiedy na dąbrowie pokazał się jeździec jeden, za nim drugi i trzeci i inni. Czy poznał Wysoczan tych jeźdźców, czy taką garstkę za lekce ważył, bo postąpił naprzód a służba za nim; ale mieli dobyte szable. Błysk szabli, zapalił krew Danielowi; wychwyił szablę z pochwy, konia przypuścił, koń wojenny wprost na Wysoczana sadił, a nim ten zdołał umknąć się wpadł na niego i zwałił piersiami na ziemię. I przeniósł przez służbę jeźdźca płatającego szablą na wiatr, i na wiatr wołającego.

— Psie, gdzie moja żona? —

Podniósł się Wysoczan, służba mu biegła na ratunek, nie bardzo rada, że powstał zły Pan. On wypluwał ziemię z gęby; a kiedy go stary Neczaj witał kozackim żartem:

— Panie bracie, najadłeś się salamachy, chodź popijemy, a gdzie moja czarnobrewka? —

Wysoczan mruczał.

— Sto djablówby jego ojca i matkę, dam ja mu salamachę, poczekaj. —

Brama monasteru już się otworzyła, Daniel ścisnął Helenę,

Helena tuliła się do niego. Czarnopęgi robił bokami i parskał. Stefanida szła naprzeciw staremu mężowi. I Putywłanka już spostrzegła Sirka znachora. Wysoczan trochę się udobruchał, i kozacy się witali. Czernice błogosławiły wszystkich wodą święconą, i krzyżem świętym. Kiedy za murami monasteru rudobrody Naum zaśpiewał.

Cześć hetmańska nasza sława,
 Buńczuk kary i buława,
 Czaple pióro, pieczęć złota,
 Wszystko poszło w obce wrota.

Tak ciche było to śpiewanie, że choć dosłyszaly wszystkie uszy ten śpiew, nikt słów nie zrozumiał; ale Helena je zrozumiała, spojrzała na męża, nie w oczy, nie na postawę, ale na baranią czapkę; westchnęła, nad nią nie powiewało czaple pióro.

— Co ci jest takiego moja luba?

— Nic mi nie jest, ja ciebie kocham. —

I pocałunek mu dała, ale patrzała na baranią czapkę, a tam nie ma czapłego pióra.

V.

CZAPLE PIÓRO.

Weszło słońce nad Putywlem, toż samo słońce, co patrzyło na Konotopską bitwę. Przypatruje się, poznaje tych samych Kozaków, których widziało pod Konotopem, ale nie widać przed nimi wroga; na koniach nie harcują, szablami nie grożą, i wrzaskiem w uszy śmierci nie ślą. W czystym polu, z odkrytymi głowami, słuchają służby Bożej. I Hetman z odkrytą głową, a czaple pióro do kolan mu powiewa. Sam Metropolita Kijowski, Bazyli Tupolski, starzec włosa białego jak mleko, służbę Bożą odprawiał, i po służbie błogosławił i Kozaków i Lachów.

Hetman dosiadł konia, objężdża pulki, kurenie; wrony jak paw' ogonem się przykrywa, po labędzim zachyla szyję, i czwaniąc się stąpa, a czaple pióro po nad kołpakiem pływa. Hetman daje rozkazy kozactwu, na pograniczne strażę, w zamki na załogi, i na leże spoczynku, i wszystko w pochód się zabiera, bo tak Pan Hetman kazał.

Z każdego pulku, z każdego kurenia zostawało po jednym starszym, po dwóch młodców, ale takich że już na nich nie spojrzy umizgiem ani młodycy, ani dziewica choćby jaka; głów nie potrzebowali golić, znoje i lata były im golarzami, a wąsy wypłowiwały, wybielały na wojennym blichu; szable poszczerbiły twarze, a kule i spisy ciała piegów dodały; ten bez ucha, tamten jednooki, ten podusty, a ten znowu jednorączka; tamten krzywonogi, a tamten szramonos; wszyscy kalecy, noszą się z upominkami moskiewskimi, tatarskimi, bisurmańskimi i lackimi nawet. Ci dosiedli wronych koni jak kruki, a wszystkich jednakich. Wzięli w ręce chorągwie, kotły i trąby zabrane na Moskwie, a na ich czele stanęli: Nosacz, Hulaniccki i Niemiryecz. Oni to mieli zawieść podarek Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej Polskiej.

Drugie tyle starszych i młodszych wskoczyło na konie, na wroue stepowe konie, ale u tych was się czerni, i rumieniec krasi; zuchy co do szabli i koni, ale też zuchy do dziewczęcej buzi. Niemi przywodzili Konstantyn Wyhowski, starszy Sirko, a miał w drodze dogonić Daniel Wyhowski; te młode orłęta czupurno spojierają na stare orły; dobrze im z ich prawornością, z ich latami, a jednak w duszy mówią: Bogdaj my tak Ojczyźnie służyli! Bogdaj i my takimi kiedyś byli!

Dwa pokolenia kozacze ślał Hetman naraz do Polski, na pokaz Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej, jakie to w nich są dzieci; jedni nieśli na sobie świadectwo co zrobili, drudzy pewną obietnicę, co potrafią zrobić.

Poszła stepem gromada kozacza z darami jak z wielkocnocnemi pisankami do Króla i Ojca, i Hetman wracał do Putywa. I czemuż wrony przed chwilą taki żwawy, taki ohochoy, zwiesił leb ku ziemi jak gdyby strawy szukał, a dziś z rana nie żałowano mu złotego owsa i semskiej wody; co mu się nigdy nie zdarzało talerze zbierał, a nawet westchnął. Gdyby Hetman na boje jechał, byłby to zły znak, ale do Putywa! —

Koniowi puścił na samowolę, i dumkę puścił na samowolę; tylko czaple pióro się czwanilo, wiejąc się po nad kołpakiem to w prawo, to w lewo.

W bramie już mu dano znać o przyjeździe Muchawskiego z listami Panów Hetmanów koronnych wielkiej i polnej buławy, a w zamku między starszyzną Lachą, zastał gońca i doktora Vulpiusa. Kiedy witał Lacha przybyłego, dawnego znajomego, niewiedzieć dla czego ręka mu drgnęła, jak gdyby kto w nią ukłuł; może to szorstkość dłoni wojennego męża, i miecze obudwom brzęknęły w pochwach, choć je ręka ani dotknęła.

Muchawski oddał listy Hetmanów, a Hetman kozaczy witał gościa drogiego w kozaczym zamku.

Twarz Hetmana choć na uprzejmość się sili, we wspak woli pośepnością się obleka, a gość słodko się uśmiecha, i z nienacka okiem strzela po Hetmanie i po starszyźnie kozaczej.

Marcin Cieciora do niego się garnął, tak iż kontusz kozaczy muskał się o kapotę. Cała starszyzna kozacza splunęła i pomyślała; tfu! Kozak przy Wyzuwicie! za takiego go tam miano. Wdzięczniejsz się jeszcze uśmiechnął, oddając list Hetmanowi.

— Od Królowej Jejmości Pani nam miłościwej do Jaśnie Wielmożnego Waćpana. —

Tą razą rzucił okiem już nie tylko po starszyźnie kozaczej, ale i po panach Lachach, i na wszystkich twarzach oprócz jednej jaśniała dobrawola ku Hetmanowi.

Hetman podziękował i wnet list od Królowej czytał, a twarz miał tak jedną, że mistrz choć jaki nie mógł zerwać i dźbła

myśli snującej się w duszy. Potem zaraz czytał listy Hetmanów i już nie można było wiedzieć, z jakich wrażeń uczucia wypływały na twarz.

— Panowie bracia Lachowie, rozkaz Panów Hetmanów każe wam wracać za Dniepr. Przyjmie nasze serdeczne braterskie dzięki, i po bratersku wspominajcie o nas kozakach. Myśmy dzieci jednej matki, bogdaj tak zawsze między nami było jak teraz.

— Lzy Hetmanowi stanęły w oczach i Lachom oczy się lza-wiły; chwilowe milczenie lepiej mówiło o braterstwie Lachów i Kozaków, jak wszystkie słowa przyrzeczeń, jak wszystkie słowa przysięgi.

Hetman znowu zabrał głos.

— Bracie Ciciuro, pojedziesz z Panem rotmistrzem Muchawskim, taka wola Króla Jegomości, taka rada Panów Hetmanów. Przebłagasz naszego ojca za przewinienia, on ci przebaczy. Pan laskawy nasz ojciec. —

Ciciura spojrział na Chudeusza, a Hetman wziął to za wzrok obawy.

— Bracie Ciciuro, niczego się nie lękaj. Dobroć i laska Miłościwego nam Pana, nasze zasługi przed matką ojczyzną, nasze szczerze chęci do jej posług, rękojnią twojego życia i twojej wolności; a co do twego dostojenstwa, to moja rzecz; jakeś był tak i będziesz Starodubowskim pułkownikiem, a z twoich dostatków żadna ręka i szeląga nie tknie oprócz twojej.

Ciciura dziękował i ludziom zdawało się, że szczerze. —

Hetman następnie pisał listy do Królestwa Ichmościów, do Panów Hetmanów i do Senatu Rzeczypospolitej, a potem były pożegnania. Stoly rzesisto zastawione obfitem jadłem, z mięs-wa, ryb i rozmaitych bakalji; w pułhary w roztruhany sączyły się: węgryzn, malmazja i zamorskie wina; teorbauny drumkały, pieśni grzmiąły, i z samopałów i z harmat palono na wiwaty. Hetman, Pan Kozaczy, Senator Polski, hojnie i serdecznie częstował lubych gości, braci wojny i pokoju. Można było powiedzieć, że napoje strugami się laly, a jadlo stertami się walało. Każdy od najdosjniejszego aż do najmizerniejszego, dostał podarek od Hetmana, w miarę swojego dostojenstwa, w miarę swoich zasług. Każdy dostał podarek, żeby kiedyś jego prawnu-kowie mogli mówić: Pod wodzą Jana Wyhowskiego nasi praojcowie pod Konotopem byli i gracko Moskałów pobili: a oto podarek Hetmański w świadectwie. Na samym końcu po staro-polsku dostrzemienne wypijali; na raz wszystkie harmaty hu-kuły i bracia Lachowie pojechały w drogę.

Noc ciemna, noc cicha była dla wszystkich, ale spoczynek to był nie dla wszystkich. W starym zamku starszego jeszcze

Putywała, w trzech komnatach, nie księżycowe światło błyskało, i u trzech ludzi były otwarte oczy i bezsenne myśli, a każdy był sam na sam ze swoim dumaniem.

W jednej suchy a słuszny człowiek jak cień nocny przesuwiał się po komnacie, z końca w koniec. Na twarzy jego nie masz tego uśmiechu, w który zazwyczaj stroi się przy ludziach; była ona ponura i blada jak światło świecznicy płonącej w rogu komnaty; kiedy niekiedy wypsnęły się mu słowa, jakby na rozmarzenie, jakby na podsywienie rozmyślania.

— Trudno — ale kto wie? — o ta potęga Polski — nie damy jej wzrość! — Niech się wadzą między sobą — i niech się sami zjedzą. Inaczej poszliby daleko. — Germanowie panami świata — a ludzie powiedzą, to Jezuici zrobili, i dobrze niech tak mówią, niech ich potępią a tamci niech giną — tego nam potrzeba. Ten list przeciw niemu — przeciw niemu się obróci — łaska stanie się zgubą — zawiść to burzycielka — pewniejsza potęgi jak potęga jaka. Uderzył się w czoło — Może kiedyś i Cesarz Pan i Germania powiedzą: Vulpius przyczynił się do zgubienia tej potęgi, co na drodze stała naszej potędze.

Spojrzał po komnacie, on tam sam jeden tylko z ludzi; ale kot pomrukiwał, i czasem na pół otwierał oczy, on słuchał jego słowa, a może chciał wysłuchać i myśl: nogą go wytrącił za drzwi, i drzwi lepiej zamknął.

Ale światło świecznicy patrzyło na jego twarz, a może chciało wypatrzeć i myśli. Zdmuchnął światło, zadławił, i było ciemno, a on dalej rozmyślał; tylko kot podedrzwiłami bezustannie miauczał jak gdyby na to, żeby ciekawemu uchu, jeźliby takowe się znalazło, nie dać dosłyszeć i jednego słowa Pana.

W innej komnacie bezsensnym był Marcin Cieciora; jak wilk chowany, tylko przy ludziach niby potulny, niby łaskawy, ale sam bez nikogo czy to na łańcuchu, czy w zagrodzie, to w swoje gra, tak i on zżymał się, pyrchał, to zębem zgrzytnął, to oczyma po djablemu przewracał.

Ha psiawiara! moja praca, a on będzie jadł kolacze! ha trzysta djabłówby ich rznąło, suczy ród, i buławę i czarnobrewkę wszystko mi na raz wychwycili. Choć głową nałożę, a taki moje będzie.

Jasno sine oczy krwią zasły; ciężko, nierównie oddychał, tak nim gniew krztusił, a duży łeb trząsł się na karku, jakby chciał z niego zlecieć. I tak się bundiucznie sierzcił, bo cicho, głucho było koło niego. Jak w noc ciemną, w noc pustą, wilk sumując po jarugach ostrzy zęby na bydłeta, tak Marcin Cieciora zacierał ręce na pohybel Hetmanowi i Hetmańskiemu rodowi, na pohybel Lachom.

W Hetmańskiej komnacie Hetman i czytał i dumał i pisał, a twarz jego to smutkiem się powlekała, to jaśniała wolą, tak jak płomień świetlicy, tlejący to ciemniej, to jaśniej. Już noc za połowę ku dniowi ubiegła, świetlicy zasnąć się chciało choć na chwilkę, a Hetmanowi nie zbierało się na sen. W świetle oka nie mrużył, i taka jego była wola, żeby światło na niego patrzyło.

W tem drzwi się otworzyły, i wszedł do komnaty starzec. U niego na głowie i na brodzie biała zima, i twarz i oczy jaśnieją od tej bieli, jakby były za tumanem pruszącego śniegu. na ciele szata czarna aż ku ziemi się ścięła, na piersiach krzyż Zbawiciela ze srebra, ręce miał złożone dłońmi ku sobie, a chód jego był powolny, równy, jakby sunął się po niebieskim promieniu.

Hetman powstał.

— Wielebny ojeze, co cię przywiodło tu o tej godzinie?

— Synu, może potrzebujesz przyjaciela. —

I obadwa zasiedli w krzesłach. Metropolita stary wiekiem i świętością, a Hetman po Konotopskiej bitwie stary już sławą.

Na dorywczo słowami do siebie nie sypnęli. Metropolita spojrział na popisane listy i na twarz Hetmana, a na tej twarzy był szczerzy spokój, jawne pokazanie, jawne jak na dłoni dowolnego z siebie sumienia.

— Ojeze, Starostwa, buławę polną, a potem i koronną mnie obiecują, byłem tylko je przyjął.

— Synu tyś ojciec Kozactwa!

— I syn wierny przesławnej cerkwi.

— Potęga twoja większa od tej którą ci dają.

— Ta potęga tylko czasowa, ty wiesz ojeze, com przyrzekł?

— Komu?

— Nieboszczykowi.

— A Kozactwu?

— Będę służył wiernie póki sił, póki tchu stanic.

— Bóg ci niech pomaga. — Wojewodo, Hetmanie, strzeż wiary naszej, ale nie daj rozrywać się oguiwu wiążącemu dzieci jednej matki. Nie dawaj w ręce miecza, coby go na własną zgubę mogły użyć. Pomnij, że ta szabla, którą Stefan Batory dał nam na to, abyśmy się stali piersią światu Chrześcijańskiemu od Bisurmanów, w swawolnej dłoni nieraz na bezprawie pracowała, świętej wierze niosła szkodę, uczciwości wojskowej poniewierkę; pomnij że ta szabla którą król Władysław chciał ukrócić bezład i podeprzeć powagę tronu, rozdarła mateczyne łono, tyś je zagoił, i teraz chcesz szablę oddać w Bóg wie jakie ręce. — Wojewodo, Hetmanie. —

Metropolita skończył i nie spuścił oka z Hetmańskiej twarzy, Hetman słuchał i dumał, i takie było milczenie, że gdyby nie

ściany starego zamku, nie zaszkłone kraty, głos ten poleciałby po wszej Ukrainie, i zaleciał aż do Polski.

Kogut zapjał na doświtek, a oni jeszcze nie spali. Świt zajaśniał, a świetlica w Hetmańskiej komnacie konała, konała i skonać nie mogła; ale za to słyszała ostatnie słowa przy rozejściu się:

— Synu dla wiary, dla Ojczyzny.

— Ojczyźnie przyrzekłem.

Z dniem białym u Hetmana były posłuchania. Rozporządził, rozkazywał, i w wszystkim było nie tylko na dziś, ale i na jutro, a to na dalekie przyszłe jutro. Był on gospodarzem co w lecie myśli o zimie, i wszystko na zimę sposobi, jakby ona tuż wisiała nad głową. Na twarzy Metropolity cicha radość siadła; a myśl: on nas nie myśli opuścić, radością poila jego duszę.

Kiedy Jan Wyhowski oddawał listy i żegnał jak brata Marcina Cieciorę, przygody niepowszednie stały się w Putywlu.

Ze stajni Hetmańskiej wyrwał się koń dżanet, perskim kościercem przykryty, z uzdą tylko na głowie. I służba, i parkany go utrzymać nie mogły; ludzi poroztrącał, parkany, przekopy poprzesał. Jak tuman burzy pędził, aż strach ludziom było na niego patrzeć; wiatr mu rozczochrał i ogon i grzywę. Z wysokiego wzgórza wskoczył w Sem, bił się po wodzie, po oczerecie, na drugi brzeg przepłynął i tam padł bez ducha; a kiedy ludzie tam przyszli, znaleźli pod brzuchem dżaneta dwa koty, jeden rudy, drugi czarny; w skórę, w kośćce wpiły się pazurami, a zębami aż do wnętrzów przegryzły, a taka była ich wściekłość, że w biegu, w wodzie, i na ziemię padłszy z trupem, nie puściły swojej pastwy.

W tejże samej chwili ponad Putywlem trzy jastrzębie gonily za jednym puszczykiem, a mała ptaszka piskliwie świegotala nad jastrzębiami. Puszczyk skrył się w dzwonnice cerkwi, a jastrzębie z takim pędem na niego biły, że jeden rozbił się o złoty krzyż kopuły i padł na miejscu bez ducha; drugiego djak dzwonnik pojął żywcem w kepule; trzeci długo do koła cerkwi szybował, nim go kulka spuściła na ziemię, a ta kulka nie wyleciała z kozaczej strzelby, tylko z rusznicy lacha sługi Pana Muchawskiego.

Z rana zabierało się na dzień jasny, i słońce pięknie weszło, i chmury nie pływały po niebie. Tak tam było i jasno i czysto, jak gdyby całe sklepienie było ze szkła szlifowanego. W tem

nagle ni ztąd ni z owąd dwie chmury czarne, jedna od Tatarszczyzny, druga od Moskiewszczyzny, jak dwa konne hufce cwałem parły do siebie, starły się i gromy huknęły. W zygzag błyskawice po błyskawicach lśknęły i migotały i deszcz kroplisty lnął.

W tej właśnie chwili Doktor Vulpus, Muchawski i Marcin Cieciora odjeżdżali z Putywła.

Lud kozaczy chmurzył się, wąsy pomuskiwał, pocierał brody, a znachorowie już poczęli kmetować o zlej wróżbie, i przebąkiwać złą wróżbę.

I chmury gdzieś w obłoki wsiąkły, deszcz ustał, i słońce zajaśniało, i jeszcze ładniej było na stepie jak po rosie, i w tymże samym czasie wyjeżdżał z Putywlańskiego zamku Hetman na czele mnogiego rycerstwa; za nim wiedziono charty na smyczach, za nim wiedziono na berłach sokoly i białozory, na mnogich wozach ciągnięto rozmaite sprzęty; luzacy wiedli na powodach dżanety, bieguny i bachmaty, różne maściami, różne rodem, a wszystkie zdobyte dziełem wojennem Kozactwa, albo hodowane w kozaczej ziemi. Hetman jechał na swoim wronym koniu, i twarz jego była pogodna. Kozakom wróciła otucha i wolali

— Jedź zdrów nasz ojcze! i zdrów wracaj do nas! —

I Putywlanom żal było po nim. Wyszli w step i długo, długo patrzali. I Hetmana i Kozactwo z oczów stracili, i patrzali jak orzeł po nad stepem latał, i krakał, Hetmana także szukal, i za Hetmanem sumował.

Obiedwie Chmielnickiego córy z swojemi mężami do Baturyna zjechały. Stefanida przy starym Neczaju zdaje się niby dziecię przy ojcu, ale jak dziecię dobre, potulne, ze spokojem na twarzy, z pogodą w oku. Widno że jej swobodno w duszy, a błogo na sercu; ale Helena męża sława, męża kochanie, czemu nie szczerze wesola? Czy grzechy ojcowskiego życia powiały na jej szczęście tęsknotą? czy smutne przeczucie gość nieproszony mać się między jej dumki? Mąż stanął przed nim, ale i jemu coś markotno, chciał jakieś słowa mówić, a nie wiedział od czego zacząć. Może chciał o markotność żonę pytać, a może swoją jej powierzyć.

Czarnobrewka do niego się uśmiechnęła tak lubo jak kiedyś.

— Danielu, moje kochanie, jedźmy do naszego zamku. —

On jej pocałunkiem odpowiedział, tym pocałunkiem co to nie mówi ani tak, ani nie, ale za odpowiedź stanie.

Na poparcie proźby lza stanęła w czarnobrewki oku.

— Ty zawsze odjeżdżasz, a mnie samej bez ciebie młode lata biega.

— Tak zawsze nie będzie.

— Co mi tam, że kiedyś tak być może! niech teraz tak będzie! Danielu dziś nasze, a jutro kto wie czyje.

— Moja luba!

— Danielu, jedno młode lato bądźmy z sobą. I rączką po pieściła go po twarzy.

— Daniel milczał, i rękę żony do ust przycisnął, jak gdyby w dłoń szeptał odpowiedź.

— Ty nic nie mówisz?

— Moja jedyna, nie potrwa długo: miesiąc jeden, nie więcej.

— Co takiego?

— Mój odjazd.

— Dokąd? — Liczkiem zbladła, a drobną rączką za ramię przytrzymała męża — Dokąd? po co?

— Taka wola Pana Hetmana.

— Czy znowu na jaką wojnę?

— Nie moja luba, w poselstwie do Króla Jegomości i do Rzeczypospolitej. —

Jakże nagle odegrały i twarz i lice czarnobrewki! połysk oka lzę olśknął, a bladeść krasnym rumieńcem zapłynęła na licach; i połysk był jaśniejszy od gwiazdki, i rumieniec był krasniejszy od maliny.

— Do króla Jegomości, do rzeczypospolitej; taka Pana Hetmana wola? —

— Co ci jest Heleno?

— Nie — nie — ty jedziesz, jedź szczęśliwie. Niech nam Bóg dopomaga; a wracaj prędko, a wracaj. I pocałunkiem chciała domówić, czego słowem nie domówiła. —

Daniel patrzył na żonę zdziwionem okiem.

— Tak, tak, moje kochanie, pamiętam, jeszcze malutką byłam kiedy nieboszczyk ojciec opowiadał o Królu Jegomości, o Panach Senatorach Polskich. Pamiętam jak dziś, mówił o Wielkim Kanclerzu Ossolińskim. —

Daniel westchnął i tak cicho szepnął, że za westchnieniem słów słyhać nie było.

— Bogdajby go nigdy był nie znał!

— Czego ty się smucisz luby? Słuchaj co mówił nieboszczyk Ojciec: — Gdyby nie Wielki Kanclerz, nigdybym nie był tym czym jestem. On przezemnie chciał wdziergnąć się w tajemnicę króla Władysława, i mnie dał w ręce potęgę i moc. Najmłodszy byłem z całej starszyny; gdybym był po szczeremu samym tylko koniem i spisą pracował, byłbym sobie zapracował na mogiłę i na trochę sławy, ale chwyciłem za rękę co mną się chciało posługiwać i posłużyłem sobie.

— Heleno, nie mówmy o tem.

— Dla czego nie mamy mówić?

— Nie mówmy, on twój ojciec.

— Tak, mój ojciec. Jam Hetmańska córka. — I wzrostem dumy podrosła, i szatą dumy się przyodziła. —
je Mąż chciał ją ująć za rękę, ale ona spojrzła na niego, na go strój, i ręki mu nie dała.

wi — Tak, tak, jam Hetmańska córa! Dzieckiem jeszcze bałam się czaplem piórem.

Wyszła, a tak prędko, że Daniel nie mógł słowa schwycić na odpowiedź. Stał jak w odumieniu, z myśli nie wychodziły ostatnie słowa żony: Czaple pióro — i okiem szukał na swoim kołpaku czapłego pióro.

I półgodziny nie upłynęło. Helena we łzach przychodziła przeproszać męża pieśzotami, słowami.

— Mój ty luby, nie jedź w poselstwie. Zostań ze mną. Ja taka szczęśliwa z tobą! —

On jeszcze smutny, ale nie odtrącał żony, tulił ją do siebie.

— Nie mogę, taka wola Pana Hetmana.

— Na co to nam wszystko się zdało? — czyż my nie mamy dosyć naszego szczęścia?

— Nasze szczęście! nasze szczęście! — Potrząśł głową.

— Danielu ty mnie nie kochasz?

— Kocham Heleno! ale kocham Ojczyznę.

— Czyż niedosć jej służyłeś?

— Nigdy dosyć.

— Nie jedź mój jedyny!

— Nie mogę, moja luba; taka wola Pana Hetmana.

— O źle to być Hetmanem, kiedy się źle robi drugim. Najlepiej być u siebie. Prawda Danielu!

— Prawda, prawda moje kochanie.

— Ty nie pojedziesz Danielu! —

On milczał. — Czarnobrewka tak ładnie, tak składnie się hołubiła, że Daniel gotów był dla niej poświęcić życie kozackie, a nawet sarknął na wolę Pana Hetmana.

Kilka razy tak się trafiało na dzień. Mąż w głowę zachodził, co za choroba napadła żonę. Sirko znał co po kozackemu swoje robił, a wszystko widział co w około niego się działo, zżymał ramionami.

— Licho przystąpiło do niewiasty, jak nawiedzona to płacze, to skacze, a człowiek sobie rady nie da. Otoż to tak, nie miała baba kłopotu taj kupiła sobie prosię; nie miał człowiek biedy, taj wsadził sobie żonkę na kark. Panu Danielowi płacz, a ludziom śmiech; było czarnobrewki hetmańskiej nie zachciewać, a żyć po naszemu w koszu, a za koszem nie żałować sobie a hulać. Hej! hej! z nami tak nie będzie; skacz, śpiewaj dziewczyno jak

jak ja każę, a nie chcesz to nahajką w plecy, na koń, i bywaj zdrowa! będzie druga! Żeby tak o dobrego konia, jak o dziewczynę, ba ba.

Strzepnął się jak szczupak w szarawarach, kontusz na nim zaruszał się jak skóra na łoskotliwym koniu, poprawił seledec, łypnął okiem, mrugnął wąsem, i poszedł do dziewczyny Putywłanki pośmiać się trochę.

Na czwarty dzień przybiegł sam Hetman do Baturyna, za nim Kozactwo, za nim charty i sokoly. Stary Neczaj z pułkami Hetmana witał, a Hetman tak się braciom Kozakom kłaniał, że czaple pióro zmiatało pjanę z wroniej grzywy konia. Skoro zobaczył Daniela Wyhowskiego, jasne czoło trochę się schmurzyło.

— Panie Pułkowniku jeszcze tu?

— Zaraz jadę, ojcze Hetmanie.

— Kozacze zaraz nie w słowie. —

— Młody pułkownik nic nie odrzekł, tylko ręką machnął na służbę, i ztamtąd głos zabrzmiał.

— Hej koni! żywo, żwawo! —

Hetman witał, a Daniel żegnał czarnobrewkę. Helena nie śmiała powiedzieć mężowi: zostań, zostań, tylko jak w tęczę patrzyła w czaple pióro Hetmańskiej czapki, a lzy perły z oczów padały.

Pojechał młody mąż, a żona za nim nie patrzy, tylko wciąż tkwi oczyma w czaple pióro. Długo, długo na ganku stała i lza-wiła soboli zarękawek a tam przed bramą guślarz w gęślę brzdąkał, jakąś piosnkę nucił, dla każdego kto chciał jej słuchać.

Pokłon tobie ojcze panie.
Pokłon Tobie nasz Hetmanie.
Po Bohdanku złote zbroje,
Po Bohdanku pióro twoje.

Buńczuk sławny i buława,
Nasza pieczęć, nasza sława;
Wszystkie skarby, wszystkie miano,
W twoje ręce wszystko dano.

Hej Wyhowski! ty nam panem;
W naszym koszu ty Hetmanem,
Całej Rusi Hospodarem,
Ukrainy złotym Carem!

Hej po zmarłym to Bohdanie!
Hej po sławnym to Hetmanie!
Spadło Tobie tyle sławy,
W cześć i k'dobru naszej sprawy.

Hej w moździerz, hej we dzwony!
 Chmielniczka, hej w poklony.
 On wam ojcem, on wam panem,
 W poklon, w poklon przed Hetmanem!

Przy Wyhowskim nasza sprawa,
 Całej Rusi przy nim sława;
 Jemu, jemu kłaniać trzeba.
 Za sól, wodę i kęs chleba.

Czaple pióro kto dostanie,
 Temu, temu panowanie;
 Panowanie nad wszystkimi.
 W naszym koszu, w naszej ziemi.

Hetman schmurzył czoło.

— Hej tu tego gęslarza! —

Dwóch Asawulów skoczyło, ale nim przepłynęli tłum, guślarz gdzieś tak utonął w tłumie, że ani go znaleźć można było. Koło Baturyńskiego zamku tłum był szeroki, a taki gęsty, jak podszyty ług ciemnej puszczy. Wszytek ten lud, jak na prężnik jak na odpust zbiegl się oglądać i witać zwycięzcę Hetmana.

Hetman do czarnobrewek przystąpił i do obudwóch z ojcowskim uśmiechem mówił. Starsza córka Chmielnickiego jak ojcu uśmiechem na uśmiech, na słowa słowami odpowiadała, a młodsza w myśli jak pacierz odmawiała całą piosnkę guślarza od początku do końca, a oczów ani spuściła z czapłego pióra. I Hetman odszedł, a czaple pióro jeszcze jej majaczało w oczach i z tym majakiem w łóżę się układała. We śnie o nim śniła, a na jawie o nim marzyła.

VI.

POŻEGNANIE.

Do Czechryńskiego zamku, do bratowej, do hetmańskiej żony Helena przyjechała. Tak dobrze jej tam było w gościnie, jak we własnym domu, ale jej nigdzie nie dobrze, wszędzie markotno.

Bratowa mówi:

— Heleno, tak płaczesz jakbyś wdową była, a mąż twój powróci niezabawem. —

— Niezabawem! O jak to dalekie to niezabawem! —

— Dajże ty pokój! żeby Daniel pojechał na wojnę, nie mówię —

— O! wszędzie przypadek spotkać może. —

— Ależ na cóż takie złe myśli do głowy przypuszczają? —

— Dobrze to być z dobrymi myślami kiedy kto ma męża przy sobie, mnie bez mojego nudno. —

I odwróciła się do bratowej. Szła przez komnaty, szła w sad, a lzy z jej oczu padały przed nogi. Hetmańska żona temu się nie dziwowała, i nie dziwnego! rok nie spełna jak się pobrali, i to ledwie miesiąc byli razem z sobą jednym ciągiem.

Hetman zdybał młodą bratową, ale skoro zobaczył, że smutek z nią w nierozdzielnej parze się wałęsa, nie pytał ją o nic, nie pocieszał, tylko zostawił ze smutkiem; pozwolił jej posnuć się. On wiedział że to najlepsza posługa jaką mógł oddać.

Tak niedowolnie dnie po dniach, noce po nocach ronila czarnobrewa córka Bohdana, w tymże samym Czechryńskim zamku, gdzie przeskakała młode lata; w tymże samym zamku, gdzie każdy kamień, każdy sprzęt, i woda Dniepru i wiatr stepowy wciąż mówili o sławie, o potędze nieboszczyka ojca; w tymże samym zamku na który z dalekich pustyń zlatywały się stare orły i zsiwiałe białozory, zobaczyć dawnego znakomca, serdecznego druha Bohdanka, i odlatywały dziko kracząc, że go tam nie ma, ale w tem krakaniu obzierały się ze czią, z orlą miłością na nowego Hetmana, bo orły i białozory choć jak stare

tluką się po stepie wojennych schadzek, i w Janie Wyhowskim poznały wodza z pod Konotopu.

Był to dzień poniedziałkowy, dzień na Ukrainie nie dobry. W poniedziałek djabeł karbowy karbuje wszystkie psoty niedzieluc, czarownice biegają po świecie, i co tylko zacząć, to wszystko niegłaźnie idzie, do końca niebieży. Jednak tego dnia na niebie było dobrze. Bezhmurne obłoki jaśniały słońcem. Siny Dniepr nie bardzo się sierdził, mętna woda tylko się zginała w zwyczajne marszczki starości. Wieher nie rozhasał się od Nogaju, tylko zwolna podmuchiwał. I piersiom lubo było pić stepowe powietrze, i oczom lubo było patrzeć na stepowe łąki, kędy między bujne trawy plotło się barwiste kwiecie, jak w myśli szczęśliwego człowieka, między błogie domki, rozkoszne wspomnienia.

W taki dzień czarnobrewka zaraz po służbie Bożej z cerkwi wyszła wprost za miasto; ale wyszła nie sama. Zdala za nią postępowała służba, a obok niej mnich jakiś. Jak gdyby rzucić biały kwiat kaliny na całun grobowy, tak twarz mnicha młoda, blada, tęskna i potulna wydawała się między czarnym kołpakiem, a czarną szatą. Oczy mdlały od jasności dnia i w dół się kłoniły, do lepszej im spodoby bawić się z czernią szaty, jak ze złotem słońca. I fakły szaty nie pływały pohożo, ale nierównie i zawsze inaczej się gięły. Widno, że niepewne stąpają stopy młodego mnicha, co krok boją się przeszkody jakiej.

I jakże on różny od czarnobrewki! Ona choć smutna i tęskna idzie jakby płynęła z falą Dnieprową w dzień nieburzliwy, gładko, pohożo, jak młode orle głową igra z wiatrem, a oczyma ze słońcem. I łasiczka nie taka składna, nie taka ładna, i łania nie taka posuwista. I zorza jutrznia nie taka dumna, i gwiazda wieczornica nie taka tęskna — jak ona.

Szli oboje i trzymali się za ręce, szli i milezeli, a tak szli aż po nad sam Dniepr. Tam na mogile leży kamień dziki, a ta mogiła czyja? tego nikt nie wie. Może ztamtąd ogniskiem Tatarzyn przyświecał swoim na znak, że już poborukał stary Dniepr i goni w łackie ziemie. Może tam próchnicją koście setnych ludów zmieszane z sobą razem; bo ruska ziemia, to pobojowisko szerokie dla ludzi wszego świata. Bóg kazał ludziom schodzić się tam na bój, Bóg przeznaczył tę ziemię na wieczny spoczynek dla ludzi boju. Dziki kamień leżał jak sierota; nie było tam ani drzewa, ani budjakowych badyli, coby go przyśloniły od słońca. Oboje na nim usiedli, jak gdyby oni sieroty do sieroty przyszli, z pociechą, z pożałowaniem. Służba za mogiłą została. Młody Ihumen szeptał pacierze, a w dół, w ziemię patrzył. Czarnobrewka dumki w myśli szeptała i pławiła się wzrokiem po nad ziemią.

— Patrz Jerzy, tam Sobotów gniazdo nasze! —

— Boże daj odpoczynek naszym, na wieki wieków. Amen. —

— Ty nie patrzysz, jak tam kopuła cerkwi błyszczy, tak kiedyś sława naszego Ojca błyszczała po wszem świecie! —

— Niech mu łaska Boża teraz błyszczy! — i modlił się.

Czarnobrewa umilkła; może o mężu, może o ojcu zadumała się.

A tam z Czehryna chmura jeźdźców zwolna się wysuwa. Wiodą na smyczach ręce charty. Wiozą na berłach lotne sokoly, oczne białożory. Sam Hetman na lowy musi jechać, bo to taka jego przywyczka; jak nie na bojach, nie na radzie, to na łowach. Czarnobrewa patrzy; ona lubi patrzeć na to podobieństwo wojny, i w marze myśli, mara męża kochanki przed nią harcuje. Młody Ihumen rzucił okiem raz, drugi i nie mógł zacząć oczów na łowieckiej zabawie. Nazad, nazad ku mogile je chyli; widno, że mu ona miłsza z bezdnią ciszy, jak to życie szalu.

Łowce w ławę się rozwinęli, i ławą suną w step.

Brodzą w burzanach, po ścierniach, kopytami strychują, utoną w jarze i znowu na pole wypłyną; skryją się na trochę w dębowym kręglaku, i znowu ich widno, a tak równo się suną jakby sznurem ława była związana. Zakapturzone białożory i sokoly drżą na berłach, poprawiają skrzydła i dziób ostrzą; a dzwonki berel brzęczą im dziko. Charty lby podrywają, uszyma strzygą, oczyma iskrzą w pole na daleko, a idą w smyczach. I łowce wnoszą się nad siodła i jak walnesokoly do koła okiem zerkają.

Helena z tą ławą okiem idzie a idzie; ją to bawi, ona to lubi. Już poznała Hetmana; w samym środku jedzie na wronym koniu; przy nim na smyczy dwa charty białe jak mleko, to hetmańskie ulubione charty. Poznaje starszynę, między niemi nie masz Daniela. Westchnęła, ale znowu patrzy. I już nie zważa na młodego Ihumena, że on nie patrzy na to, co ona lubi.

Z przed samego prawie Hetmana ponknął się szarak z pod między, skokami strzepnął, słuchy po sobie położył i wybrykał jak dla igraszki. Hetman trochę odpuścił i zemknął swoje charty ze smyczy; jak z procy pomknęły a razem. Hetman koniem kopnął. Hejże go ha! I cała ława łowców w skok bieżała, a charty przed konie rwały się na smyczach; domagają się, domagają białe, i domogły się. Jak w piłkę zającem zagrały, jeden drugiemu podawał; trzy obroty dały, ale nie śmiertelne, pół obroty tylko, i zając w mig się odsadził. Gracz, białe hetmańskie charty mydlarze, rzecz nigdy nie bywała! Szarak jak od stojących się odsuwał, i nie kładł się po sobie, a strzygł słuchami. Hetman krzyknął — puszczaj, hejże go ha! — I dwójkami charty po chartach rwały się ze smyczów, a łowce po łowcach zawrzyszczeli — Hejże go ha! — W susach sadzą charty, jak stróny się wyciągają, pierściami głaszczą ścierni, w chmurę się zganiają.

Szarak wymknął na drożynę, i koci jak sankami po gołole-

dzi, a czereda psów długim ogonem wyciągnęła się za nim; białe hetmańskie charty rej im wiodą, i w oczach znaczą, jak gdyby błyskawica ciągnęła burą chmurę za sobą.

Po pod samą mogiłą i psia i łowiecka łaja przesuwała. Hetman pierwszy z łowców do chartów się domykał, a dwóch na przelaj polem kopało: oba byli na wronych koniach. Helena ich poznała. To Paweł Tetera i Grzegorz Brzuchowiecki. Słychać było głos jakiegoś łowca z tłumu: — Puścić sokoły i białozory! — Ale widać było machnięcie ręki Hetmana że nie. Szarak kocił wprost jakby strzelił do Sobotowa.

Helena tak się wpatrzyła, że się nie spostrzegła jak młody Ihumen drżąc przytulił się do jej ramienia.

— Jerzy, ty nie patrzysz! Patrz, jak to ładnie! —

— Dzika zabawa! Boże, uchowaj ich od przypadku. —

— Patrz! Patrz! — I wznosiła się na palce. — Wprost do Sobotowa pędzą. —

— Heleno chodźmy ztąd, mnie nie dobrze. —

Helena spojrzała na bladłość twarzy Ihumena, wzięła go za rękę.

— Jerzy, nie bój się, myśmy jedna krew, krew Bohdana. —

Ledwie te słowa wymówiła, jakby czarem jakim pieśń z Dniepru zabrzmiała, dzika, pomrukliwa, jak rozgłos bójki Dnieprowych fal ze skałami.

Krew Bohdana! krew to nasza!
Nie Moskiewska ani Łasza,
Ni Tatarska, ni Wołosza,
Krew to z Siczy, krew to z Kosza!

Stary Dnieprze! siwe skały,
Jary, ługi, stepie cały.
Oj wy znacie krew Bohdana,
Ukrainy, Cera, Pana.

Stare orły i orliki,
I sokoły, sokoliki,
Wszystkie ptaki Ukrainy,
Zaporoża wszystkie syny!

Kraczcie smutnie po Bohdanie,
Kraczcie smutnie po Hetmanie.
Krew Bohdana nie zmarniała.
W nie zmarnieje jego chwala.

Młody Ihumen zadrzał:

— Siostrzo Heleno, chodźmy ztąd! —

Czarnobrewa tak się wsłuchiwała w piosnkę, że trącenie brata dopiero ją ze słuchania obudziło.

— Co ci jest mój Jerzy? —

— Ja znam ten głos, on mnie zawsze tak śpiewa. —

Helena wstała z kamienia i szła ku Dnieprowi.

— Siostró! Siostró! tam nie chodź. —

Ona szła, i dobiegłszy brzegu, zajrzała jak Dnieprem z wodą mknęło czółno, a w nim człowiek. Mknęło szybko, i do drugiego brzegu przybiło. Człowiek zeskoczył i przepadł między krzakami, a czółno stało. Helena służby nie zawołała, tylko wróciła sama do Ihumena. On klęczał koło kamienia i modlił się.

Spojrzała czarnobrewa na niebo. Chmurka jedna nadbiegła, z niej błysnęło, i piorun trzasnął wprost w rzekę, a deszcz nie lunął, tylko głos przestrachu trysnął z piersi Ihumena.

— Boże! Boże! dziej się twoja święta wola. Miej nas w swojej opiece. —

Chmurka popędziła dalej w drogę. Słońce jasno świeciło, spłoszone ptaki znowu wracały nad Dniepr, dzień jeszcze był piękniejszy jak przed chwilą, a od Sobotowa wracali łowce.

Z po nad brzegu czapla się porwała, i wrzasnęła płaczem, skrzydłami do nieba się bije, a wije się w wianki po powietrzu i płacze. Z berel furknęły sokoły i białozory, szparko sznurkiem lecą, a czapla po nad niemi wyżej, wyżej kołuje i pociąga ku mogile. Już niektóry sokół młynkiem podbija się do góry, już niektóry białozór przelajem leci na odpoczynek, a czapla już jak planka na niebie, tak wysoko, że i kołowań jej ani dojrzyć; tylko jeden sokół czy białozór ani razu jeszcze ni młynka zakręcił, ni w przelaj nie posunął, po nad czaplę w słup leci: już on daleko, daleko mniejszą plamką od czapli, a oboje mgłą się przed okiem ludzkim, i we mgle coraz głębiej a głębiej toną.

Łowce do mogiły nadbiegli. Hetman wita Helenę, wita młodego Ihumena. I starszyzna wita, a wszyscy w niebo patrzą. Czapla ze mgły wypływa; już widniej ciemniej, i słychać przeźrażliwe płacze czapli. Sokół górą nad nią, sokół kulką uderzył raz, drugi, czapla wrzasnęła, ale jeszcze się usunęła z pod ptaka, a ptak na dół pędził, ale młynkiem się zatrzymywał w powietrzu, i w duch podbił się w górę.

Wtenczas trzy pióra czaple spływały po powietrzu, i dziwnym wypadkiem zawisły na trzech osobach: na czarnobrewej niewieście, we włosy jej się uwinęło; na Pawle Teterze na pierś mu padło, na Grzegorzcu Brzuchowieckim; ten w rękę chwycił pióro. A ptak znowu kulką spadł na czaplę, i tą razą już z nią przewracał się po powietrzu, a ona wrzeszczała. Ihumenowi taki strach, że aż przypadł koło kamienia, a wszyscy patrzą jak czaplę w powietrzu boruka, i oczyma ciągną ich ku sobie. Litość precz uciekła z ich oczów na czapline wrzaski, nawet z ucha Czarnobrewki. Dziw! dziw! na Ihumena padła czapla już trupem, a na niej siedział białozór hetmański, i pazurami ją darł, i dzióbem gługał, a tak zażarcie, że go ledwie ztamtąd oderwać można było.

Młody Ihumen kiedy powstał z ziemi, na szacie miał pełno czaplego pierza, a na twarzy krew czapliną. Siostra strach od niego odgania, starszyzna z tego wszystkiego kmetuje coś między sobą. A Hetman miał twarz rozjaśnioną.

— Bratowo Heleno; mój białozor zrobił cię nam dziś Hetmanką, masz czaple pióro, a oto twoi Asawułowie. Wskazał ręką na Pawła Teterę i na Brzuchowieckiego.

Czarnobrewa zakraśniała, westchnęła, a bawiła się czaplem piórem.

Tegoż samego dnia, nad wieczorem, Helena żegnała brata odjeżdżającego do Kijowa. Jerzy Chmielnicki wberw woli dzisiejszego Hetmana wstąpił do monasteru i nosił się w szatach zakonnika, a mimo iż żadnego święcenia nie wziął, zwano go już Ihumenem Kijowskim.

Młody Ihumen był smutniejszy jak zawsze. I Helena była smutna, ale wetknęła czaple pióro w krucze włosy, i z tym uśmiechem co to niby lekceważy i smutek i wesele, przystąpiła do dziewczyny Putywlanki.

— Parasko, patrz czy mi dohrze? Jerzy nie chce, to ja będę hetmanić, wszak i ja hetmańska córka, a mówią ludzie: często się uda córka w ojca, syn w matkę. — I zaśmiała się niby, ale nikt jej się nie odeśmiał.

Paraska już to nie była owa dziewczyna z Putywła, pusta, wesola, co to się śmiała niewiedzieć dla czego, byle się śmiać. W zamkach zesmutniała, i rumieńca trochy straciła, i nie była taka krągła. Ludzie mówili że teraz piękniejsza, ale ona nie mogła powiedzieć że szczęśliwsza. O Sirku od dawna nie było żadnego słuchu, a tęskno jej było i za ojcem i za Putywłem. Spojrzała na Ihumena, on spłonął rumieńcem, i oko miał takie, jakby łza gniewu do niego zazierała. Ona użalała się nad nim milczeniem, on powtórzył.

Tak, tak. —

I na Putywlankę spojrział przyjaźnie.

Czarnobrewka wciąż się uśmiechała:

— Powiadają, że nieboszczka matka strasznie bała się konia i szabli. —

Tak. Bądź zdrowa. —

Ty się spieszysz do swego monasteru, prawda, że tam bezpiecznie. —

Zagryzł usta.

— Kiedy już gwałtem chcesz jechać, proszę cię, zmówże trzy pacierze o powrót mego męża, a trzy o pomyślność i sławę dzisiejszego Hetmana. —

— Dobrze. — I więcej domówić nie mógł.

— Niech się krew Chmielnickiego modli, kiedy hetmanic się leka. —

Ihumen wyszedł, a lzy gorzkie spadły mu z oczów.

Długo Czarnobrewka uśmiechała się, nie dobrą wolą, ale złośliwością dumy. Putywlanka nie wesoło mówiła.

— Pani zrobiłaś nie dobrze bratu. —

Helena poszła za bratem, a nie znalazłszy go, płakała rzewnie: łzami serca splukiwała uśmiech dumy. Hetman ją taką spotkał.

Czego tak płaczesz moja bratowo? —

— Za bratem. —

— Wszak on nie umarł, ani mu nic się złego nie stało? —

— O! on umarł dla świata, dla nas.

— Jeszcze z zakonem niczem więcej nie związany tylko suknią. —

— On jej nie porzuci! —

— Bóg to wie. —

— Kto raz tę suknię wdzieje, to już się z nią nie rozstaje. —

— I Konaszewicz Sahajdaczny tę suknię nosił, nim poprowadził wojsko pod Chocim. —

— On był Hetmanem! —

Hetman potrząsł głową, ścisnął za rękę Czarnobrewkę.

— Uspokój się bratowo. — I odszedł.

Ona za nim poziarała. — O tak, tak, uspokój się; dobrze to mówić, a mój brat zakonnikiem, a mój mąż pułkownikiem tylko, a ja córka Bohdana Chmielnickiego, Hetmana całej Kozaczyzny. —

I nie płakała, tylko wyhardziała dumą, i tak była piękną jak Pani, co od dawna nawykła rozkazywać.

W tej chwili przeszło dwóch ludzi przez komnatę, i obadwa przed nią się poklonili; to byli siostrzenice Hetmana, Paweł Tetera i Grzegorz Brzuchowiecki. Pierwszy swoim zwyczajem się uśmiechał i szedł wolnym krokiem do którego nawykł, odbywając poselstwa do Stambułu, do Hospodarów, Multan i Wołoszy, i do Króla Jegomości; drugi jakby się gniewał na wszystko i zawsze, tak szedł jak gdyby chciał i posadzkę rozbić i wszystko z przed siebie porozbijać. On do tego nawykł w bojach na koniu i na czajce; w obozach i w koszu na Siczy. Jeden szedł jak wyżeł wypieszczony w komnatach, puszczonego na łowy; drugi jak koń tabun ze stepu porwany i wprowadzony na brukowane ulice wielkiego grodu.

Helena za niemi powiodła okiem.

— Jam dziś Hetmanka, i oni takimi Hetmanami. —

Młody Ihumen wracał do Kijowa, a naśmiewania się siostry nie mógł odgonić od swjej myśli nawet modłami. W tem młdem ciele, przy potulnem i trwożliwem sercu, była w duchu cząstka ojcowskiej dumy; leżała ona tam jak uśpione dziecię cicho,

spokojnie; jeden komar, jedna mucha mogły je ze snu zbudzić i do krzyku przyprowadzić, i znowu słowo piastunki zdola je uspokoić i uspić. I jemu siostry słowa rozbudziły dumę; cześć ojca, ojca sława, potęga, świegotwały mu w ucho duszy: tyś zmarł, i gorzko mu było; ale użalenie się dziewczyny Putywłanki, choć nieme, zostało w jego pamięci, i dobro nosło sercu. Po matce, po piastunce, to pierwsza istota co się nad nim użaliła. I on o niej myślał, myślał kiedy modlił się, myślał kiedy marzył. — O gdyby ona była moją siostrą, onaby mię zrozumiała. — I z tą myślą zajechał do Monasteru.

Tam go otoczyli bracia Czerńcy, ze czią go otoczyli, zwyczajnie potomka Bohdana Chmielnickiego. Pytali, czy chce pokarmu ciała, czy chce spoczynku ciała; ale żaden nie zapytał o troskę duszy, żaden nie pocieszył tej troski, i młody Ihumen między ludźmi był sam z sobą jak na pustyni.

Po odjeździe Jerzego, wieczorem do Czehryńskiego zamku przybyło kilku zadnieprzańskich pułkowników, między nimi byli Wysoczan i Kresa, a razem przybył goniec z Polski. Hetman czytał listy, miał długi rozhovor z pułkownikami, a rozhoworu tylko te słowa usłyszeli ludzie:

— Co zrobię, to jawem, a wprzód nikt wiedzieć nie będzie. —

Twarz hetmańska nie była gniewna, tylko spokojna, a jednak pułkownicy, co bezczelnie zazierali w paszcze tureckiemu działu, co twarz nadstawiali na szable jak na pocałunek, stali, i nie śmieli wzrokiem po nim wodzić i słowa żadnego więcej powiedzieć, bo chmurka zlej woli zmarszczką przepłynęła po czole Hetmana, bo szybka błyskawica mignęła w jego oczach.

Potem przyszedł do Heleny.

— Bratowo, nie smuć się. Daniel zdrów, wróci niebawem. Król Jegomość był łaskaw na nas. —

Łagodnie to mówił, ale nie czekał odpowiedzi, i to tylko dowiedziano się z tego, co odebrał przez gońca.

Nie zaweselała Helena.

— Nic nie pisał do mnie, nie pisał ani słowa? —

I szła w swoje komnaty dumać i tęsknić.

Już świeczniki zapalono, kiedy weszli do komnaty Heleny dwaj pułkownicy, Wysoczan i Kresa, dwa to dawni i wierni namiestnicy Bohdana Chmielnickiego, obadwa trzymali do chrztu czarnobrewkę; po pierwszych przywitaniach zasiedli, i Kresa zabrał głos.

— Córo naszego Pana i dobrodzieja, i nasza chrestna córko; przed tobą my przyszli wygadać wszystką prawdę jak przed

spowiednikiem, a ty nam dopomóż, bo jak krew Chmielnickiego Kozactwu nie dopomoże, to nikt nie dopomoże. Jak dziś się stało, tak nam stoi w pamięci dzień śmierci nieboszczyka Hetmana. Trzech nas było przy jego śmiertelnym łożu: ja, Wysoczan i Leśnicki. Pierwszy przemówilem: Ojczy serdeczny, to nie nie zawadzi, jak Bóg da, to wyzdrowiejesz, i Jemu będzie chwała. Nie zostawiaj chaty bez gospodarza, okrętu bez sternika; a twoją chatą Ukraina, a twoim okrętem naród Kozaczy. On wstrząsł głową: Prawda wasza, narobiłem wiele złego, trzeba żebym zrobił i dobre. A kogóż wam zostawić na gospodarza? Wysoczan się odezwał: A jużci nie kogo tylko Juryszkę, to twoja krew ojczy, a Kozactwu po Bohdanie Chmielnickim nie chodzić pod wodzą człowieka z innej krwi. Nieboszczyk stęknął: Dziękuję wam; Juryszko za młody, Bóg wie jak się przyda; ja go kocham, to mój syn; ale i was kocham, bo wy mój naród; z tego nic nie będzie. Leśnicki się odezwał: A gdyby Neczaja, jemu ani wieku, ani doświadczenia nie braknie; ojczy, onby był i nam i Juryszcze ojcem, a potem na swoim miejscu jak synaby posadził. Bohdanko machnął ręką: Neczaj dobry pułkownik, ale jeszcze nie urósł na Hetmana, w innym czasie możeby i udźwignął buławę, ale teraz to trudno, bo trudne chwile przyszły na nas; nie chcę wam dać za pana, niech będzie waszym sługą. Ja wtenczas osmieliłem się powiedzieć: Ojczy serdeczny, ja przypominam moją chrzestną, wszak to twoja hołubka, sameś jej wybrał męża, i dalibóg z wyboru można go i pokazać ludziom i z nim się pochwalić. —

W chwili tych ostatnich słów Wysoczan tak zmarszczył brwi, że jedne aż do drugich się zeszły, a rzesą gestą jak szczecina krył oczy. Helena schyliła czoło, i była ładna chlubą o mężu. Kresa dalej mówił:

— Nieboszczyk trochę się uśmiechnął: Daniel najprędzejby podolał temu wszystkiemu. Ale już mój głos nie taki potężny, jak wy myślicie; jest inny potężniejszy. Na Koszu już wiedzą, że moja ręka bierze rozbrat z szablą, a tam żeby panować, trzeba mieć wiecznie szablę w dłoni. Zamknął na czas jakiś; po sprężeniu się żył na skroniach widno że mocno myślał, a potem kazał przywołać pana Pisarza. Długo mówił o tem co się dzieje na Kozaczyźnie, gorzko narzekał na białego cara, dobrego imienia nie dał Bisurmanom, a potem bił się w piersi: Moja wina, moja wina. Szlachta broiła, a ja na ojczyźnie matce się mściłem. Zarazem gubiłem i Polskę i Kozaczyznę. Jeszcze dłużej o tem mówił, a w końcu obrócił się do pana Pisarza: Iwanie Wyhowski ty jeden możesz mnie zastąpić, a nawet naprawić złe które ja zrobiłem. Buławę, dzieci moje, naród mój, wszystko tobie oddaję w opiekę. Iwan Wyhowski wtenczas powiedział: Przyjmuję opiekę nad wszystkim, ale przed Bogiem i ludźmi przysięgam, że jak czas przyjdzie kiedy

moja opieka stanie się niepotrzebną, twoje oddam twoim. Nieboszczyk Bohdanko przemawiał jeszcze tak do całej starszyny o tem samym, i pomarł jak przystało na Chrześcianina, a Iwan został Hetmanem. Co było to było; każdy z nas ma na sobie swój grzech, ale to nie stanowi, żeby Iwan nie mógł dotrzymać co przyrzekł nieboszczykowi. Kozaczyzna zaweseliła się zwycięstwami i pokojem, Leśnicki nas odstąpił, ale my przyjechaliśmy prosić opiekuna o dotrzymanie danego słowa. —

Wysoczan mruknął. — A on nam powiedział: Pójdźcie precz do licha, ja tu pan. —

— Prawda, prawda. — I obadwa zwrócili oczy na Helenę. Ona spuściła oczy.

— I cóż ja na to poradzę? On Hetman, nasz opiekun. —

— Iwan Wyhowski Hetmanem krwi Chmielnickiego? Bógdaj djabeł tego nie dopuścił. Słuchaj córo naszego Pana i Hetmana, ty Kozaczyznę możesz uratować od wojny swojej i obcej. —

— Dla czegoż ja? —

— Juryszka już nie dla nas. Ihumenowi nie nosić czapłego pióra. Neczaj za stary, za uparty; jemu spodobało się być lepiej wiernym sługą Wyhowskiego, jak nam i jemu hetmanić. Ty krasna pani możesz swego męża ubrać w czaple pióra. —

— On bratem Hetmana! —

— I braterstwo warto na chwilę poturbować dla buławy. — Helena milczała.

— Jak ty zechcesz krasna pani, on wszystko zrobi. —

— A Król Jegomość? a Senat!

— Mamy listy od Ciecziury, że radziby jednej chwili pozbyć się Iwana Wyhowskiego z hetmaństwa. Dla nich on groźniejszy od samego Bohdanka. Senator Wojewoda równy najwyższym w Rzeczypospolitej. Hetman z wojskiem i zwycięzca potężniejszy od Hetmanów Korony i Litwy. U Lachów kto z nimi na równi stanie, tego oni się obawiają aby nie stanął wyżej. —

Czarnobrewka na wspomnienie o Ciecziurze mimowolnie się zatrwożyła, a potem słuchała; i jakby to nie do niej było mówionem, powiedziała:

— Daniel nic do mnie nie pisał. —

— Nic. Choćby i pisał, toby ci nie oddano. —

Zamyśliła się Helena.

— Cóż zrobić? —

— Co? krasna Pani! Córo naszego pana, jedź z nami za Dniepr, Tam wierni przyjaciele Bohdana Chmielnickiego. Mąż twój przyjedzie, i czy zechce, czy nie, gwałtem mu przypniem do kołpaka czaple pióra. Tobie być hetmańską żoną. —

— Jechać, jechać bez męża? —

Mąż przyjedzie. Córo Chmielnickiego, ty nas nie odstępuj. — Ona milczała. Obaj pułkownicy ją żegnali.

— Jutro o świcie wszystko gotowe. W twojej mocy męza sława, twoja sława i ojcowska sława. Krasna Pani, bądź z nami. —

Oni odeszli, a czarnobrewka i samej sobie w myśli nie powiedziała ani tak, ani nie. Siadła, wodziła okiem po makatach komnaty; wodziła myślą po dumkach sławy i wielkości, a ręką bawiła się z czapłem piórem.

VII.

Stary Kijów, stary, a Dniepr jeszcze starszy, dwaj starcowie do siebie się przytulili i rozmawiają z sobą. Dzwonami Kijów gada, o starych ruskich czasach, o kniazjach przesławnych, o Chrobrym królu łackim i o śmiałym jego potomku; i o Kona-szewiczu Sahajdacznym, a Dniepr szumem fali odgaduje, co tam wyżej w ruskich ziemiach działo się i dzieje? Co tam niżej na Zaporozżu się świeci: o wyspach osnutych tajemniczą Sieczy; tajemnicą dla wszystkich, krom braci kozowych, i starego Dniepru, i Boga jedyneho; o pustyni kochaniu kozaka, co złowieszczy każdemu, o limanach szerokiej przystani kozaczej czajki; gada, gada jak po nad brzegami hasa kozak na koniu; gada, gada jak po sinej wodzie hula kula kozak na czajee. Ho! ho! to lube Dnieprowe pogadanki! zwyczajnie starego ojca o młodej dziatwie.

Czy jest ze słowiańskiej krwi człowiek choćby jeden, któryby nie westchnął z serca, i lzy z serca nie uronił, kiedy w starym Kijowie setne dzwony grobowym pojękiem zajęczą? Czy jest taki Sławianin, w którymby krew nie zaskakała, w którymby nie zaskakała dusza, kiedy w Kijowie na prażnik, setne dzwony wesela brzękiem zabrzączą. A kiedy też same dzwony zahomonią na modlitwę: homon. poniesie się na daleko, o! wtenczas każda dusza sławiańska modli się i korzy, każda dłoń sławiańska w pierś się uderzy, Bogu odśloni serce; każde czoło sławiańskie, choćby jakie harde, przed Bogiem kloni się w pokłony.

Czy jest na świecie kozak taki, któremby krew nie zaki-piała, nie drgnęła ręka, i serce i dusza nie porwały się do lotu, kiedy szum Dnieprowej wody zagra mu w ucho; to muzyka kozaczego serca! bo w tym szumie cała wieszczba Kozaczej przeszłości kozaczej, bo w tym szumie cała wieszczba Kozaczej przyszłości.

Stary Dniepr gdzieś z daleka wypłynął z za litewskich puszczy, i pustynię kozaczą przepruł na dwoje, a sam stał się dla kozactwa wojennym szlakiem, do Istambułu, w Bisurmańskie kraje.

Stary Kijów usiadł nad Dnieprem, groźnem okiem patrzył na pustynię, a silną piersią stał się ludnym ziemiom.

Bracia Koszowi dzieci Dniepru i pustyni, stali się dziećmi Kijowa, bo ich ojciec pan Koszowy, stał się Hetmanem wszej Ukrainy i wojewodą Kijowskim. Dnieper i Kijów, Hetman i Kozactwo, wszystko to teraz uznaje za matkę i panią Polskę.

Prażnik dziś wielki w Kijowie, choć nie żadne święto cerkiewne, ale świeżo kozacze. Od białowej jutrzni już podzwonne gromko rozbija się po wietrze, z wiatrem lasami taszczy się na Czarnobyl, na Owrucz, aż pod stare krańce Litwy, z pędem Dniepru niesie się w stepy, w pustynię, za Budziak aż po Czarne Morze. Na skrzydłach wiatru, na grzbiecie wody, całemu Kozactwu rozgłasza. prażnik! prażnik!

Hetman wojewoda dziś przyjeżdża do Kijowa, i posłowie kozacy do Króla Jegomości i Rzeczypospolitej Polskiej dziś wracają do Kijowa. Nadzieja i wesele we wszystkich twarzach.

Wśród tego powszechnego wesela dwóm ludziom było nie wesoło. Może złowieszcze przecucie motylicą padły na długie tkanki nadziei, a może dla tego im smutno, że wszystkim wesoło; bo i tak się zdarza między ludźmi.

W Sofijskim monasterze, razem z jutrznią, wstał starzec białowłosy, i modlił się; a po każdej modlitwie jak amen powtarzał: Boże odwróć go od tego; zeslij łaskę nam, nam twojemu wiernemu ludowi; i modlitwę przeplata, to westchnieniem takim ciężkiem, jakby na drugie już tchu brakło w piersiach, to łąną taką trudną, że ledwie ją mógł wycisnąć z oka; troska tak w nim się zwarła, że ledwo, ledwo na jaw wydobyć się mogła na chwilową ulgę.

Starzec to bogobojny, błogiego życia, wiary i miłości. Kochał lud swój, i czegoż się trapi, kiedy nadszedł dla jego ludu dzień prażnikowy?

Ihumeny z cicha między sobą mówią:

— Co za smutek spadł na naszego ojca metropolitę? —

— On takim nigdy nie bywa. —

— Wiek go morzy, może żałuje przeszłości. —

— Może mu wiek za długi? lęka się o przyszłość.

— Modli się za nas, za lud cały; żałuje za grzechy nasze. —

— Za nasze, bo on swoich nie ma. —

— O! on błogosławiony Pański. —

— Może Bóg mu jakie nieszczęście objawił. —

I Ihumenów smutek gwałtem siada na wesołe serca, jak szare ptaki żałoby na zielone drzewa wiosny; troska ciśnie w błogie dusze, jak gradowiny chmurnego nieba w łąki barwione kwicciem.

W tymże samym monasterze był i drugi człowiek od którego wesele stroniło; po pieczarach wodził się ze swoim smutkiem; przed błogosławionymi pańskimi zapalał jarzące świece

na ofiarę, niby na proźbę żeby troska spłonęła z ich światłem; modlił się przed nimi, i ztamtąd wychodził na biały świat, patrzył na stary Kijów, patrzył na stary Dniepr. I tak prędko od nich wzrokiem uciekał, jak gdyby ich się lękał. Ni razu nie błysnął okiem, ni razu nie zapanoszył postawą po kozaczemu, a jednak on z krwi kozaczej.

Szedł między ulice orzechowe. Tam drzewa mdłą żółcią wieją tęsknotę na duszę; tam mu było najlepiej. A jednak nie dobrze, niepokój wodził go jak piastun malutkie dziecko, wyrwać mu się nie miał siły, iść z nim nie miał chęci: szedł pomimowolnie, bo się go pozbyć nie mógł.

Ku niemu zbliżył się mnich Czerniec już nie młody, z poszanowaniem się pokłonił.

— Bracie Gieskonie, jakżeś ty tęskny! —

— Nie dobrze mi, bracie Filarecie. —

— Bracie Gieskonie, czyś nie chory? —

— Nie, nie; dziś Ojca widziałem. — I przeżegnał się krzyżem świętym. —

Drugi mnich przeżegnał się takż.

— We śnie? Boże daj wiekuiłą chwałę jego duszy; taką jaką miał na ziemi. Bracie, Ojciec ciebie błogosławił? —

— Nie, nie, kazał, tylko kazał. — Szedł dalej, ale dalej nie rozmawiał; tylko jak bez myśli rzucił za sobą kilka słów rwanych. — Tak — zrobię — biada mi — biada, —

Obejrzał się raz po za siebie. Brat Filaret stał w miejscu, a w oczach jego było poszanowanie i podziwienie i nic więcej. Gieskon, tak się nazywał duchownem imieniem młody Iumen, potracił głowę, i ciemne włosy się powiały; ale nie stracił tęsknoty z serca, ale nie wywiął niepokoju z duszy.

— Oni mnie się dziwią, oni mnie szanują, oni przedemną się kłonią, ale uikt się nie użali! Ona tylko, ona się użaliła, i to raz jeden tylko, raz jeden w życiu. —

Oparł się o orzeszynę, i kilka liści spadło mu na głowę takż jakby na użalenie się.

Brzęczą dzwony a brzęczą, a w Kijowie pusto. I na Chreszczatce, i po siedmiu wzgórzach starego grodu, i na jPadole, i na Pieczerskiem nie widać ludzi; chyba dziecię malutkie przed domem tarza się w piasku, chyba stary niedołęga kazał się wynieść przed dom, i ztamtąd patrzy. I psy ulicami z miasta ciągną, i koty po dachach ciągną z miasta. A tam za miastem co się dzieje? — Czy wszystkie a wszystkie drzewa Smilańskiej puszczy jak żywe przyszły w odwiedziny do starego Kijowa, a teraz wracają do swojego domu; taka ciemna puszcza wali się z miasta na Czehryński szlak. O! nie puszcza to drzew, ale puszcza ludu Bożego idzie witać Hetmana Ukrainy; leje się jak woda rzeki.

Naprzód idą cerkiewne cechy, a przy każdym cechu kapłan

Boży. Starostowie niosą ewangielie, pałamarowie kropielnice ze święconą wodą, djaki w prążnikowych strojach na wiatr puszczaają chorągwie z matką dziewicą, ze świętym Michałem, ze świętym Mikołajem, ze świętym Andrzejem, ze świętym Józefatem, ze świętą Zofią, ze świętą Anną, ze świętymi pańskimi, a chorągwie jak ptaki rajskie, złote, srebrne, barwiaste porywają się z drzewiec, nad ludźmi powiewają błogosławieństwami i chcą lecieć tam do raj, do Boga Ojca. Dalej parami idą Czernocy, czerń na ich ciele, a biel w ich duszach; jak czarna wstęga suną zastępcy świętego Bazylego. Za nimi biskupi, archimandryci, protopopy, archiereje, błachoczynni i starszyna duchowna. Wszyscy w sobolowych kołpakach, wszyscy w świętecznych rasach. Potem sam Metropolita na białym jak mleko na złocistem siedzeniu. Za złote uzdy wiedli konia Ihumeny, za złote strzemiona trzymali Ihumeny, a obok szedł młody Ihumen Gieskon niespokojny, trwożliwy, oczów w świat podnieść nie śmiał. I Metropolita smutny patrzył w swoje pierś. — Znowu starszyna duchowna, i znowu długi ordynek mnichów świętego Bazylego.

Dalej na dżanetach tureckich, na polskich rumakach zdobnych w złociste, w srebrzyste rzędy, natykane kamieniami drogiemi, sami strojni i butni bogactwem i przepychem, jechali: Kasztelan, Podwojewoda, Podkomorzy, Wojski, Miecznik, Łowczy, Starostowie i wszyscy dostojni ze szlachty województwa Kijowskiego. Za nimi szły znaki dworne panów szlachty z Kijowskiego, w barwach pancernych, husarskich i petyhorskich.

Za pańskiemu chorągwiemi sunął pułk kijowski kozaczy, szły piesze rot, za niemi konne towarzystwo, a temu pułkowi dowodził Jan Zieleniecki. Szedł Horodniczy, i Ławnicy wszyscy, cała miejska rada, na srebrnych talerzach nieśli chleb, i sól, a Horodniczy miał na tacy klucze miasta. Kończył się orszak poczetami miejskiej konnej straży. W hełmach, stalowych zbrojach jeźdźce. W nagłowiach, napiersiach i w nabiodrach stalowych konie. Hełmy strojne w pióropusze, i głowy końskie w pióropusze strojne. Zda się oku, że ciężkie, żelazne hufce Chrobrego Lachów Króla, z martwych wstały z grobów, i przyszły między żywych witać Chrobrego Kozaków Hetmana. A hurmie ludu Bożego, mężów, niewiast, dzieci, starców, końca nie było. Powodzą z bramy się sunęła, a nigdy jej nie brakło, jak gdyby z ziemi wyrastała, jak gdyby spadała z nieba.

Słońce świeciło jaśnie, cało, ale i jemu nie starczyło promieni na błogosławieństwo każdemu człowiekowi; taki ich tam był tłum. Wiatr poleciał precz w stepy! oddechy ludzkie go tam poparły, a ptastwo ciekawe stadami się zlatywało, szybko wało nad tłumem, zawisło w powietrzu na oddechach ludzkich.

Cały tłum stał oczy szlakiem ku Czehrynowi, a zamtąd

gońcem tuman bieży. Z kurzu wypłynął jeździec, ręką macha, znak że Hetman się zbliża. Orszak się zatrzymał, a lud wiał się na boki, i krył nadszłakowe pole. Tam się zatrzymali gdzie dwa szlaki w jeden biegly.

Obudwoma szlakami chmury kurzu suną. Od strony stepów wracali młodce z poselstwa od Króla Lackiego i Rzeczypospolitej Polskiej. Od strony Dniepru bieży bracia Koszowi, sam sam Hetman z czaplem piórem u czapki po przedzie, a nad nim wieje srebrny archanioł w krasnem polu, i kary buńczuk ze złotego drzewca. I lud wszystek, i kozactwo wszystkie zakrzyzczało w jedno: — Hura! hura! Niech żyje nasz Hetman! Tak zakrzyzczało, że oszołomione ptaki z pod nieba, gradem padaly im pod nogi a świat dokoła zahuczał grzmotem wrzasku huczniej, głośniej jak harmaty ziemskie, huczniej, głośniej jak pioruny niebieskie.

I Hetman zdjął czapkę na pokłon ludowi, i tak z odkrytą głową jechał aż do Metropolity; tam zsiadł z konia i ukląkł przed starcem. Starzec błogosławił go krzyżem świętym, lud przypadł na kolana, kozactwo korzyło czołem, i tak było cicho, że koń wędzidłem nie brzęknął, i tak było nieruchomie że człowiek głową nie poruszył. Tylko widno rękę starca piszącą krzyż w powietrzu, i głowę do nieba ku ludziom się kłoniącą, zbielałe włosy, jak promienie łaski Bożej, z krzyżem świętym na lud się wiały. Tylko słychać było głos: Hospody Boże bło-łohosławy nas! I chwilę w milezeniu zawisło życie świata.

Znowu świat ożył i z życiem w bramy starego Kijowa się wali. Przy Metropolicie pieszo szedł Hetman po prawicy, a po lewicy młody Ihumen. Smutek jeszcze rzewniejszy osiadł na twarz Metropolity. Niepokój jeszcze jawniejszy owionął młodego Ihumena, a jasna pogoda patrzała z oczów Hetmanowi.

Przyjął chleb i sól i klucze miasta. I szli do Sofijskiego Monasteru na służbę Bożą.

Po służbie Bożej przed Monasterem zgromadziła się starszyzna kozacza, wszyscy młodce co byli w poselstwie i tłumy ludu. Hetman długo był w Monasterze z Metropolitą i młodym Ihumenem. Kiedy weszli żadnej nie było zmiany na twarzach. Hetman był jak siwy sokół, pogodny, bystry, a Metropolita z Ihumenem tęskni jak zuzule. Hetman z czapką w rękę przemówił:

— Panowie starszyzna, panowie bracia! Wieść wesela wam niosę. Król Jegomość — Pokłonił się, i wszyscy poklonili. I senat Rzeczypospolitej, baczny na nasze usługi dla Ojczyzny matki, utwierdził i uświęcił Hadziackie umowy. Wiare naszą przesławną uszanowano. Na krzesłach senatorskich zasiądą nasi Biskupi, i nasi jednowiercy. Szlachectwo polskie otwarte dla

każdego kozaka, szablą do niego droga, i do wszystkich dostojestw w Rzeczypospolitej. Pułki rejestrowe i wojsko Zaporozża, przyznane za wojsko Rzeczypospolitej. Swoboda wszelka, bezpieczeństwa, wolność kupczenia i pędzenia gorzalki przez Rzeczpospolitą zaprzysiężona wszemu kozaczemu ludowi. Takim nas upominkiem obdarza Król Jegomość i Rzeczpospolita, dziękujmy im. Hetman się kłonił i wszyscy się kłonili. A służmy tak, żeby o nas mówiono: zamałośmy im dali, oni więcej warci. —

Krzyki się odezwały: Niech żyje Król Jegomość! Niech żyje Rzeczpospolita Matka!

Hetman odetchnął: — Panowie bracia; łaska Króla Jegomości przebacza wszystkim wszystkie winy, Marcin Cieciora wolny, obsypany łaskami królewskimi: pojechał za Dniepr, między swój ród, do swego pułku. W wielkiej swej szczodrości pozwolił przez moje ręce nagrodzić tych sześciuset naszych braci, którzy chodzili w poselstwie do Warszawy, a których wy sami wybraliście, jako najwaleczniejszych. Oto jest przywilej Jego Królewskiej Mości, potwierdzony przez Senat Rzeczypospolitej. Tu dobył papier. Którym dozwala sześciuset młodcom przybrać szlachectwo z herbem i imieniem Wyhowskich. Witam was moi imiennicy, ja wam bratem, ja wam ojcem. —

Huknęły wrzaski: Hura! hura! niech żyje nasz Hetman, nasz ojciec!

A tak gromko huknęli, że w całym Kijowie wszystkie dzwony same z siebie zajęczały i po skonaniu zawrzasku czas jakiś dzwięczały jeszcze.

Jeszcze, jeszcze dzwięczały, a Hetman dalej mówił:

— Panowie starszyna, panowie bracia. Wygnaliśmy Moskała z naszej ziemi. Wołosza nam się korzy. Bisurinan nas szanuje. Z Tatarzynem zawarliśmy sojusz. Z bracią Lachami jak z bracią żyjemy. Wszyscy kozacy pod jedną chorągwią białego archaniola służą, wszyscy razem w zgodzie za jeden wóz ojczyzny ciągną. Po grodach, po siołach, po stepach naszych. we wszęj Ukrainie mir i swoboda; przez wasze szable wszystko to się stało, ja wam służyłem i wysłużyłem, żem spełnił wolę nieboszczyka naszego ojca Bohdana Chmielnickiego. Wam cześć i sława, a mnie za to dziękować wam. Bóg to widzi, że jak mogłem, tak nieboszczyka wolę spełniłem, a teraz spełnię przyrzeczenie moje. Bohdankowi Chmielnickiemu naszemu ojcu i Panu, przyrzekłem być jego synem, jego hetmaństwa i was wszystkich jego dzieci. Jerzy Chmielnicki krew naszego Pana doszedł do lat, jemu oddaję co jego, jak ojciec jego tak i on niech będzie naszym ojcem, naszym Panem. Panowie Starszyna, Panowie bracia, w jego ręce oddaję i czaple pióro, i buńczuk i buławę, czekam jego rozkazów, i my wszyscy jego rozkazów słuchajmy.

Głuche było milczenie, jak gromem uderzeni wszyscy stali w miejscu. W słup im poszły oczy, w słup myśli. Wyhowski za rękę dzierżył młodego Ihumena.

— Panowie bracia! Konaszewicz Sahajdaczany nosił się po mniszemu, a potem do składu mu było z czaplem piórem, w kozackiej burce; a to krew nasza, krew Chmielnickiego Bohdana. Nicch żyje Jerzy Chmielnicki, nasz Hetman. —

Milczeli. Jerzy Chmielnicki słowa przemówić nie mógł, ale oczyma zdawał się prosić: to nie dla mnie.

Jan Wyhowski odjął czaple pióro, i oddał Jerzemu Chmielnickiemu, on je wziął drżącą, niepewną ręką; a Wojewoda Kijowski klonił się starszyźnie; w ten czas dopiero z jękiem ozwało się kozactwo.

— Ojczy nasz, ojczy, nie opuszczaj nas. —

Metropolita zapłakał, ale Jerzy Chmielnicki milczał jak kamień. Wojewodzie zażawily się oczy, szybko do monasteru odchodził, z pogodą w sercu, a z żalością na czole. Lud cały wołał:

— Ojczy, ojczy, nie opuszczaj nas. —

A Jerzy Chmielnicki w Ihumena szacie, ale z czaplem piórem w ręku stał w miejscu, jak kamień.

Prażnikiem dzień się zaczął a skończył jakby stypą pogrobową dzieci po ojcu. W starym Kijowie tłumnie ludzie po ulicach chodzą, a nie weselą się. Smutnie sobie popatrzą w oczy, smutnie potrząsną głowami, i mileją. Oni wszyscy, o wszystkim o ciężkiej żalosci nie miło gadać nawet między sobą.

W hetmańskich komnatach przechadzał się Jerzy Chmielnicki, ale już nie w szatach Ihumena, ale w kontuszu, w żupanie, tak jak nosił się jego ojciec, a na stole leżały barania czapka z czaplem piórem, i buńczuk, i buława. Z nim był mnich Czerniec Filaret, dawny towarzysz. Jerzy był blady drżący; w mnicha oczach szukał rady, natchnienia, a twarz mnicha odpowiadała pokorą posłuszeństwa.

Wszedł Doroszczenko, okiem od stóp do głowy zmierzył nowego Hetmana.

— Panie Hetmanie, jakie rozkazy? —

Jerzy jakby ze snu obudzony ocknął się. —

— Panie Pisarzu, wszystko po dawnemu. —

Pisarz uśmiechnął się i odszedł.

Wszedł Brzuchowiecki, dziko stąpał, dziko patrzył.

— Panie Hetmanie proszę o uwolnienie od asawulstwa, chcę wrócić do Kosza na Zaporozie. —

Zadrzał Jerzy Chmielnicki, zadrzał mnich Filaret, nowy Hetman spuścił oczy.

— Ja nie wiem. Jak zechcesz panie Asawuło. —

— Dobrze. — Poklonił się, jak gdyby chciał pogrozić.

Przychodzili i inni ze Starszyny; za każdym przyjściem zafrasował się Jerzy Chmielnicki, a każdy dobrej woli nie wyniósł z sobą.

Chmielnicki zostawszy sam na sam z Filaretem prosił wszakże o pociechę, o uzalenie się, a mnich czekał rozkazu, nowy Hetman ukląkł i modlił się.

Kiedy wstał z klęczek, już i mnicha nie było w komnacie, ale tam była buława, był buńczuk, i było czaple pióro przy czapce; trójca hetmańskiej godności, godła powinności hetmańskiej. On powinien być ostrożny, i przezorny jak czapla; polotny i hulaszczy jak włosieńc bunczuka; silny i twardy jak buława. Syn Bohdana drży przed tem trojgiem znamion, nie śmie onych dotknąć, ani patrzeć nawet na nie, ani myślał popieścić jak to zwykli robić ojcowie Zaporozkiego Kosza.

Sen mu nie družbą, nadzieja nie kochanką, a smutek nieodstępnym towarzyszem. Stał w oknie, patrzy na Kijów omglony mrokiem wieczora, patrzy na Dnieper ciemniejszy od mroku, nie ma, nie ma światełka wesela w oknach starego Kijowa, nie ma, nie ma ogniów wesela w czajkach po starym Dnieprze. Oba starcowiu się pośmieli.

Głucho w Kijowie, nie słyhać gwaru ludzi; cicho na Dnieprze, nie słyhać szumu wody. I Kijów i Dniepr z żalości zamarli. Młody Hetman westchnął, i w powietrzu zaszeleściło westchnienie, a westchnieniu głos daleki, niedonośny jakby z za Dniepru odpowiedział.

Ukraino, hej w oklaski
Zaporoże, hej w zawrzaski!
Jerzy, Jerzy syn Bohdana,
Nam Kozakom za Hetmana.

Drżycie, drżycie lackie pany.
Drżycie, drżycie Bisurmany,
Ojciec wodził, syn powiedzie,
W bój powiedzie w samym przedzie.

Oj powiedzie nasze chłopce,
Na Tatary Perokopce;
Na Wołosze i za Dunaj,
Za Bóg k' Wiśle het w lucki kraj.

Dla nas, dla nas chwala dawna,
Ukraina będzie sławna;
Jako była za Bohdana,
Twego Ojca a nam Pana.

Nie smuć, nie smuć nasz Hetmanie.
Złoto nasze i kochanie.
Wodzem naszym bądź nam w boju.
Olcem naszym bądź w pokoju.

Jerzy słuchał, słuchał, nurzył oczy w mroku, a nie nie widział.

W grodzkim zamku, w mieszkaniu Kijowskiego Wojewody było inaczej. Nie było tam ani buławy, ani buńczuka, ani czaplego pióra, ale był stary Hetman.

Starszyzna Kozacza poschodziła się do niego, i przed nim jak przed ojcem żałowała się na niego.

Stary Neczaj zburmusił się, przytykał wargami i gderał przez zęby.

— Na licho przyszło — dziecina z pieluch na Hetmana. — I djabełby to pobrał takie roboty. — Z duszy byłby poląjał Wojewodę, ale popatrzył na niego i odwrócił oczy, żeby przed ludźmi nie pokazać smutku starego kozaka.

Nosacz, Niemirycz, Hulanicki, Sirko, Konstanty Wyhowski, nie nie gadając o Królu Jegomości, o Senatorach i o Warszawie i o braci Lachach; tyle świata, tyle ludzi widzieli, wartoby się przed swoimi pochwalić. Słowa jak w błotnym rozkale ugrzęzły w smutku i wydobyć się na jaw nie chciały.

Daniel Wyhowski był smutniejszym od wszystkich. Sam Wojewoda gradem pobił jego serce.

— Helena rady mojej słuchać nie chciała, odjechała do Putywła. —

Potem chciał to zalagodzić, wziął brata stryjecznego za rękę.

— Danielu, teraz wszystko to się zakończy, jedź do żony, bądź szczęśliwym, i powracaj do nas. —

Do Starszyny także Hetman przemawiał szczerze, otwarcie.

— Towarzysze moi, najserdeczniejsi bracia, czego wam tak smutno? czyż ja mogłem zrobić inaczej? I wam miła pamięć Bohdana Chmielnickiego. Przyrzekłem, dotrzymałem, zresztą to dla dobra nas wszystkich. Widzieliście cośmy pracy przyłożyli żeby nasze rozterki stłumić, i stworzyć potęgę jedności. Są ludzie co chcą ją rozzerwać, ja jestem im przyczyną. Dla dobra naszego usuwam się. Może Bóg da, że pod synem Chmielnickiego nie rozchwicje się nasza jedność. Zachowamy wiarę matce Polsce, co do mnie będę służył jak i gdzie Hetman każe. —

Głos Wojewody nie był płynny jak zawsze, ale rwał się jakby przez siłę go wypieraną. Wszyscy ze Starszyny powtarzali to co lud mówił:

— Ojciec nie opuszczaj nas! —

Stary Metropolita mówił:

— Nie opuszczaj Ojczyzny Synu. —

Wojewoda wszystkim powtarzał:

— Nie opuszczę, nie opuszczę nigdy. —

Były tam i lzy żalu, i uściski serdeczne, jak dziełek z rodzicem. A taka była siła ludzi w komnatach u Wojewody, jakiej nigdy nie było kiedy był Hetmanem.

Pojechała Czarnobrewka w daleki kraj, a mąż kochanek tęskni za nią. Darmo mu brat Wojewoda mówi:

— Nie jedź, nie jedź jeszcze; poczekaj, niech się trochę utrze. —

— Pojadę, ja tu sam nie wytrzymam. —

— Danielu, ty nie wiesz, że twoje tam zjawienie się może być kością niezgody. —

— Nie, ja nigdy kością niezgody nie będę. —

— Jak kobieta zechce. —

— Ona nie zechce, czego ja nie zechcę; ona mnie tak kocha. —

— Ale ty ją kochasz? —

— Kocham. I cóż z tego?

— Jedno drugiemu ustąpić musi. —

— Ojcie bądź spokojny. —

— Danielu słuchaj: kiedy duma wtargnie się do niewieściego serca, to tak panuje jak słońce na niebie. Wszystkie inne światła przy niem niejasne. —

Daniel skinął głową, nie dowierza. Wojewoda jeszcze gada.

— Bracie wierz mi: jak kobieta pobrata się z dumą, to dla niej nie ma nic niepodobnego; wszystko stworzy, wszystko zniszczy, jednym słowem wszystko zrobi co zechce. —

Milczeniem urwał mowę Daniel, a potem chodził między swoimi; nie każdemu mówił, że jedzie do żony, ale każdy który tylko się dowiedział, chciał z nim jechać. Daniel odmówił bratu Konstantynowi powiadając:

— Zostań przy bracie Wojewodzie. —

Odmówił siostrzeńcowi Brzechowieckiemu.

— Grzegorz, gdybym jechał bić się, tybyś mi był najmilszym towarzyszem, ale ja jadę tam gdzie zgoda. —

Drugiemu swojemu siostrzeńcowi Téterze rzekł:

— Pawle, z tobą rad pojadę, ty jeśli ludzi nie pogodzisz, to pewnie nie pokłócisz. —

Poszli do nowego Hetmana po pozwolenie, po rozkazy. On pozwolił, a rozkazów nie dał mówiąc:

— Wszystko tu po dawnemu, wszystko niech i tam będzie po dawnemu; ja tam wkrótce przyjadę. Uściskaj siostrę Helenę Danielu, i pokłoń się wszystkim. — Myślał ale nie powiedział, krasnej Putywłance.

Jak brat ich pożegnał, ale nie jak Hetman. Pojechali, żalobę z sobą powieźli; nie zabrali wszystkiej. Została ona i w starym Kijowie i na starym Dnieprze.

VIII.

NOCNA WYPRAWA.

PRZECZUCIE.

Czarnobrewka w Putywałskim zamku panuje. Wysoczan, Krzyżanowski, Apostoł, Ładyński, Głuch, i wielu zadnieprskich pułkowników zbiegło się na posługi córki Chmielnickiego. Jeszcze oni nie zapomnieli, że Bohdanko był im wodzem i panem. Czarnobrewka konno jeździ na łowy z chartami, z sokołami. Pułki kozackie krzyczą dla niej: Hura, hura! niech żyje córka naszego Bohdana! Ona przy sobolowym kołpaku nosi też samo pióro czaple, co z nieba spadło na nią pod Czehrynem na mogile. Nieraz w szale jej się zdaje, że nowym obyczajem ona Hetmanka wszemu Kozactwu hetmani.

Kiedy hasa koniem po stepach, kiedy w komnacie szablę pieści, to taka wtenczas dumna okiem, piękna twarzą, taka ponażna postawą, że nie ma w świecie człowieka, coby za nią nie poszedł i na koniec i za koniec świata.

Czasem zapłaczę i zazlorzczy: Czemu mnie matka synem nie zrodziła! I wtenczas pieści czaple pióro, i wtenczas tylko myśli o mężu kochanku: To dla niego Daniela. W marze myśli stroi go w hetmańską czapkę, daje mu do rąk buławę, i buńczukiem nad nim powiewa. Jak dziecina tą marą się bawi, i dumą swoją była szczęśliwa.

Już oddawna, jeszcze przed wyjazdem zadnieprskich pułkowników do Czehryna, moskiewscy wysłannicy gadziną wsunęli się między naród Kozaczy, i piekielny jad sykali słowami: Obcy człowiek wam panuje, a o krwi Chmielnickiego zapomnieliście. Odpowiedź dana przez Jana Wyhowskiego pułkownikom: Zrobię co zechcę, co powinienem, jeszcze bardziej rozżarzyła zadnieprskie kozactwo. Czarnobrewa córka nieboszczyka Hetmana, była między niemi ze złotem i dumą; czekali z zapaleniem ognia bratniej wojny, na przybycie Marcina Ciecziury.

Przybył i Marcin Ciecziura, i wnet stawił się przed Heleną, skłonił się nisko:

— Krasna Pani, kiedy Juryszce zachciało się być Metropolita, a Neczajowi druhem wiernym Iwana Wyhowskiego, Daniel Wyhowski niech będzie naszym Hetmanem; to twój mąż, a ty córa Bohdanka Chmielnickiego, naszego Ojca i Pana. I Król Jegomość i Senat Rzeczypospolitej będą temu radzi. A nam tyś Pani. —

Temi słowami szczeroty poglaskał dumę Heleny, i jak piastunka piosnką usypia rozbudzoną dziecinę, tak on ukolysał, uspił, i czujność i przezorność niewieściej dumy; każdemu zdaniu potakiwał, a żadnemu nie powiedział nie.

Kiedy przyszli do niego Wysoczan i Krzyżanowski, oba dawni towarzysze i wierni przyjaciele Bohdanka Chmielnickiego, oba jawni stronnicy Heleny, uśmiechał się im uprzejmą wolą, i ściszał ich już nie kozaczym uściskiem, ale jakimś laszącym się, kocim.

— Panowie bracia, gracko spisaliście się. Wasza szczerłość i mnie otuchy dodaje. Ja z wami trzymam, z wami na zawsze, i w czasie poprę was całemi siłami; ale jednak teraz za wami otwarcie oświadczyć się nie mogę. Niby wdzięczność z Janem Wyhowskim mnie wiąże; nie chcę żeby ludzie przed czasem gadali: Wyhowski za czią i życiem Ciecziury się wstawiał, a Ciecziura przeciw niemu wicherzy; chociaż —

Wysoczan na to chociaż splunął tak, jakby brzydkiej siwu chy haust lyknął nie skosztowawszy wprzódy.

— Panie bracie, czy i ty jak djabeł na starość chcesz pokutować? zkąd tobie te chociaż? mów tak, lub nie; z nami, albo przeciw nam. —

Ciecziura oczyma w oczy nie patrzył Wysoczanowi, ale na jego twarzy, na którą niegdys krasa gniewu występowała, teraz nie było żadnej zmiany. Nie darmo towarzysze mówili w Warszawie:

— Ciecziura to sprytna sztuczka, tylko co zaczął się uczyć u Wyzuwitów, a już i sam jak Wyzuwita. —

— Ja waszą szczerłość Panowie Bracia cenię, zobaczycie że nie zostanę z tyłu za wami. Niczego więce nie pragnę jak widzieć krew Bohdanka na naszym czele. Widzieliście co zrobiłem, zobaczycie co zrobię. — Twarzą się uśmiechał, i mowę zniżył na cichszy głos. — Panom Senatorom Rzeczypospolitej nie miły Jan Wyhowski, radziby go się pozbyć jednej chwili; czy Juryszka, czy Daniel, czy ktokolwiekbydź, ze zmiany nie będą się smucić, a Król Jegomość, to mniejsza o to. Ja tak mniemam. Panowie Bracia, ja wam to powierzam jako najwierniejszym moim przyjaciółom. —

Zdawało się Ciecziurze, że udobruchał obudwóch pułkowników i był rad z siebie, ale oni to z inną dumką od niego odeszli. Krzyżanowski szablą brzęknął.

— Ni sio, ni to nam nabrechał, a djabeł go zgadnie co on myśli. —

Wysoczan jak niedźwiedź pomrukiwał, a te pomruki to nie dobrej woli głosem u niego.

Cieciura rozmawiał z inną starszyzną, na czele której stał Paweł Ładyński; byli to młodszy wiekiem, jeszcze nie zeszczerwani na bojach, ale gorliwi obrońcy przesławnej cerkwi; oni mniej mieli kozaczego ducha, a więcej na Ihumenów wyglądali. Ładyński mówił:

— Nasz Hetman dzisiejszy, Senator polski, Pan polski. On zawsze Ignął do Lachów. Bógby tego nie dopuścił, ale mnie się widzi, że cerkiew nasza przesławna w niebezpieczeństwie. —

Na to ozwał się Cieciura:

— Ja nie wiem — kto wie — może. — Po chwili dodał. — Tak mówią i głośno i bardzo; ale czyż my jesteśmy niczem? —

— Niczem bracie Cieciuro, nie. Każdy z nas tu gotów nałożyć głowę za przesławną cerkiew, ale czy ty będziesz z nami? —

— Ja? czyż wy wątpicie o mojej wierze dla cerkwi naszych ojców? czyż wątpicie o tem, żebym stanął między wami. Panowie Bracia, kiedy przyjdzie bronić świętej wiary naszej, wten czas stanę dziś was poprę. —

Wszyscy się uradowali.

— To ty z nami bracie Cieciuro? —

— Z wami bracia; ale trzebaby się porozumieć z Wysoczanem, z Krzyżanowskim. — Spojrzał okiem. — Ja tak mniemam, tak mi się zdaje. —

— Bracie Cieciuro, oni nie Apostołowie przesławnej cerkwi, im bardzo o to chodzi. Byle krew naszego Bohdanka była na naszym Hetmaństwie, to dla nich dosyć; tak jak dla nas, kto Hetman to Hetman, niech tylko przesławna cerkiew ostoi się w swojej potędze. —

— Zapewnie, ja mniemam. — Podumał trochę, i twarz przybrał niby w zapal. — Panowie Bracia, wasze chęci sumienne, któżby z wami nie był. — Po chwili dodał ale ciszej — rachujcie na mnie. — I usta stulił jak gdyby reszty słów gwałtem nie przepuścił.

Ładyński ze swojemi odszedł, rad z Marcina Cieciury; między sobą powtarzali:

— On nasz! on z nami! —

Później Marcin Cieciura był sam na sam z Prokopem niedgdyś osadniczym, a taraz i przywódcą Putywlańskiego zamku; to dwaj przyjaciele od serca, przyjaźń rzadka, bo oprócz siebie nikogo więcej nie kochali.

— I jakże Marcinie? —

— Dobrze wszystko, lepiej jakem się spodziewał, jakem mógł się spodziewać. —

— Tam ci wszystko dobrze poszło? —

— Dobrze. Czarne kruki myślą, że mnie przykraczyli do siebie; oni rozumni to prawda, ale i ja w ciemę nie bity. Przyrzekłem wiele i uwierzyli. A nasz orzeł sam sobie poszkodził; powiedział wyraźnie, że sam swoją ręką wytępi kruki jeźliby się odważyły nalecieć na Ukrainę. Ogłosił siebie obrońcą przesławnej cerkwi. Kruki jak wezmą kogo na dzioby, dopóty go nie spuszcza, póki z niego padła nie zrobią. O z niemi się nie zadawać kto chce być całym. Panowie dykiesy takóž nie cierpią orła, bo on im strasznym w oczach, skrzydłami osłonił Ukrainę od ich palamarki, a szponami grozi zabrać to co oni za swoją własność mają. I litewski rosumacha, i pierzyna lacka, staruszek, matacz, i trefniś, a nawet i raba sobaka, wszyscy orłowi zazdroszczą; i każdy to takim, to owakim słowem mi szeptal: Pozbądź go się Wasze, a nie się nie bój, my to wszystko zrobie my tak aby było dobrze Waszeci. Sam Pan to kurka, a Pani tak wiele się zachceiwa, że rzadko kiedy może zrobić co chce. Zresztą oni muszą przyjąć jak co się stanie. Rozumiesz ty wszystko Prokopie? —

— Dziwo że rozumiem, ale zkąd ty tego wszystkiego się nauczył? —

— Od czarnych kruków Panie Bracie. —

— A teraz ich nauką będziesz matał tu u nas? —

— Nie trzeba tu was wiele matać, wy się sami matacie. —

— To prawda, ale cóż ty zrobisz? —

— Jastrzębie wypuszczę na harc, jak się im nie uda, to w dudki się poszyją, a ja będę czysty i niewinny jak dziecko z tego wszystkiego. A jak się uda i orła zdławią, to będziemy probować dławieć sokołęta; na puhaczach się oprę, białemu sępowi pokłonię się, obiecankami go zachęcę, i jakoś to będzie. —

— Na wielkie ty kroisz, panie bracie. —

— Na małe nie warto. Ty wiesz Prokopie, kto nic nie waży to i nic nie ma; ale słuchajno, i jakże twoja lastówka sprawia się przy Zuzuli? —

— Moja lastówka zwyczajnie lastówka, durna, kruczego rozumu nie ma; ale Zuzula rozparła się, żeby swego Orlika wynieść nad wszystkie ptaki. —

— Niech się pora. — Schmurzył czoło, i kozacza rodzima barwa zmiotła na chwilkę obcą przyuczkę. — Ha trzystaby djabłów zjadła, samo w samotrzask leci; ha! poczekaj ptaszku. —

— Nie przegniewaj się tak panie bracie; jak sądzono tobie, to cię nie minie; ale słuchajno co mi ludzie gadali, że sokołatko milutkiem oczkiem poglądało na moją lastówkę. —

Jeszcze Ciciura niezupełnie rozhmurzył brwi, ale baczenie słuchał Prokopa.

— To dobrze, to może się zdać; ale któż ci o tem mówił? —

— Stary nasz bąkacz. —

— A jakże on o tem się wywiedział? —

— O! on wszystko widzi, wszystko słyszy, i o wszystkim wie? —

— Gdzież teraz się obraca? —

— Bąka w uszy Sokolikowi, bąka i Orłowi, a co Zuzuli to bąkał i nabąkał. Wszystko to jego robota. —

W tej chwili zatrąbiono przed zamkiem, wybiegł Prokop, a Marcin Cieciora sam został.

Sam został z dumkami swojemi i słowami; nie puszczał ich w świat; z oczów, z twarzy tylko widać, że niemi w głowie harcował, a ręce zacierał, jak gdyby mówił: stanie się stanie; a nogami szybko stawiał, jak gdyby mówił: nie zatrzymam się, pójdę już, pójdę. Tak się czai, tak się zwierzy wilk kolo zamkniętej jeszcze obory, tak się łaszczy, tak się czupurzy jastrząb koło gołębnika.

Wrócił Prokop, a twarz jego dziwem jakimeś osuta, Cieciora spostrzegł.

— A co goniec? co przywiózł? —

— Nie jeden, ale dwóch. —

— Cóż przywieźli? —

— Orzeł z dobrej woli w dom odleciał. Sokolątko nam Hetmanem. —

Schylił czoło Cieciora, a Prokop mówił dalej:

— Stary bąkacz drugim gońcem daje wiedzieć, że Zuzulin Orlik tu leci. —

Jak dziecina Zaporoża kiedy usłyszy cichy poszept: Na koń, na koń, chwytą się ze snu dumania, i nagle i oczyma i ciałem z radości skacze, tak podskoczył na te słowa Marcin Cieciora.

— Zuzulin Orlik! —

— Tak, tak panie bracie. —

— Gdzie Naum? —

— Jest tu. —

— Chodźmy do niego. Prokopie, zobaczysz co to będzie. Nasza dobra, nasza. —

Helena ani igły, ani wrzeciona nie miała w ręku, ale bawiła się z czaplem piórem, to rozstrzępiała każde pierze z osobna, to znowu je muskała, i od czasu do czasu słówko jedno, dwa posłała Parasce. Paraska dziergała jakieś manele, i nie ochoczo odpowiadała hetmańskiej córce.

— Daniela nie ma. —

— Przyjedzie. —

— Pisał. —

— Już pewno w drodze. —

— Ty myślisz? —

— Pewnie. —

I pogłaskała czaple pióro.

— To dla niego. —

Rozmowa się urwała, kiedy wszedł Marcin Cieciora, szczęście rzucił w uśmiech, i chodem szczęścia stąpał. —

— Krasna Pani, szczęśliwą ci wieść niosę. Jerzy Chmielnicki naszym Hetmanem, panem wszej Ukrainy. —

— A Jan Wyhowski? —

— Złożył dobrowolnie Hetmaństwo — dodał ciszej — bo musiał. —

Czarnobrewka tego ostatniego słowa nie słyszała, opuściła czaple pióro na ziemię.

— Złożył dobrowolnie? — Mój brat Hetmanem? —

I krew Chmielnickiego nie cieszyła się z dostojenstwa jakie spadło na jej własną krew.

— A mój mąż? —

— Zapewnie musi być w Kijowie. Cieciora podniósł z podłogi czaple pióro, oddał Helenie; ona drobnymi palcami nie strzępi pierza, w oczach lza stanęła, a nie śmie potargać pióra, a nie śmie lzę wypuścić z oka. Duma gra, i wstydzi się żalu i nadziei nie traci; gorzko jej, duszno, wstała i nie powiedziała: za wieść dziękuję. Wyszła, Cieciora zatoczył za nią okiem, a myślą poszeptał sobie: Kto ją ma, tenby miał czaple pióro byle chciał. Nie bawił Cieciora w komnacie, zmienił go tam inny człowiek.

To stary Prokop przyszedł do swojej córki jedynaczki.

— Doniu moja Doniu, Jerzy Chmielnicki nam Hetmanem. —

— Słyszałam. — I ledwie podniosła oczy od igły.

Ojciec patrzył jej w twarz. — Cóż ty na to Doniu? —

— Szkoda i jednego i drugiego. —

— Kogo? Jak? —

— Szkoda dawnego, bo to prawdziwy Hetman; szkoda nowego, bo on nie na Hetmana. —

— Co ty prawisz Doniu? —

— To co myślę. I na tej twarzy nie było rumieńca, i w jej oczach nie było nic niezwyčajnego. —

— Doniu moja Doniu, ja ci ojcem, ja ci matką, a ty przedemną się taisz. —

— Z czem Ojciec ja się taję? ja o niczem nie wiem, o czem ty sam nie wiesz. Helena za lepszego powiernika ma ciebie ojciec, jak mnie; przedemną mało co mówi, i to co mówi, to ja tego nie rozumiem. —

— Ale Jerzy Chmielnicki nasz Hetman! —

— Cóż ja mogę o nim wiedzieć? —

— On nic nie gadał o — o Hetmaństwie. —

— O pewnie że nie, on się modlił; żalił się przed siostrą, i prosił u niej o pożałowanie. —

— A tyś go żałowała? —

— Żałowałam. —

— A on? —

— Co on? —

— On o tem nie wiedział, i ludzie o tem wiedzieli. —

Potrząsa głową Putywłanka i nie więcej.

— Słuchaj Doniu moja, on dziś Hetman, nie Ihumen. —

— Niech mu Pan Bóg szczęści. —

— I nam niech szczęści. —

— Daj Boże. —

— Od ciebie wszystko zależy moja Doniu. —

— A to jakim sposobem mój ojciec? —

— Ty możesz być hetmańską żoną. —

Putywłanka milczała.

Stary Prokop w czoło pocałował krasną córkę.

— Tylko chciej pociecho moja, tylko chciej. —

I odchodził, i we drzwiach nie słyszał głosu córki.

— Nie ojciec. —

Putywłanka spoczęła czołem na dłoni, a myślą pobiegła na dumanie. Sirko hołubczyk pierwszy pocałunek jej serca dostał, i ona mu wierna, tak jak szabla jego dłoni, jak koń jego woli, i ona o nim myśli; dla niego mrugi oczek, uśmiech ust zbiera. — Nicchno on przyjedzie, jak go powitam, to już odemnie nie odejdzie, tu ze mną zostanie, i przy mnie o wszystkim zapomni; i temu wierzy jak w słowa święte bo sercem kocha. Zaklina się sama przed sobą, że nigdy wiary sobie danej nie złamie, nigdy, nigdy.

Czy Tatar Perekopczyk gdzieś na stepie się pojawił, i od Krymu doleciały bluźniercze głosy: Bachmaty nasze wypiją mu wodę aż do dna, kopytami zgruchoczą gród Putywelski, w ziemię osadzą, a naród chrześcijański jak bydło pożeniemy w jasyr, za trzy rzeki, za trzy góry, w nasz kraj, na sromotę, na niewolę. Czy z taką wieścią orzeł brat kozaczy ze stepu przyleciał? bo Marcin Ciecziura najczelniejszy pułkownik, sam konia dosiadł, garstkę najwierniejszego kozactwa zabrał, i wybieżał z bramy Putywelskiej na zachodni szlak, na szlak którejdy kozactwo do Kijowa chodzi, ale którym i Tatarstwo w głąb kozaczego kraju zwykło się zaganiać.

Cwałem konie pognali, a nikt nie wiedział dokąd? i po co? Tylko Prokop Osadniczy na zamek liczne straże pozaciągał a wszystkich ludzi dobierał z Ciecziury pułku, i sam z kilkoma

powiernikami porał się w podziemiu zamkowym. Widno prochy wydobywał i kozacze skarby zakopywał.

Rozeszła się po Putywlu wieść o nowym Hetmanie. I lud Chmielnickiego nie cieszył się, że znowu ma Chmielnickiego za Pana, lud ojca nie wiedział jaki będzie syn, a z Iwanem Wyhowskim byli pod Konotopem, a za samą potęgą imienia Iwana Wyhowskiego siedzieli spokojnie, bezpiecznie, jakby za plecami Bożemi.

Moskal nie wywoływał, żeby ten Hetman kozaczy siadał na koń, bo wiedział, że jak raz wsiędzie, to nie zlezie, póki krwią moskiewską nie zleje ukraińskiej pustyni, póki moskiewskimi kośćmi nie poznaży szlaków do Moskwy. Konotop tak im w pamięci stoi, jak bitwa pod Kulikowem.

Tatar wiernie sojusz trzymał, żaden z nich na kozaczą pustynię końską nogą nie stąpił; oni znali Iwana Wyhowskiego.

I bracia Lachowie, jak przynależą na uczciwość i braterstwo, szanowali to wszystko co kozacze. Ten Hetman zbroił wojsko i porządkował kraj.

Cały naród Ukrainy gadał między sobą: On coś wielkiego waży, ale Bóg tylko sam i on o tem wie. Takiego Pana trać Kozactwo, i szczerze żałowało za nim.

Helena poswarzyła się ze snem, a noc ulubila: nie śpi, chodzi po komnacie i duma; siedzi na wężgłowiu i tęskni; stanie w oknie i marzy, i duma o dumie, i tęskni za dumą i marzy o dumie. Sama do siebie mówi: Brat mój Hetmanem, krew mojego ojca, krew nasza panuje; wszystko tak się stało, jak się stać było winno. Nie powiedzą: Chmielnickiego imię błyskawicą przeleciało, gromem huknęło w Ukrainie, i jak błyskawica, i jak grom przepadło; tylko ludzie jak o rzeczy przeszłej o nim gadać będą. Chmielnicy będą panować po wiek wieków Kozaczyźnie. Nieboraczka chciała dumę zabałamucić tem gadaniem, a duma do ugłaskanej sobą myśli szeptała: Ale to nie ty? — I wtenczas dłońmi studziła oczy. Czemu mnie matka synem nie porodziła.

Jak gwiazda na ciemne niebo, tak kochanie zawitało do smutnej duszy. Serce mówiło: mąż kochanek idzie. Otworzyła okno, i okiem szukała po czarnym przestworzu. Ale tam człowieka żadnego nie widać, bo ludzie głęboko spali; ni gwiazdki, bo niebo było w grubej żałobie; ani myśli jakiej coby kochaniu w pomoc przyszła, i rozwiała choć na chwilę dumki dumy.

Myśl taka jak wiatr szczęścia od niedoli ucieka; z nią w parze iść nie lubi; ani na nią patrzeć, ani do niej się uśmiechać. Czarnobrewka nie mogła zgonić tej myśli, choć ona gdzieś tam była w świecie. Ale niebo wysokie, świat szeroki, a myśl ludzka błędny wędrowiec, dobrze się nabłądzi w stepie życia, nim

znajdzie drogę, a często, często w stepie przepadnie, i na wieki zaginie.

Stała w oknie, głowę wychyliła do wiatru; rosa jak na najśliczniejszy kwiat ziemi pada na włosy, na oczy, na lice; pada cicho, pieści się, żeby kwiatu nie zbudzić, żeby dłużej na nim zostać. I wiatr w znowie z rosą kochanką umilkł, zawisł w powietrzu, i jak w drzemaniu slania się koło tego kwiatu. W komnacie świecznice płoną, i płomieniem polatują ku oknu, jak gdyby chciały płonieniem z okna ku sobie ją pociągnąć. I złote księżycy i srebrne gwiazdy, niby wyrrywają się z amarantowych makat, i chcą lecieć za Czarnobrewką, i chcą ją zatrzymać, tak im jej żal. A Czarnobrewka głową wychylona, a postacią taka polotna, że zdaje się ot, ot, już uleci.

Gdzieś tam, gdzieś daleko, ciszę świata bałamuci jakaś piosnka. Na zawiś wiatrowi, na zawiś rosie, do ucha Czarnobrewki leci, i ona chce takż z nią pieścić się. Piosnka taka zawistna ucha krasawicy, jak wiatr i rosa jej liczku.

Noc, noc sypie czarne kwiecie,
Ciemno w niebie, ciemno w świetle;
Czarnobrewce smutno w myśli.
Żal z kochaniem w goście przyszli.

I noc czarna sobie minie,
Z nocą ciemność precz zplynie;
Wszystko w świetle się zabieli,
Czarnobrewce myśl zweseli.

Zejdzie jutrznia na obłoki,
Zejdzie słońce dzień szeroki;
Czarnobrewce radość znieście,
Już kochanek ot tam w lesie.

Niedaleko pędzi szlakiem,
Bieży chartem, leci ptakiem;
Dniem i nocą konia zgania,
K' Czarnobrewce, do kochania.

Oj przybieże tutaj gońcem,
Z ranną rosą, z rannym słońcem;
Na dobrydzień pocaluje,
Czarnobrewkę rozraduje.

Może jeszcze czasu skradnie.
Może jeszcze w nocy wpadnie,
I jak się masz, przed dniem powi,
Pocalunkiem w noc pozdrowi.

Jakby na dobrzmienie pieśni, na szlaku niby kopyta końskie zatętniały. Czarnobrewka słucha, pieśń zamilkła, w powietrzu się rozplynęła, ale tętnienie głosi się i niesie się do ucha. Co-

raz bliżej, coraz bliżej, tętni, tętni ku zamkowi. Zarżały konie; Czarnobrewka pomyślała: to może on! I patrzyła i słuchała.

Przy bramie straż straży głos posłała.

— To nasi muszą wracać, rżą konie do stajni. —

Czarnobrewka westchnęła.

Nie słysząc było obcego wołania. Przed bramą ustało tętnienie, a zaskrzypiały wrzeczadze bramy, i most zwodzony spadł, krótkim łomotem, i słysząc było jak konie stapały po moście; ale nie było nic a nic widać. Czarnobrewkę nadzieje nie odbiegły: może mój Daniel z tutejszemi się zdybał. I dumy niepokoje ją odbiegły. Stała w oknie, słuchała i nic dosłyszeć nie mogła; patrzyła i nie dopatrzeć nie mogła. Wróciła w komnatę, poprawiła włosy, strój, lice otarłszy z rosy, siadła na wezglówiu niby półsenna, czekała, a nie nie słysząc. Posadzki dalszych komnat nieme, kłaniki martwe, tylko serce Czarnobrewki żyje, tylko oczy Czarnobrewki żyją. Serce spieszenie skacze, jak gdyby cwałowało do męża kochanka. Oczy biegną ku drzwiom, wyglądają męża. Wiekim długa była ta chwila oczekiwania, sokołem szparka była niecierpliwość kobieca. Wstała, poszła ku drzwiom, otworzyła, słucha: pustynia niema przed nią; wróciła ku oknu, słucha: i tam niema pustynia; ani tętnienia koni, ani głosów ludzkich, ani nawet brzmienia pieśni nie słysząc. Przeciera oczy, myśl rozmarza.

— O Boże mój Boże! —

Zatrzasnęła okno, rzuciła się na wezglowie, patrzy do koła. Świecznice jasno płoną, księżyc się złoci, gwiazdy się srebrzą; na nietkniętym łożu, między rozsuniętą kotarą, puszy się czaple pióro. W całej komnacie, od makaty od kotary, od światła jaśnia się czerwieni. Z ponad łoża święci pańscy ze złocistych ram na Czarnobrewkę patrzą, a ona kryje oczy w dłonie i płacze. Płacze nie za czaplem piórem, ale za mężem kochankiem. I tak płakała aż do białego dnia. Z białym dniem mówi sobie na pociechę: marzyłam, śniłam. A jednak okiem ku drzwiom patrzy, uchem ku drzwiom słucha.

Idzie do okna, otwiera, i oczyma nie chwali dnia miłego się do ziemi, i ziemię weselącą się z dnia; ale na dziedzińcu zajrzała dwóch ludzi: to Marcin Cieciora i Prokop osadniczy, rozmawiali z sobą. Marcin Cieciora był dziko wesół, tak jęk sęp kiedy padło do koła oskakuje, nim zacznie żrzcć. Prokop był butny postawą, jako paw wyglądający wschodzącego słońca.

Ze stajni wiedziono konie do wodopoju po pod same okna, kędy stała Czarnobrewka; leniwo ciągnęły się na powodach, jeszcze pot na nich nie osecił, a przyschła biała dereszowaciała na piersiach i na łbach. Jeden ze sług Czarnobrewki zapytał Kozaka wiodącego pierwszą parę koni:

— Gdzieżście tak zhasali wasze szkapy? —

Ten milczał.

Zapytał drugiego, i od tego żadnej odpowiedzi nie odebrał, dopiero trzeci mruknął:

— W stepie. —

Sługa o więcej się nie pytał.

W dzień Czarnobrewka zamknęła się w swojej komnacie; wzbronila wejścia wszystkim, i sama nigdzie nie wychodziła, nigdzie, tylko wciąż służebną po służebnej wysyłała na zwiady, czy Daniel nie przyjechał, czy nie jedzie?

Marcin Cieciora wszedłszy między starszyznę, każdemu się przyłaszał, jakby każdego chciał sobie na druha pozyskać, a kiedy go pytano:

— Gdzieżeś jeździł tej nocy, czy na wzwiady jakie? —

On poprawiał oseledce, czupurzył się na zucha:

— Zmarkotniało mi tak siedzieć w zanku, pojechałem sobie pohulać, pohasać na stepie. —

A z osobna każdemu prawie w ucho szepnął:

— Dowiesz się gdzie, i po co? —

IX.

B I E S I A D A.

MNICH HETMANEM.

Czas szparko jak ukraińskim koniem przeskakał dni dziesięć, a czarnobrewce o mężu nie przyniósł wieści żadnej. Tylko pułki zadnieprskiego kozactwa ściągają się do Putywła, tylko z Kijowa gońce za gońcami przynoszą mowę: Do Putywła przybędzie nowy Hetman. I Czarnobrewka do tej mowy dumką dorzuca: I mój mąż z nim.

Między Starszyszną Marcin Ciecziura tumani, mata i rej wodzi. Zebrał na radę samych pułkowników, i tak do nich przemawiał:

— Panowie Bracia! Chwała Bogu, chwała i nam, Hetmaństwo nasze wróciło krwi Chmielnickiego. Cerkiew ostała się w potędze, wiary naszej przesławnej nie śmiano prześladować; ale to powodzenie ostrożności nam ujmować nie powinno.

Naszym obowiązkiem baczyć na wszystko; bo nie tak dobrze idą rzeczy jak nam się zdaje. Na świecie są ludzie nieszczerzy, co dla tego dobrze robią, że nie mogą inaczej, ale zrobiwszy to, natychmiast pracują na złe.

Krzyżanowski przerwał.

— Bracie Ciecziuro, mów wyraźnie, komu ty przytyki dasz? Kto tu u trzysta djabłów śmie dołki kopać pod Chmielnickiego władzę? —

Wysoczan i wszyscy jego poplecznicy w szable stuknęli.

— Śmieją, śmieją, i na Chmielnickiego krew nastawać, albo dalej jeszcze, pójść na przesławną wiarę, na naszą wolność; ale są tacy, którym Bóg dozwolił dowiedzieć się i złe uprzedzić. — Wyprostował się Ciecziura.

Mów bracie Ciecziuro, kto tu między nami pokój chce mieć? Jaki to hunewot i psawiara?

— Mnie nie chce się wam mówić, ale muszę dla dobra naszego. Oto Iwan Wyhowski, kiedy niby tak pocziwie zrzeka się Hetmaństwa, swoich wysyła między nas mącić; szuka żeby go znowu przymuszano do przyjęcia Hetmaństwa. — Milczeli; — Cieciura dobrze tuszył, i domówił: Będąc naszym zło-dziejem, chce aby go miano za dobro-dzieja.

Wysoczan mruknął:

— To nieprawda, łgarstwo; ja znam Iwana. —

Nie szczerwienił się Cieciura, ani mu blachmanem oczy zaszyły.

— Mnie tu smutniej tę prawdę mówić, jak komu innemu; on mnie dobrze zrobił, a ja dla dobra naszego wspólnego muszę mu robić źle; ale rodzonego ojcabym wydał, bogdajby mi Bóg dał tak do jutra dożyć, gdyby żywił złą myśl na przesławną wiargę naszą, albo na krew Chmielnickiego; a że wam prawdę mówię, to was przekonam. Znaie Nauma Sukara?

— Ja znam. — Odezwał się Wysoczan. — To mój dawny sługa, towarzyszy i przyjaciel.

— I uwierzysz jego słowom?

— Jak moim własnym. —

Cieciura wołał Nauma. Lisem wkradł się do komnaty rudy szerszeń, kocim zerkiem poglądał na ludzi, a na rozkaz Cieciury syczeniem osy siał z ust mowę.

— Panowie Starszyna, prawdę wam mówię, jak przed spowiedzią wielkanocną: Skoro Iwan Wyhowski dowiedział się, że Zadnieprskie pułki domagają się aby dotrzymał co przyrzekł świętej pamięci naszemu ojcu Bohdankowi; skoro się dowiedział że Panowie Lachowie, Car biały i wszyscy nasi sąsiedzi, żądają widzieć na państwie Kozaczyzny temu komu się należy to państwo z prawa: rad nierad zrzekł się buławy. Ale zrzekając się, wysłał tu za Dniepr swojego brata Daniela Wyhowskiego, i siostrzeńca Pawła Teterę, żeby szeptali w ucho Kozakom: Niebezpieczeństwo nam, Lach niepewny, Moskał żądny pomsty, Bisurman groźny, Tatar gotów do zaczepki, a my dziecinę mnicha bierzemy na Hetmana; modlić się on potrafi, ale bić to nie. Niechże się modli za przesławną cerkiew, za nas, a my prosimy Iwana, żeby znowu przyjął buławę i dalej nam hetmanił. Takimi mowy nakazano im siać wszędzie. W pułkach przeddnieprzańskich liczy Iwan Wyhowski co niemiara swoich, a na Zaporoże, Sirkowie, Brzuchowiecki także pobiegli. Ja wiem, Panowie Starszyna! i z palców krzyżyk złożył, i ten krzyżyk pocałował. Na Jezusa Chrystusa wam się kinę, Iwan Wyhowski nastaje na naszą wiargę, na naszą swobodę, na krew Bohdanka. Wszystko to chce w karby wziąć i pójść w wieczną służbę Lachom, a może i Bisurmanom. Już Wojewodą lackim, a chce mu się jeszcze być Księciem; tak nasi Hetmani

nigdy nie robili: nie dbali o cudze dostojeństwa a cieszyli się tem, co im dał naród Kozaczy.

W komnacie jak w cerkwi było milczenie czas jakiś. Zadumały się kozackie myśli, rozplątują gadanie Nauma guślarza i pronozy, a Naum spuścił oczy i wzdycha, niby u Panów Starszyny błaga o ratunek dla Ojczyzny. Ciecziura przerwał milczenie.

— Prawdę, prawdę mówi Naum; mamy w naszej mocy obudwóch krewniaków Iwana. Ja to ich schwytałem; nie opowiedziałem się wam Panowie bracia, bo czas naglił.

— Gdzie oni są?

— Tu w zamkowym więzieniu. Chciałem wprzód o wszystkim się dobrze wywiedzieć, nimem wytoczył tę rzecz przed wami Panowie bracia. Teraz jeżeli wasza wola, Prokop stawi przed wami obudwóch.

Milczała Starszyna, tylko jeden Wysoczan przebąkiwał:

— To szwagier Hetmana, Bohdanka zięć. Żona jego między nami.

Niech się przed wami oczyści Panowie bracia, a potem z nami razem zasiądzie.

Słowa, półsłowa wrywały się z ust kozackich, a Marcin Ciecziura przybrał przybrał wolę Pana, i rozkazy dawał.

Daniel Wyhowski i Paweł Tetera bez szabel przy boku, z chmurą gniewu na twarzy, stanęli przed bracią Starszyna. Nie witali ich: Sława Bogu, jak się macie. Pierwszy Daniel Wyhowski gromkim głosem sypnął.

— Trzysta djabłów byście zjedli, psiawiary Zadnieprzańce, co za prawo macie nas więzić? Czy my wam sługi, czy wrogi Kozaczyńnie? Jeszcze wam wasze sprawy uszyma się nie nalały, narobiliście licha, Hetman, co sławą całą Ukrainę okrył, przez was nas porzuca, a wam niedość na tem, jak zbójce jacy napadacie po drogach ludzi.

Marcin Ciecziura szepnął jednemu w ucho, i szept kolejko się poniósł.

— A widzicie! nieprawdaż?

Jak roszczyń na drożdżach, tak się burzyło na twarzach kozackich. Tetera milczał, tylko się nadstawił, a Daniel Wyhowski podstrajał się, podstrajał gniewem i huknął:

— Psubraty, hultaje, gdzie moja żona? Puszczaćcie nas.

Ze wszech stron wrzasnęły głosy:

— Zdrajcy! niewiary!

— Ha, jeszcze lżycie łotry. — I wuj i siostrzeniec zawołali; chwycili się za bok, gdzie szabel nie ma, podnieśli nagie pięście w góry. Wszystkiej Starszynie zabrzękły szable wyskakując z pochew.

Ale na głos gromki Wysoczana szable nie machnęły.

— Wara od szabel! niech się tłumaczą przed nami.

— Przed wami! przed wami psiawiary? Coż wy takiego jesteście?

Cieciura silił się na głos niby zgody, niby wykrycia prawdy, ale łajanka i wrzawa tłumili jego słowa. Nikt nikogo nie rozumiał, a wszyscy się rozsierdzili, i tak tam było na tej radzie kozackiej, jak na jarmarku Cyganów z Żydami.

Kiedy to się działo na lewem skrzydle zamku, Helena na prawem skrzydle słuchała doniesień służebnych. Panowie Starszyzna między sobą się swarzą, i nie więcej nie można się dowiedzieć; strażę do koła stoją, i nikogo a nikogo nie puszczają nawet pod okna.

Kiedym pytała Hrycka co to jest, palec do ust przyłożył. Kiedym prosiła Ostapa, żeby mnie puścił pod okno, ręką machnął, że nie. Jakow patrzył głową, i zdaje się, że coś powieźdźiał, niby o Hetmanie.

Helena pilnie uchem chwyta każde słowo; patrzy w okno: strażę chodzą; Prokop osadniczy jakieś rozkazy im daje, ale rozkazów nie słyhać, a przez okna co się dzieje we wnętrzu gmachu nie widać.

Helena odstąpiła od okna, jakieś zlecenie po cichu dawać Parasce, a wiatr wpadł w okno, i zdmuchnął z za kotary czaple pióro, i wprost go powiał na łono czarnobrewce; wzięła w rękę, do myśli zawitało: może — może — i więcej dawnej dumki. Wróciła do okna. Starszyzna jedni po drugich wychodzili z zamku, zapyrzone ich twarze, ale nieme usta. Strażę jak zwyczajnie przechadzały się mierzonym krokiem. Wróciła Paraska, i przyniosła niemile:

— Nie dowiedzieć się nie mogłam.

To przeszło, a Helena znowu dumiała o mężu: Z bratem moim on przyjedzie.

Wszystka Starszyzna unikała długiej i częstej rozmowy z Heleną. Sam Cieciura za nadto się wygadał, i teraz już nie mówił. Tylko Wysoczan poglądał na nią tęsknie, ale ta tęsknota miała w sobie tyle dzikiego, że i samej Helenie niemile było na nią patrzeć.

Przybył i nowy Hetman, a z nim siła mnichów; za Ihumunami, czerncami i popami, ani dojrzeć można było rycerskich ludzi, a ku dziwocie wszystkich nie było z nim Czechryńców, Kozactwa tego Czechryńskiego pułku, który Bohdan Chmielnicki za przyboczny orszak obrał, a którego pułkownikiem był Daniel Wyhowski. Czarnobrewka szukała okiem Czechryńców i znaleźć nie mogła. Pytała brata o męża, a Jerzy Chmielnicki, krew Bohdanka, taki był strwożony tłumem nieznanego sobie kozactwa, że ledwie zdobył się siostrze na odpowiedź:

— Przedemną wyjechał, myślałem, że go tu zastanę.

Marcin wybiegał naprzeciwko nowemu Hetmanowi, i z nim razem wrócił do Putywła. Jerzy Chmielnicki z kolasy musiał sięgnąć na koń; blade był i drżący, a coraz to rękami do grzywy sięgał. Cieciora harcował koniem i czwanił się obok niego, a Kozactwo markotniało patrząc na swojego Hetmana.

Kiedy po wszystkich obrzędach przyjęcia Jerzy został sam na sam z siostrą, rzucił czapkę z czaplem piórem o ziemię.

— Heleno, Heleno, jaka ona ciężka, ja jej unieść nie mogę.

Odetchnął trochę wolniej, o siostrze żał go się zrobiło.

— Juryszko, to czapka naszego ojca.

— Prawda, prawda. — Ina odpoczynek twarz położył w dłonie, i oboje siedli na węgłowi.

— Bracie, co tobie jest?

— Heleno, mnie tam tak było dobrze.

— Gdzie?

— Tam, w moim monasterze.

— Juryszko wspomnijże na to, czem ty jesteś.

— Boże, Boże, co ja zrobiłem, że mnie tak karzesz!

Helena chciała pocałunkiem pocieszyć brata, on płakał.

— Bracie mój, uspokój się, ludzie mogą przyjść.

— Jak to? czy oni i tu przyjdą? — Wstał, ocierał łzy z oczów. — Bracie Filarecie! — Wszedł mnich czerniec, niemy na twarzy, taki jak i na ustach; suchy, sztywny, pokłonił się. Jerzy wziął go za rękę.

— Siostrzo, to mój przyjaciel jedyny! zaraz ja powrócę.

Wrócił, ale już inny, jak gdyby gorączka po zimnie nadeszła, oko się rozblęszczało, na licach rumieniec się zażarzył, na nim zaświeciła się iskierka podobieństwa do nieboszczyka Bohdanka, wtenczas kiedy ten praworny Hetman knował o spleciani jakiej nowej sztuczki.

— Siostrzo, a gdzie krasna Putywłanka?

Helena jak na dziwo patrzyła mu w oczy.

— Siostrzo, patrz na mnie, patrz na moje szaty; już ja nie Ilumen, nie czerniec żaden. Precz z myśli monasterowe cisze. Precz z mowy długie modlitwy! Ja Hetman, Ukrainy Pan; mnie krwawe boje, mnie dziewczęta krasawice, i ręce konie i sokoly, i huczne biesiady, i łowy tłumne; wszystko to moje siostrzo. Gdzie Putywłanka, ja pamiętam o niej; tam, tam, w naszym Czehrynie! Niech tu przyjdzie! Szybko, żwawo, zaraz, zaraz, ja chcę, ja każę.

A tak szparko słowa po słowach leciały, jak gdyby szły w przegony; a oko więcej zabłykiwało, a rumieniec więcej się krasił. Takiej proźbie nie ma odmowy; przyszła dziewczyna Putywłanka, Jerzy schwycił ją za rękę.

— Krasawico moja, ty mnie nie bieżysz witać, a ja Hetman,

Ukrainy Pan. Co zechesz, to wszystko dla ciebie, ty gwiazda mojego życia; powiedz słowo, a Hana z Perekopu precz za morza wypędzę, całe Tatarstwo zagonię dla ciebie na niewolników; trzysta cerkiew pobuduję na Nogajskich stepach; na białym carze, jak na koniu będę jeździł, bojarow jak niedźwiedzi na łańcuchach każę wodzić. Dla twojej zabawki każę czekać i tużać się Lachom, tak jak to im mój ojciec robił. Ho! ho! ja im przypomnę, że ja syn Bohdanka. Za Słucz! za Bug! za Wisłę i za morza pogonię. Wołoszę dla ciebie podbiję i Stambuł w darze dam. Tylko jedno słowo krasna dziewico, tylko jeden pocałunek, moje kochanie.

Putywłanka oczyma ani popatrzeć śmie, a drży jak liść osiki. Helena załękła się, patrzy na brata, a jemu pełźnie rumieniec, i z oczów blask się ścięra, ale jeszcze gada.

— Moja złota Pani, moje kochanie, ja Hetman, ja Ukrainy Pan, tobie wszystko oddam, z tobą się podzielę. O! podzielę się wszystkim a wszystkim; nie tak nam będzie trudno, nie tak ciężko. To ciężar — złota pani. — Wolniał mu głos, a bladeść coraz szarzej, coraz szerzej po twarzy się leje. Wypuścił rękę Putywłanki. — Ja — bracie Filarecie — Siostró! —

I ledwie do węgłłowia doszedł, padł na niem, oczy przynknął, a oddechem powietrze szybko chwytał. Helena, Paraska niosą mu ratunek. Wszedł Czerniec Filaret. Ręką wskazał: — to nic, dajcie mu pokój. Stał przed nim, i patrzył na niego jak posąg na posąga.

Helena ręce łamie. — Biedny brat —

I Parasce żal Jerzego. — Otworzył oczy, a Czerniec podał mu flaszę do ust; odtrącił.

— Nie, nie chcę. — Spojrzał do koła, jak suchotnik po obudzeniu się z niemocy. — Siostró! Parasko! — Na kolana padł przed węgłłowiem.

— Boże! Boże! zlituj się nademną.

Głos Czernca gromem się domieszał do cichej proźby Jerzego.

— Hetmanie, Starszyzna czeka. —

Chmielnicki schwycił się z klęczek.

— Daj, daj Filarecie. —

I usta skrzywił, i oczy zakosił, a z flaszy pociągnął; oddał flaszę, i oko jaśniało, i lice rumieniało.

— Chodźmy Filarecie, bądź przy mnie.

Weszli między Starszyznę. Starszyzna się pokłoniła. Jerzy Chmielnicki był butny taki, że zewsząd zaszumiały głosy: Ojcowska dziecięca. I sam Cięciura zaturbował się.

Chmielnicki stuknął w szablę.

— Panowie bracia, towarzysze mojego ojca, najwierniejsi

jego przyjaciele, do was przybyłem. Młody jeszcze jestem wiekiem, ale we mnie krew mojego ojca, krew co wam całkiem oddana, krew co dla was gotowa się łać po kropli, aż do ostatniej. Czas niedaleki, a zobaczycie, czy Jerzy Chmielnicki nie będzie tem czem był Chmielnicki Bohdan.

Starszyzna zawrzała: Hura! Hura! niech żyje nasz Hetman!

— Dostyc już dostyc gnuśnienia Ukrainie! Czyż my mamy jak podły lud jaki siać i orać? Kiedy dla nas cudzej narody orzą, sieją, szablami i spisami zbierajmy plony cudzej pracy. To nasze! Tak robili nasi ojcowie, i my tak róbmy. Świat szeroki Bóg dla nas dał na pohulanki i na zbiory, a myż mamy spać i sadowić się na gospodarstwo jak inni ludzie? O! nie panowie bracia. — Tu haustem pociągnął wody z faszki, którą mu podał Czerniec. — Nie! nie! Stambuł ma dla nas złoto i drogie bisiorry. Wołosza nam zbiera zboże i hoduje bydło. Tatar dla nas wypasa konie. Nam będą się wdzięczyły Laszki, i Moskwa przyszłe w podarku sorokami sobole futra. Wszędzie was powiodę. Tylko nie zapominajmy czem byliśmy i czem być winiśmy; a szablom naszym ludzi, a koniom ziemi nigdy a nigdy nie zabraknie.

We wszystkich sercach gra radość kozacza, ze wszystkich ust luka powitanie Hetmana. Stoły zastawiono sutą biesiadą. W dzbanach do przelewki pełno wina, wódki i miodu. Teorbanieci drunkali, w supelki chłopcy jak słowiki wycinali. Koło nowego Hetmana zasiadł Czerniec Filaret, i ciągle w rostruchan nalewał mu napój, a on duszkiem spijał. Oczy mu jak u wilka iskrzyły się. Ojca sztuczki przypominał, dzban porwał i cisnął o ścianę, na drobiazgi rozstłukł, a wino ryczałtem bryznęło.

— Tak djabli wezmą każdego kto wrogiem Kozactwa!

I kozache głosy trzodą krzyknęły:

— Hura! hura! niech żyje nasz Hetman!

Łyknął jednym haustem pełny wina rostruchan.

— Bogdaj tak polala się na wrogów cała Kozaczyna! —

Gromkie hura o sklepienie się odbiło.

Zgiął nóż o stół, i żelazo bryznęło.

— Tak pęknie szyja każdego, kto zły brat Kozactwa.

Aż po podwórzu rozbijały się rozgłosy: hura! hura na cześć nowego Hetmana! Na ręce porwała go starszyzna, i podrzucali w górę. Takiej biesiady już oddawna nie znało kozactwo, tak tylko niegdyś hulał Bohdanko Chmielnicki w ulubionem swoim mieście, w Perejasławiu.

Wysoczanowi, Krzyżanowskiemu lzy radości padały w kielichy, i ze lżą trunek spijali na cześć dzieciny ojca, któremu tak wiernie służyli.

Cieciura mówił do Prokopa.

— Bądźże tu mądrym i wyrachuj co będzie z człowieka.

— Póki mnich to był mnich, a teraz Hetman.

— Ba! —

— I ojciec umiał się w dudki poszyć, i pijaka udawać, jak było trzeba; a jak potrzeba to i wyzuwcię oszwabił, i chlebem i wodą żył tygodnie całe; to taka rodzina.

— Taka, niema co mówić: chodź no tu Prokopie. I odprowadził go na stronę.

Jerzy Chmielnicki ni razu nie wspominał o swoim szwagrze Danielu, i Starszyzna choć piła, z niczem się nie wygadała, tak im polecił Ciecziura, niby na spodobę nowemu Hetmanowi. Po biesiadzie i sprawa i rozprawa, tak mawiał nieboszczyk Bohdan-ko Chmielnicki.

Już kozak na Semie wieczerze pozostawiał, i jaskółki wieczór przeświegotały, w lepianki spać poszły, i w zamku Putywelskim biesiada ucichła. Jerzy Chmielnicki leżał w łożu, jak trup bład, jak trup nieruchomy, tylko gęste dychanie mówiło: jest tam jeszcze życie, ale we śnie, w niemocy. Mnich Filaret jak za powinność odmawiał pacierze, ale wszystkie odmówił. Potem przyrządzał w flaszy jakiś napój. Jeszcze raz obejrzał śpiącego Hetmana i spać się układał. Zaraz usnął. Ni troski, ni dumania żadne nie szły mu niepokoić myśli. Kiedyś, mówią, wiele świata widział, cały wschód jak długi, jak szeroki przewędrował; przyoblekając mniszą sutanę, otrząsł z siebie wszystko co dawne, i teraz nie z serca, ale z powinności swojej ku przesławnej cerkwi, przywiązał się do Jerzego Chmielnickiego i był mu piastunem.

Jerzy Chmielnicki kamieniem nie spał, niemoc zwolniła czoło, oczy na pół się otwarły, głowie ciężko się podnieść, a myśli jeszcze ciężej pomysleć. Wszystko co się wczoraj stało, plątało się po głowie, i sam sobie powtarzał: To sen, to sen; gwałtem chciał się obudzić, podnieść; oko błądzi po komnacie rozjaśnionej blaskiem świecznicy, zdybało i buławę, i buńczuk, i czaple pióro, i mnicha Filareta, i flaszę na stole. O, nie sen to, nie sen. Obudził się, dobrze wszystko przypomina, wszystko widzi, potrząsł głową, i jak dziecko zapłakał.

Bardzo rano Wysoczan jawił się u Heleny i prosił o posłuchanie. Kiedy wyszła córka nieboszczyka Hetmana, tęskna, skłopotana; ale jeszcze i postawą i twarzą taka harda, taka poważna, jak gdyby ona tu była wszemwładną Panią. Wysoczan obejrzał się na wszystkie strony, i oczy jego były takie pilne, takie ostrożne, jak gdyby podjazd prowadził w obóz nieprzyjacielski, głos ściszył.

— Krasna Pani, jam wierny sługa krwi twojej. —

Oddał kartkę Helenie. Ona zwinęła, czyta, i krasa wywinęła się na jej twarz, i łza zajrzała w oko.

— Mój mąż, mój Daniel!

— Cicho Pani.

— Czemu cicho? — Przelekła się Czarnobrewka i słów i wyrazu lica Wysoczana. Czemu cicho?

— Ten co złego chce, to ma czujne ucho?—

A mój brat?

— Nie nie pomoże.

— Jak to, on Hetman, wszystkim Pan!

— Nie Bohdan to Chmielnicki.—

Czarnobrewka zamilkła. Wysoczan przystąpił bliżej.

— Jak go podstroją, tak on gra, ale i to nie długo.

— Ale to mój brat, on nie pozwoli; ja mu wszystko powiem, zaraz.

— Krasna Pani to go zgubisz.

— Kogo?

— Męza. Ciecziura silny, jego nikt nie podstraja.—

Zamyśliła się Helena.

— Pani trzeba zrobić co on chce.

— Ale tu mój brat Panem!

— Panem, albo i nie panem. Widzisz Pani, Czehryńce w Podhorodeu, tak Marcinowi się zachciało.

— Prawda.

Dziwo że prawda. Jak pajak nasuł, żeby być panem, ale to jeszcze ani siadło, ani padło; temu można dać radę.

— Jakim sposobem?

— Podhorodziec niedaleko, a my tu wszyscy wierni.

— Wysoczanie, a jak się nie uda?

— W tem moja rzecz, udać się musi.—

— Myśl gość miły, musiała przelecieć po głowie Heleny, drobną rączką dotknęła ramienia dzikiego pułkownika.

— Jam gotowa.

— Dobrze, i my gotowi.—

— Odchodząc Wysoczan jeszcze się ozierał wzrokiem ostróżnie, baczenie, ustami szeptał: To mi córka Hetmańska, rodzona krew Bohdanka.

Stary Naum Znachor długo, długo tego dnia przechadzał się po przekopie zamkowym, i rozmawiał z pułkownikiem Wysoczaniem. Dawna to znajomość, powinowactwo Pana ze sługą, zażyłość towarzysza z towarzyszem, i teraz pomocnikiem Prokopa Osadniczego, Ciecziury powiernikiem. Wyżej patrzy jak dawniej patrzył, jednak przywyczka ciągnie go to Wysoczana, chleb i sól z sobą jedli, pod jednym dachem sypiali.

— Mój stary, zrób mi to, proszę.

— Ależ bo to?

— Bez tych djablich ale, Panie bracie.

— Ojcie, on i was kiedyś zbezcześcił.

— Prawda, psiadusza. Niech to będzie z nami na pieńku, ale ona córka Bohdanka.

— Ojcie trudna rzecz; ja choć znachor, jak złapią, to się nie wykręcę.

— I któż ciebie nauczył dawać się łapać?

— Pewnie nie ty Ojcie.

— Słuchaj Naumie, my nie tacy ludzie żeby sami w łyka leźli, a kto nas chciał w szory ubrać, to sam się ubrał. Tak to niegdyś bywało a teraz? — przytyknął ustami.

— Tak i teraz będzie ojcie. Stary Naum przypomniał sobie dawniejsze ochoty.

— To zrobisz mój stary?

— Zrobię Ojcie.—

Po ramieniu go uderzył Wysoczan. Chwat z ciebie. Inne ramię do ziemi by się przygięło pod tak silną pieszczotą. Naumowi nic, on nawykł do tego.

Został na przekopie, dumał. Stary Pan, dawny towarzysz, ale przesławna cerkiew, ale ród ten psi lacki. — I głowa do szubienicy. Wszystka praca w niwecz, zemknąć, co potem będzie. Stary Pan, a jemu jak się raz zechce to się nie odechce. — Dłonią stukał w czoło. Ha ot wiesz! i wilk będzie syty, i koza cała, i ten nie będzie się gniewał, i tamten podziękuje.

Chodził po przekopach jak gdyby nie miał nic do roboty, potem wiał się koło zamku jak nocznica, jak éma, w końcu siadł w kuszczu, lirę podstroił, i gra na lirze.

Bieży dzień bieży, a noc daleka.

Oj tam Zuzula Orlika czeka;

Oj ta Zuzula Orlika kocha,

Chce ciemnej nocy, nocy choć trocha.

Oj dla niej dzionek smutnie przyswieca,

Noc polubiła jako nocznica;

Jako pułaczka, jak sowa dzika,

W noc poholubi swego Orlika.

Oj nie płacz, nie smuć Zuzulo moja!

Przyjdzie noc przyjdzie, pociecha twoja;

Będiesz z Orlikiem moja ty lubko,

Będiesz z Orlikiem krasua hołubko.

X.

Z A P Ó Ź N O .

Podle zamkowej bramy była obszerna izba zwana strażnią. Tam bezustannie ogień gorzał w piecu, i w dwóch kotłach warzyła się strawa: w jednym szarpanina z ryby, w drugim kasza jagłana okraszana słoniną. Na środku niby żydowski świecznik, wisiało gliniane naczynie, dokoła dziurki, a wewnątrz żarzyło się tak, jak w piecu, kiedy się słoma przepala. Po pod ścianami izby kule słomy porozścielane na posłanie, stół przy piecu, na nim dwa koryta; po pod kaminem paliło się sute ogniszcze z sosnowego luczywa, a światło jak niestałego morza fale, to jaśniej, to ciemniej lało się po izbie.

Nie pustką stała ta izba. Na słomie spało kozactwo: ten wąsem mrugał, jakby wabił Tatara: pójdźno tu; tamtem zburmusił się, ot, ot, po moskiewsku Moskala połaje; jeden oczyma łypie, chce je na gwałt otworzyć, bo mu się śni, że bisurman już podniósł atagan, żeby mu je przetrzeć; drugi gwizdże na braci, jak gdyby upatrzył Perekopczyka w burzanie, na heco pogwizduje: o tu, tu, tu; tamten chrapie jak najęty, po boju, po biesiadzie w baszowskim haremie się wysypia; a ten wraca z za Dunaju, i wiezie mnogie bogactwa, bo się uśmiecha i na palcach liczy kitajki, atamaszki; niby znaczy: to dla cerkwi, to dla kochanki. Jak kury o prosie, tak Kozacy śnią o wojnie, każdy inaczej, każdemu inaczej twarz gra, na wtór sennej dumie, a każdy tuli się do szabli kochanki. Ślub Kozaka z szablą wieczny, do grobu czy we śnie życia, czy w jawie życia; rozvodu między niemi nie masz, zawsze oni z sobą; cóżby jedno bez drugiego robiło.

Nie sam to śpiący świat w tej izbie. Kucharz chochlą strawę z kotłów w koryta nalewa, a panowie młodce rejestrowi pokłonią się Panu kucharzowi, bo to Starszyczna, rozumny człowiek, karmiciel kozaczy; dobędą drewnianych łyżek z za pasa i

jedzą. Chwałą jadło nie słowem, ale lękaniem; ciągną siwuchę na zdrowie panu kucharzowi; póki jedzą, póki piją, to milczą. Potem dobyli cybuchów, każdy przedmuchiwał tak silnie, że gdyby i djabeł tam wlażył, to musiałby precz wylecieć z podmuchem kozaczym. Obstąpili gliniane naczynie, każdy wetknął swój cybuch w dziurkę, pan kucharz szczypcami poprawił żarzący się tytuń i kurzyli.

Dymno w izbie, słowa rozmowy, rwane buchaniem, przez klęby dymu głucho, przytłumiono brzmiały.

— Czart wie kogo tu słuchać?

— Nic ma Pana.

— Ale są Panowie.

— Pan Cieciura mówi: mnie słuchać, ja tu starszy.

— A stary Wysoczan powiada: ja pierwszy po Hetmanie.

— Ba! i Prokop drze łeb do góry.

— Na licha przyszło. Naum lirniki, znachor prawda, ale nie pulkownik żaden, jak szara gęś się rządzi.

— A młody Hetman co na to?

— Mówią, że dobrze jak szkolarz papła; zobaczymy jak przyjdzie do szabli.

— Szkoda nam naszego Iwana.

— Dziwno że szkoda! Trzystaby jego matkę porwało, że mu przyszła myśl do głowy nas rzucić.

— To prawda, że zsunął się z hłuzdu.

— Co ty gadasz djabli synu? Nie z hłuzdu on się zsunął, to ten Naum wszystkiego narobił.

— Coż on mógł narobić?

— Jeszcze się pyta? To z ciebie cymbał! Znachor kum bezpiecznego.

— Drzwi się otworzyły, i weszło kilku innych kozaków.

— A toż co? tak prędko was puścili.

— Naum powiedział: Starodubowce hajda na spoczynek. Lubniańce na straż. I przyprowadził Lubniańców; gdzieś w kieszeni ich trzymał, bo na jego głos ze dwudziestu się sygnęło z ziemi.

— Alboż to Lubniańce?

— A ktożby to był inny? poznałem Harasyma i Chomę Owsijowych.

— Ba, ba! to to z ciebie fryc.

— Sto djabłów byś zjadł; w drogę mi wleżysz, kiedy nie zaczepiam.

— Ja ciebie nie zaczepiam, ale mówię, że to nie Lubniańce.

— A cożby to było u djabła?

— Bezpieci.

Wszyscy Kozacy rzucili kurzenie tytoniu, jedni w ustach mieli cybuchy, drudzy zostawili one w dziurkach, a każdy żegnał się krzyżem świętym. Tu wbiegł ostatni Starodubowiec ze

straży, bez czapki, włosy szczeciną zjeżone, a blachman strachu w oczach; wnet go obścąpili w koło.

— Ha w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. — Żegnał siebie i kółko całe.

— Co tobie bracie Kryniczny?

— Mnie? mnie nic; ale tu djabeł się wmieszał.

— Cóż takiego?

— Tylko cyt, słuchajcie. — Obrzucił wzrokiem po izbie. — A wara komu mówić, będzie nam licho. Naum tu gospodaruje, bezpieczni zamku strzegą, a my jak durnie jacy dali się w samotrzask złapać. Samem na swoje oczy widział, jak most spuścili, i dwóch ludzi, taki czarnych jak smoła, taki prawdziwych djabłów, wyszło po moście, siedli na konie djable, i czmychnęli. O! ja słyszał jak chychotali, a na niebie grzmiało, i z nieba deszcz padał.

— Co tobie jest człowiecze Boży, deszczu ani słyszać?

— Słuchajcie. —

— Deszcz bił w szyby okien, na dworze szumi i homoni, błysnęło, zagrzmiało. Z błyskiem, z grzmotem wpadł Naum do chaty. Kozactwo coby się nie zastrachalo moskiewskiego pułku, hordy tatarskiej, cofnęło się w tył, za stół. Naum huknął:

— Wraże syny, coż to wy jak baby od deszczu się chowacie?

— Kozacy żegnali się krzyżem świętym.

— Ha, psiawiary, czy to tak schodzą ze straży, bez opowiedzi? Nu hajda na straż! a jutro pogadamy. —

Jeden z Kozaków chwyt nastawił się.

— Alboż to nie wy kazali nam iść precz?

— Licho przystąpiło do was?

— Samiście, panie starszy, mówili: Starodubowce do chaty, Lubniańce was zastąpią.

— Popiliście się hunewoty! Nuże żywiej zabierajcie się ztąd.

Jak nie z pyszna, jeden po drugim wysuwali się z chaty, szli do bramy, na przekopy, a nigdzie nie tylko Lubniańca, ale żadnego Bożego stworzenia nikt nie widział; deszcz padał, a niebo było sierdziste. Każdy chciał od siebie zmarę precz odgonić, i o djable myślał, myślał i o sromie niedopefnionej powinności.

— Licho się jakieś stało. O będzie i nam licho! —

Naum śpny, zły, kucharza sfukał, siwuchę rozlał na ziemię, zaklął w djabła, i jak djabeł wyszedł z izby.

Wiatr się zerwał od zachodu, pozmiatał chmury z nieba, dzień biały przyszedł, złote słońce weszło, błękitnieją zamiecione obłoki, rosa po zieli po drzewach w drogic kamienie się łamie; ptaki strojne w różnofarbne barwy, czepiają się po gałęziach, rojami lecą w powietrze; ludzie z chat wysypali się jak pszczoły

z ulów, jak mrówki snują się po ziemi. W Putywelskim zamku życie się odbiło. Putywłanka biega po sadzie, szuka Czarnobrewki, a Czarnobrewki nie ma; jak ptaszka kuka, a rozgłos hukania przedrzeźnia. Szuka po komnatach, wszystko na swoim miejscu, tylko Heleny nie masz; nie masz i ubioru łowieckiego czarnobrewki. Do stajni bieży, wrony koń czarnobrewki przegryza siano, przeżuwa owies: obejrzał się na Putywłankę i zarżał. Pani nie ma. Zaskowitały białe charty czarnobrewki, koło Putywłanki się łaszą, do Pani się proszą, a Pani nie ma. U ludzi się pyta: a ludzie nic nie wiedzą, z jakim wiatrem się powiała, z jakim obłokiem poleciała, dokąd i gdzie tego nikt nie wie, a Putywłanka tęskni jak po Pani, płacze jak po siostrze.

Stary Naum stanął przed Cieciorą, oczy w dół spuścił i mówi. Cieciora chmurzy się a chmurzy, ręce w kułak ciśnie i grozi kułakiem, głosem grzmi, gromkie rozkazy daje, ale szabla mu drzemie w pochwie, a Naumowi głowa rusza się na karku. Starodubowce sromni, po psiemu posłuszni, idą za sotnikami, a oczy im się nurzą przed stopy. Ku niebu poderwać głów nie mogą, idą na kaźń, a Cieciora wszedł w zamek, i Naum za nim.

Wysoczan na rynku miasta zebrał Lubniańców, przegląd robi, dzikiemu czołu dodał trochę jaśni, tak jak to zawsze czynił, kiedy swoich chciał udobruchać, do siebie przyhołubić. Lubniańcom w serca otucha zajrzała, i przez oczy wojennem weselem patrzy. Dobra wola pułkownicy, to zwiastunka wyprawy jakiejś: na Tatar, czy na Moskale, mniejsza o to, byle była wyprawa, pokarmi, napój, kochanie kozaczy dumy.

W zamku, w hetmańskiej komnacie, Jerzy Chmielnicki jeszcze z łoża nie wstał. Błady, tęskny, i modlić się w głos nie śmiał, i głośno mówić nie chciał. Mnich Filaret siedział koło łoża; jak piastunka dziecięciu, tak mu on jakieś rzeczy w ucho prawił.

— Filarecie, to mój szwagier?

— Jerzy Chmielnicki Hetmanem Daniela Wyhowskiego?

— O węźcie sobie to Hetmaństwo! — Dłonią zakrył oczy i nie odpowiadał.

Wszedł Marcin Cieciora, nie ukradkiem, jak to u niego czasami się zdarzało, ale głośno, prędko.

— Ojczy Hetmanie!

Jerzy milczał.

— Ojczy Hetmanie!

Mnich Filaret odchylił mu rękę od oczów, lzy tam były.

— Ojczy Hetmanie, twoja siostra Helena w Podhorodcu buntuje Czechryńców.

— Niech tu przyjdzie.

— I zabierze Hetmaństwo, które krwią kupiliśmy dla krwi Chmielnickiego Bohdanka.

— I ona z tejże samej krwi.

— Nie dla tego Wyhowski musiał oddać Hetmaństwo, żeby po nim Wyhowski hetmanił. —

Przez zęby szepnął Chmielnicki.

— On nie musiał. —

Cieciura mrugnął na Czerńca. Znak to umówiony, wnet podał flaszę Hetmanowi; wzdrygnął się Jerzy, od ust odtrącił.

— Nie chcę, nie chcę.

— Synu Bohdanka, grasz ze śmiercią. —

Na bladeści twarzy wygiął się dziwny wyraz przestrachu.

— Jak to?

— Jeżeli nam Hetmanie nie oddasz głów tych, co po twoją sięgają, to oni po nią sięgną. —

Chmielnicki milczał, ale z poraz drugi podanej flaszki nadpił haust jeden, drugi.

— Zaraz, zaraz Marcinie. Zebrać Starszoznę. —

I godziny nie upłynęło, Jerzy Chmielnicki chodził po sadzie, przed siebie puszczał piane słowa gniewu, przechwałki, a za sobą z pałaszem ciągnął niemoc Hetmaństwa.

— Ha, stało się, co mi krew dała, tego sobie wydrzeć nie dam. Siostra, szwagier, wszystko w pień. Ja Hetman! ja Ukrainy Pan! To po Ojcu, to moje; dam ja wam wiano. Jak trzeba, potrafię. Sięgnął dłonią to szabli, i niewprawne palce rękojęści nie objęły. Ha, potrafię! — Gwałtem palce zgiał, zaczepił za rękojęść, żelazco z pochwy dźwiga ręka. — Ot tak zmiotę. — Odlewem chciał szablą puścić po wietrze. Wyrwała się rękojęść z ręki, żelazco brzęknęło o drzewo, i leży na ziemi. Brzękiem ocknął się Hetman, stanął, załakł się i złamał dłonie w żal, jak dziecko, któremu stłukło się cacko, i z sobą razem stłukło całą rojenia marę. Piastun Czerniec zbliżył się do dziecięcia Hetmana, flaszkę miał w ręku, i Jerzy do niej rękę wyciągnął.

— Daj, daj, Filarecie. —

Starszozna kozacza po odejściu Hetmana jeszcze się z narady nie rozeszła, słowa hetmańskie widno były niespodziewane, twarze kozacze w tęskne zadumanie się przybrały, a usta długim milczeniem się zwarły; tylko Wysoczan długi wąs matal na palec; tylko Cieciurze zły uśmiech rwał się na usta, a on go na darmo osadzał. Zabrał mowę.

— Panowie bracia! Hetman, nasz Ojciec, smutną powinność dopełnia, ale powinność. Jerzy Chmielnicki będzie płakał śmierci Daniela Wyhowskiego, swego szwagra, i powinowatego Tetery, ale Hetman Ukrainy nam winien skazać ich na śmierć. Mnie poleconem spełnienie jego woli; smutnym dla mnie ten wybór hetmański, ale co on każe, to spełnię, choćby nawet szło

o zanieśnienie mojej głowy pod miecz. Paweł Tetera i Daniel Wyhowski pomrą na palu, jako zdrajcy Hetmanowi, zdrajcy Ojczyźnie. Panowie bracia! imieniem hetmańskim wam czujność nad pułkami polecam; każć musi być jawną przed całym Kozactwem; niech widzi, jak nowy Hetman karze zbrodnię; niech wszyscy patrzą w milczeniu z dobrą wolą, a broń Boże słówka, czynu przeciw Hetmanowi, nasza w tem rzecz. Panowie Starszyna! imię Wyhowskiego nie zagasło w pamięci Kozactwa, ale imię Chmielnickiego dla nas wszystkim być powinno. Wszak tak, Panowie bracia? — Obracał się wzrokiem ku każdemu; milczeli i dumali. Jakoś czy uśmiech, czy chęć słowa zjawiała się na twarzy Wysoczana. Ku niemu rzucił słowa Cieciora: — Wszak to ty, bracie Wysoczanie, ty z nas tu najstarszy wiekiem i zasługą.

— Tak Panie bracie! nam Daniel Wyhowski i Paweł Tetera ni bratem, ni swatem, ale wszystkim kozakiem. Kiedy tak Ojciec chce i każe, niech giną, każć na nich. Bronilem ich wczora, póki Hetman słowa nie wyrzekł; zapomniałem nawet własnej obelgi, dziś to co innego. — Z oczów starego przyjaciela Bohdanka szyderycy uśmiech strzelił ku Marcinowi Cieciorze.

Z rady szła Starszyna kozacza, tęskna w milczeniu. Przy rozchodnem zbliżył się Cieciora do Wysoczana, przyciszonym głosem mu szepnął:

— My bojniejsi od Daniela Wyhowskiego; pamiętasz bracie Wysoczanie w monasterze: on tobie śmiecia w uszy napchał, my mu srebra, czystego srebra nalejemy w uszy. Niech zna nas.

Uśmiech z przygrzysem wargi wyskoczył z ust Wysoczanowi.

— Należ mu, nalej, a będziesz mądrym.

— O nalej! —

Krzyżanowski szedł z Wysoczaniem z zamku.

— Niech mu naleje, zobaczymy.

— Ale z biednym Pawłem co się stanie?

— I jemu włos z głowy nie spadnie.

— A toż jakim lichem zrobisz?

Spojrzał na słońce. — Jeszcze nie wysoko, ale nim dojdzie tam. — Wskazał palcem. — Będzie nowina z Podhorodea; zobaczymy czy Czerniec jakiś z tym tumanem będą Hetmanem i Kozaczyzną rządzili.

Cieciora nie trwonil czasu, jednego po drugim pułkownika brał na poszepty, i tak im dobrze, zręcznie nabechtal, że każdy poszedł spełniać jego rozkazy szparko, gromko.

Po nad Putywlańskiem rynkiem kawki przelatują, z dzwonnicy na zamek, a z zamku na dzwonicę, w powietrze smutnicie kawczą, w rynek ciekawie patrzą. Tam cieśle drzewo ciesają,

nie na budynek dla ludzi życia, ale na kaźń śmierci dla ludzi. Pale ociesują, a nie ochocza siekierami zbierają. Do koła zaciągają pulki na służbę, Starodubowski, Niżyński, a Lubniańców Wysoczana, Czernihowców Krzyżanowskiego tam nie widno. Tłumno wszędzie, ale nigdzie niegwarno; drzemią usta Kozacze. Świeci jeszcze słońce, ale chmury od zachodu ciągną, ciągną wolno, a tak nisko, że niby, niby nad ziemią wiszą, i lada chwila spadną. Wiatr zaleniwiał, chmur nie popycha, i ludzkim pierśiom otuchy nie dodaje. Duszno, smutno. Niepokój wila się po niebie, a pokoju nie było na ziemi.

Na stepie niedaleko Podhorodeca działo się inaczej. Dwóch jeźdźców sadziło kołmi na wyparcie ducha. Czasem popatrzyli sobie w oczy, ale i słowa do siebie nie mówili. U jednego czaple pióro rzuca się przy czapce, a ponad obudwoma sire orły lecą i kraczą. Pogadują rady w ucho, zwyczajnie bracia orły braciom kozakom.

W Podhorodecu na błoniach pasą się Czechryńców konie, a Czechryńce sotniami bez roboty stoją u kołowrota, i dziwią się na świat.

Orły wyprzedziły jeźdźców, i Czechryńcom w uszy zakrakały na wrzask, aż strach. Przyskakiwali jeźdźce; jeszcze konie pędem biegły, a już oni krzyczeli: na koń! na koń! Szarpnięto cugle, konie nie stanęły, ale padły bez ducha. Czechryńce podbiegli.

Prawy jeździec błyskawicą się zerwał, końskiego trupa nogą kopnął, piorunem zawołał.

— Na koń! na koń Czechryńce! —

Lewy jeździec podbiegł, gromko huknął.

— Żywo, żwawo! na koń! Waszemu Pułkownikowi lećmy w obronie.

Czechryńce śmignęli do koni, ani jeden nie został. A czarnobrewka spojrzała na Pawła Teterę.

— Zdrada!

— Nie moja! nie moja!

— On nie żyje!

— Bieźmy, jeszcze czas.

— Bieźmy! bieźmy!

— Wysoczan tam.

— On mu wróg!

— Tobie Pani druh.

— Bieźmy! bieźmy!

— Bóg z nami!

— Bieźmy! bieźmy! —

Już Czechryńce zbiegają się na koniach, i przywiedli dwa konie osiodlane swojego Pułkownika. Helena poznała wilcza-

tego ulubieńca Daniela, wskoczyła na siodło; za lżą ledwie się przedrzeć mogły wyrazy:

— Za mną! za mną! —

Z miejsca w cztery podkowy koń uderzył i dmuchnął. Tetera pomknął za nią. Czechryńce wszyscy w czwał, w czwał kopnęli. Ziemia tak jęknęła, jakby się zawałiła w tem miejscu. Orły na końskie trupy padły, i Czechryńcom na odjezdne krakały. Już im nie zdążyć w pościgi za tym szalonym tabunem.

Jak rozjuszona wilczyca w susach wiedzie hurmę wilków na ludzi, tak czarnobrewka prowadzi Czechryńców. Gdzie? to wie; ale po co? to jeszcze sama nie. W prawo, w lewo, świata nie widzi, a myśli u niej szparejiej czwałują od końskiego czwału.

Z dalekich stepów sumaki się porwały, i skakały na złamanie szyi gdzie je oczy niosły. Zając z kotliny wyskoczył, i położywszy się po sobie, kocił w step, nie obzierał się co go goni, tak mu straszno. Lis sznurkiem się wykradał, nigdzie nie zaskoczył. Płowe wilki z burzanów się podniosły, telepały się w jarugi, jak płaczki wyły na postrach, na wabie drugim wilkom. Różnego ptastwa stada zrywały się w stepie, i w step leciały. Tak ziemia dudniła i trzęsła się, tak powietrze homonił jednym, nieprzerwanym grzmiotem.

Tylko orły, kruki i wrony niby chmura niebieska, szybowały nad ziemią nad chmurą jeźdców, i razem się niosły ku Putywłowi.

Widno, widno Putyweł tam, a z Putywła nikt na przeciw nie bieży. Paweł Tetera wola:

— Stańmy, uszykujmy sotnie. —

Czarnobrewka machnęła ręką, i nogami konia ścisnęła. Dalej, dalej pędzą, coraz gęściej szlak znaczą ustalemi końmi, rozpaczającymi jeźdcami, ale na hurmie i znaku tego nie masz.

W Putywlu dzwony jęczą, a przed Putywłem kupy jeźdców słaniają się w tę i ową stronę. Ku Czechryńcom nie biegną; widno jak pojedynczo jeźdce do miasta znać dają.

Jeszcze raz Paweł Tetera zawołał:

— Krasna Pani, szykujmy się. —

Helena tak dziko, tak boleśnie spojrziała mu w oczy, że już więcej i słowa nie mówił, a pędzili dalej. W dzwony dzwonią w Putywlu, a brama otwarta, i Kozactwo ze straży rozstępuje się, droga szeroka. Czechryńce wałają się w bramę. Wilczaty przodem skacze, ku rynkowi dobiega, a dzwony jęczą. Tam tłum wojennego ludu.

Jak przed murem stanął wilczaty, i słychać było głos Heleny.

— O Boże! —

I widać było jak się zachwiała i zwała z siodła: Tetera, przedni Czechryńce z koni skaczą, na ratunek biegną. A tam na polu trup Daniela Wyhowskiego. Już nie żyje, a jeszcze i twarzą i oczyma grozi, a spiekła krew sznurem po palu ścieka.

Drudzy Czehryńce tłum rozbijają, w sam rynek biegną, pal wyrwali, i pułkownika swego zerwali z pała, a Zadnieprzańce stali niemi, nieruchomi.

Tu z tłumy jęknął głos:

— Puszczajcie mnie, puszczajcie. —

I jak pływacz fale morskie, tak Helena tłum rozpierała. Idzie, i żyje w oczach nie niesie i nie narzeka, i nie rozpacza, i nie grozi. Przyszła do trupa męża, patrzy, i nie jęknęła, i nie zapłakała. Zdjęła czapkę pióro od czapki, i umoczyła we krwi męża, i znowu w czapkę zasunęła. Woła:

— Konia! konia! —

Przywiedziono wilczatego, sama trupa męża na konia kładnie.

Pogląda na zamek, tak jak sokół na ludzi, kiedy mu z gniazda sokołęta powydzierają. Tam z wałów rozdziawione paszcze harmat patrzą, z ogniem ludzie koło nich stoją; przed bramą i przed mostem uszykowane pułki do boju. Marcin Cieciora szeregi przebiega. Pogląda, skinęła głową, jak gdyby ją chciała zrzucić z szyi, obróciła się ku swoim, rękę przyłożyła do męża trupa, postąpiła trochę, wstrząsnęła głową, i czapkę pióro się wstrzęsło, czarne krople krwi jak paciorki żałoby spadły do kolan. Odjęła rękę, wskazała drogę, nazad.

— Za mną! I tłum się rozstępował, i Czehryńce szli za nią. Wierny Kozak prowadził wilczatego konia. Na nim trup Daniela Wyhowskiego; czterech sotników go utrzymuje. I żona przy nim idzie, ręką za rękę trupa męża trzyma, a nie jęczy głosem, a nie łzawi okiem. Nie woła: zemsta! zemsta! tylko skrawionem piórem potrząsa.

Pieszko szli Czehryńce, z Putywła konie na cuglach wiedli. Konie wędzidlami dzwoniły podzwonne grobowe. Czehryńce miasto pieśni pogrzebowej ciężkie wzdychanie ślali. Miasto chorągwi pogrzebowej, Helena skrawionem piórem potrząsa.

I tak wyszli z Putywła, i tak szli szlakiem w step. Orły, kruki i wrony nie leciały za niemi, ale zakrakały na pożalowanie im. I niebo nad Heleną, nad Czehryńcami zapłakało, a nad Putywłem zagrzmiało grzmotem.

Zadnieprzańce stoją i milczą; żal i srom w kamień ich przerzucił. Pułkownikom niedobrze i w sercach i w oczach. Tylko Marcin Cieciora nie zmarniał, ani pod żalem, ani pod sromem. Dziko i dowolnie poglądał, gromko rozkazywał.

Na dziedzińcu zdybał się z Wysoczanem i Krzyżanowskim. Starcowie, przyjaciele nieboszczyka Bohdanka, sarknęli na Cieciorę, czemu ich zdradą w komnacie zamknął, i jak więźniów tak trzymał. On ruszył ramionami.

— Taka była hetmańska wola. — Po chwili dodał: Da-

niel Wyhowski z żoną pojechał. Paweł Tetera z niemi do Czechryna!

Oni pozierali mu w twarz, a jego twarz nic a nic się nie zmieniła, potakiwał głową.

— Pójdźcie! zobaczą. —

Potem wszedł wprost do Hetmańskiej komnaty. Jerzy Chmielnicki słowem już nie lajął, ale ręce miał złożone na pierśsiach i dumał, a Czerniec Filaret jak cień chodził za nim. Hetman swego cienia się lękał, krew mu zastygła na widok Ciecziury.

— Ojczy Hetmanie, twoja wola spełniona.

— Jak? co?

— Daniel Wyhowski nie żyje.

— Mój szwagier! Kto go zamordował? — Porwał się, i nagle się wstrzymał, o ścianę się oparł. Ciecziura stał spokojnie.

— Twój rozkaz, Ojczy Hetmanie. —

Osunął się na kolana.

— Weźcie to Hetmaństwo. Odpuść mnie Boże! O Boże! zlituj się nademną! —

Wił się po ziemi, jak człowiek dżumą rażony, Ciecziura i Filaret patrzali na niego, potrzęsali głowami.

A w Putywlu przy błyskach i grzmotach widać sponurzałe twarze Kozactwa: słyhać chrapawe głosy: — Ha! od czego zaczyna młody Hetman. — Co to będzie dalej? —

XI.

ZEMSTA HELENY.

— Mosanie Vulpiuszu daremna rzecz, to być nie może.

— Panie Wojewodo, takie jest życzenie Króla Jegomości; taka nadzieja kolegów Waszmość Pana, Wojewodów, Kasztelanów, całego grona Senatu. Mąż, który Polsce wrócił Ukrainę, i zgromił jej najpotężniejszego wroga, czyż powinien zatykać ucho na prawdy wiary?

Ręce splótł pod piersią, i oczy ku niej nurzył; zwolna palcami przebierał, jak gdyby magnetyzmem serce potrącał, a z jego twarzy wychylał się uśmiech, uśmiech niezgadniony; odbicie-li to chrześcijańskiego kochania, tajemnic-li to nie dobrej woli? —

Jasne czoło Wojewody sposepniało trochę.

— Ja mam wiarę, wiarę moich ojców.

— Ale ona błędna?

— Jam nie teolog, do dysputy nie staję; ale od niej nie odstąpię. O tem już nie mówmy.

Milczenie padło między obudwóch i chwilę gościło między niemi. Chudeusz pierwszy głos podniósł na wygnanie tego przyjaciela pokoju i zgody, tego przyjaciela co rozejm niesie każdej zwadzie. Głos jego był przyciszony, nieśmiały, jak gdyby się skradał i nie chciał od razu spłoszyć milczenia.

— I jakże Panie Wojewodo, zechceszże nam odmawiać kawałka ziemi nic niekosztującej gościnności ojcem Jezuitom?

— Ja otwarcie mówię; pókim ja Wojewodą Kijowskim, póty żaden a żaden z ojców Jezuitów nie zamieszka na kijowskiej ziemi. Przeciw nim nie wojuję, ale ich przyjąć nie chcę.

— A jeżeli będzie taka wyraźna wola Króla i Senatu?

— To rzucę krzesło senatorskie, i Kijowskie Województwo, a —

— Panie Wojewodo!

— Pójdę na Zaporozże.

Cicho tak że ledwie dosłyszeć można było, wypuścił z ust.

— Po co?

Wojewoda zwyczajnie dawny Hetman Ukrainy, czaple miał ucho, w lot schwycił to słowo.

— Po co? po co? Służyć Polsce, matce nas wszystkich. Służyć Królowi naszemu ojcu. Służyć wierze Chrystusa.

— Panie Wojewodo, Senatorowi Polski, jednemu z najznajmniejszych jej mężów wracać do Czerni? —

Schmurzył czoło Wojewoda.

— Do Czerni? Nimem został Wojewodą i Senatorem, wprzódy byłem kozakiem, nim być nie przestałem i nigdy nie przestanę. A ta czerni jak wy ją zowiecie, to zakon, zakon chrześcijański, chrześcijańskie rycerstwo; oni pierściami zasłaniają Chrystusa słowo; oni krew leją za słowo Chrystusa, a u was to czerni, dzicz, gorsza Bisurmana, gorsza poganina.

W szablę stuknął Wojewoda, tak go zapal porwał. On wielki mistrz koszowego zakonu, a tu w obec jemu czerni mianem znieważają zakonników Zaporozża. Uczeń mędrak pokorzył się, ku ziemi chylił się całą postawą.

— Panie Wojewodo, myśmy wszyscy bracia w Chrystusie; uderzmy się w pierśsi, zawołajmy: nasze winy! i idźmy na łono jedyne kościoła. Kościół nas wszystkich przyjmie; to dobra i jedyna nasza matka. —

Pokora ostudziła trochę zapal Wojewody.

— I my i wy stoimy przy kościele Chrystusa.

Kiedy tak Panie Wojewodo, dla czegoż dzieciom duchowym Chrystusa wzbranasz mieszkać między wami?

— Po co mamy się dłużej spierać; my nie apostołowie Blohoczestywej wiary, sami ją wyznajemy, bo ją wyznawali nasi ojcowie. Nie niesiemy jej w dalsze kraje Polski, nikogo do niej nie zmuszamy. Między nami dajemy gościnność, opiekę wszystkim zakonom łacińskim. Policzcie ile ich jest, i zapytajcie, czy który na nas narzeka. Unja krzewi się między nami. Zakon Świętego Bazylego wzrasta we wziętość, w potęgę; czyż nie dość na tem Rzymowi? —

— I dla tego to bolesniej, że ojcowie Jezuci jedni tylko są wyłączeni.

— Sami się od tego wyłączyli; chcąc prowadzić czy oni, czy w ich imieniu inni, do kościoła Rzymskiego, chcieli pozbawić nas wolności. I dla tego między kozactwem a niemi sterczą koście nasze ojców i praojców, rozlała się szeroko ich krew; teraz my rąk sobie podać nie możemy, zostańmy tak, może kiedyś będzie inaczej.

— Panie Wojewodo, nie zacierajmy w przeszłość, a na przyszłość baczmy.

— Mizerny to lud, mizerni to ludzie, co w przeszłość swoją

lękają się albo nie chcą zajrzeć. O nikt nie na przyszłość nie zbuduje, jeżeli nie będzie stawiał rusztowania na powale przeszłości.

— Kiedy przeszłość taka droga Panu Wojewodzie, zostawmy ją, a przypomnijmy sobie, co każdy dzień mówimy w pacierzu powszednim: I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.—

Wojewoda zamilkł, zadumał się. Mędrzek rozgarbił postawę.

— Panie Wojewodo, tak się codzień modlemy, tak i róbmy.—

Jeszcze trochę pomilczał Wojewoda, podniósł czoło.

— Nie, nie, to być nie może.—

Już mędrzek otwierał usta, kiedy wszedł Lasko Rotmistrz Chorągwi Wojewody Kijowskiego. Pokłonił się i oddał mu do rąk zapieczętowane papiery.

— Od Pana Hetmana Ukrainy, z Putywła pilno goniec przybieżał.

Wojewoda rozerwał pieczęć, czyta po papierze, a mędrzek w jego twarzy czyta. Poczerwieniał, na czole zmarszczki do zmarszczek się garną, brwi chyłą się ku rzęsom, usta zadrgały, i nagle pobladł. W rękę zaszeleścił papier, o mało nie wypadł, lza padła, ale końca doczytał, i mędrzek do ostatniej litery wyczytywał, co się działo na jego twarzy.

— Panie Wojewodo przepraszam, i jakąż odwiozę powieść?—

— Ciężko Wojewodzie na mowę, dłonią pociągnął po twarzy, ale smutku nie zegnał.

— Powiedziałem, ja na to nigdy nie zezwolę. Niech Król Jegomość wyraźnie każe i mianuje Wojewodę na mojem miejscu.

— Niech to nie będzie ostatnie twoje słowo Panie Wojewodo; czas jest do namysłu. Przy pożegnaniu modlić się będę do Boga, oby on w swojej łasce zesłał ducha na ciebie i nie opuszczał cię ze swojej opieki.

— Dziękuję i żegnam, to moje ostatnie słowo.—

Mędrzek jeszcze raz z pod oka spojrzął po Hetmanie; a taką pokorę przybrał, że małym i cichym zrobił się przy wychodnem.

Wojewoda rzucił pismo na stół, przeszedł parę kroków, i ręką chwycił się za czoło. Stał, nie dano mu tak być długo, wszedł stary przyjaciel.

— Neczaju, nie mam brata, nie masz szwagra; czytaj.—

Neczaj czytał.

— To nieprawda! to być nie może! Wraże syny! Iwanie ty nasz ojciec, tamto blażen, różgi psia wiarze, a tym huncwotom szubienica!—

Starzec trząsł się ze złości, wciąż ręką w szablę stukał;

szabli pytał, czy odpowie chęci, a szabla brzęczała silnie, głośno.

— Ojcie nasz, jak u Boga proszę chleba powszedniego, tak u ciebie proszę: chodźmy na tych huncwotów, na tych psiawiarów, na tych psich synów. Bogdaj didko zaprowadził ich na przepadle imię. Słowo Panie Hetmanie, bo ty nasz Hetman, a stanę przed mój pulk; zobaczysz, że tych djabłów jak baranki poprowadzę. —

Stuknął nogą, o ledwie dylów podłogi nie wybił, a tak się podniósł jak gdyby chciał sufit głową strychować:

Wojewoda potrząsł głową, lzy miał w oczach, a dłonią przycisnął serce.

— Neczaju, on Hetman Ukrainy, on miał prawo i powinność.

— To wszystko łgarstwo, psiawiarów robota.

— Smutno pomyśleć, ale ona! —

Neczajowi jeszcze gniew podrumkał na wargach, ale głosem niżej spuścił.

— To prawda że ona! Ale Daniel?

— Kochał żonę.

— Cóż z tego! i ja moją kocham, a jednak w spodnicy nie chodzę.

— Neczaju u nas serca już statkują, a u niego hulalo jeszcze.

— Prawda i to Iwanie.

— Prawda i wielka prawda. —

Zasumowali obadwa, i wstyd powiedzieć, z kozacych oczu lzy padaly na szabie.

— Trzysta djabłów! szkoda Daniela.

— Ja go jak własnego syna wychowałem.

— Oj to był młodziec jakich mało teraz na Ukrainie.

— Czysta dusza, szczerze serce.

— On tatarskiego tropu w posuchę, w twardym stepie nie prześlepił.

— Jak ojca mnie kochał i szanował.

— Jak jastrząb, dziko, szparko, wodził swój pulk do boju.

— To była moja pociecha.

— Szablą świstał, wraże lby zmiatał, aż lubo było patrzeć.

— To była moja nadzieja.

— Na koniu siedział, jakby do niego przyrośnięty, jakby razem z koniem się urodził.

— W nim była nadzieja Ukrainy. —

Głos się tłumil, dźwiękowi coś zawadzało; mówili jak gdyby czytali modlitwę pogrzebową nad śmiertelnymi zwłokami syna, i zamilkli. I znowu Neczaj pochwycił ale donośniej.

— Ha! to prawda, gdzie djabeł nie może, to tam poszle kobietę!

— Neczaju i ona nieszczęśliwa.

— Sama piwa nawarzyła, a my z nią pić musimy. —

Wojewoda nie nie odpowiadał, a Neczaj się sierdził.

— Pamiętam taka kiedyś była potulna. To prawda że cicha woda brzegi rwie. Ktoby to był powiedział? — ale i to prawda: wszystkie dziewczęta dobre, a skąd się biorą zle niewiasty. No, biedny szwagier! Szkoda Daniela!

— Szkoda, szkoda. — Jak rozgłos wysiłkiem łamiący bezdnią milczenia, smutnie Wojewoda powtórzył.

— No i cóż pocniemy teraz Iwanie, trzysta djablów, tak zostawić nie można. —

Zaniemiał kamieniem Wojewoda.

— To twój brat, drogi syn, mój szwagier i druh, a my? — Zawisł w mowie, i patrzył w oczy Wojewodzie, jak siwy sokół patrzy w oczy orłowi, kiedy tam pod skałą wilk rwie trupa ptaka z ich rodu.

— A my dzieci Ukrainy?

— U licha, i on był dziecięciem Ukrainy? Mospanie, krew za krew, gardło za gardło.

— Neczaju, to na krew ojczyzny, to na gardło ojczyzny byśmy godzili. —

— Zadumał się chwilę stary Neczaj.

— To tak wszystko pójdzie mu bezkarnie?

— Komu?

— A komuż jak nie Juryszce?

— On Hetmanem nam wszystkim, ojcem i panem.

— A też psiawiary? ten hycel Cieciura. Czy i jemu płazem wszystko to się puści? Niech mnie djabeł porwie, jeżeli tu jest na tym świecie sprawiedliwość!

— Oni spełnili rozkaz Hetmański.

— A on?

— Swoją powinność. —

Na Wojewodę naburmusił się Neczaj, obrócił się i odszedł, a przez zęby przepuszczał djable imię, setkami, tysiącami.

Wojewodzie lzy padały na stół, na papier złowieszczy, a kiedy żona przyszła z dwojgiem malutkich dziatki, lez z oczu nie ocierał, ze łzami mówił.

— Żona moja, nie masz brata, dziatki moje nie macie stryja, nie macie opiekuna, któryby mnie zastąpił, któryby był dla was drugim mną.

Wojewodzina jęknęła jak gołębica w smutku; dziatki piśnęły płaczem za stryjem, a Wojewodzie jeszcze smutniej, jeszcze boleśniej się zrobiło.

Putywelski goniec jak ptaszkę długą trzymaną w klatce, złą wieść puścił na Kijów, a ona rady sobie dać nie mogła, latała

po wszem mieście. Nikt nie kazał, a już lud wojenny ostrzy szable, spisy opatruje, łapie konie z pastwisk, przybory rychtuje, a wciąż patrzy na Wojewódzki zamek; jak myśliwiec zarannej gwiazdy, tak on stamtąd wygląda jutrzni boju.

Niewiasty, starce, gruchają jak grzywacze przed burzą; na lud dorosły patrzą jak skrzętny gospodarz na kłosiste łąny, kiedy już kroplisty a rzadki deszcz padać pocznie, i na niebie sire chmury zaburczą gradem. Jeszcze piękne, jeszcze hojne kłosiste niwy, ale co to będzie po gradobiciu; jak ojciec dzieci chciałby je sobą okryć, i cieszy się niemi, i stracha się za niemi; patrzy na niebo czy wiatr chmur nie poprzegania i słońce nie zaświeci; tak Kijowianki i Kijowianie starce poglądają na zamek wojewódzki, czy z tamtąd słowa trwogi nie rozniecicie, i pokoju nie zaburzy.

Mędrak Kijowa nie odpuścił, nikt go tam nie widział, ale on o wszystkim wiedział.

Kilka dni upłynęło, a Wojewoda nic nie rzekł.

Był dzień Ś. Jerzego, rotmistrza pancernych, husarzy i wszystkich konnych znaków niebieskiego wojska. Dzielny to namiestnik Archaniola Michała, uroczyście też jego święto obchodzą w Starym Kijowie. Kozacy powiadają: święty Jerzy musi być Lach, bo ze wszystkich koni najlepiej pokochał białego konia, a u Lachów kto niema siwego, ten nie ma dobrego. Że Lach, to nasz Archaniół opiekun kozaczy, dla tego go tak obok siebie postawił. W ten dzień wszyscy młodce idą się modlić do świętego Jerzego, ażeby im dał konia dobrego, tylko nie białego, ale wronego. Ten dzień i dla chłopaczków wszystkich ciekawy, bo jak się w ciągu roku zaczął napierać: tatu konia, mamó konia; to i ojciec i matka mówią: poczekaj, dam na święty Jerzy jak rak świstnie. I chłopaczki dnia świętego Jerzego wyglądają, i rakowego świstu słuchają.

A do tego dzień to jeszcze świetny Hetmańskiego imienia.

Po cerkwiach modły i lud się modlił; ale dzień schodził bez praznika; ledwie nie wszystkich usta mówiły: Ot! od czego Chmielniczuk zaczął, co to będzie dalej. A wszyscy patrzyli na Jana Wyhowskiego. Wojewoda był w cerkwi, kiedy metropolita w głos odprawiał modlitwę za zdrowie i szczęście nowego Hetmana, i sam się modlił. Przejeżdżał się po mieście w kozaczym stroju, ale czapłego pióra nie miał przy czapce. Ludzie zatęsknili na to i porozchodzili się do domu.

W wieczór już po szarej godzinie, taki dobrze późno w noc, chłopaki pobiegli nad Dniepr słuchać jak rak świsnie. Dniepr miała rzeczka, kamykiem jej nie przerzucić, ani kulą z rusznicy nie przetrześcić. Kiedy na jednym brzegu orzeł zakracze, to na drugim ledwo czaple ucho krakania dosłyszcy. A kiedy przyjdzie białozorowi Dniepr przebywać, to się dobrze zadycha. Kaczka kaczki nie słyszy, nurek z nurkiem się zobaczy, jaskółki lewego brzegu nie znają się z jaskółkami brzegu prawego, taka to wielka rzeka!

Chłopaki w kupki się gromadzą, a patrzą, a słuchają, a strach im, bo na niebie czarno, księżyc a gwiazd nie widno; a taka cisza, że krom gadania wodnego ptastwa i poszmeru drzemiącego Dniepru, nic nie słysząc, rak nie świszcze; jego świst wedle starych ludzi, ma być dziwny, inakszy od świstu ptaszego. Słuchają, patrzą.

— Gwiazdy, gwiazdy!

— Gdzie?

— Tam przy końcu nieba, patrz!

— Ha, ha! wszystkie chłopaki zakrzyczały, strach ich odbiegł.

— To nie gwiazdy.

— Cóż takiego?

— Księżyc się rozsypał.

— Prawda, prawda.

— A jakie ładne kawałki?

— A jakie jasne? —

Jeden z chłopaków zapłakał.

— To już księżyc nie będzie.

— Durny ty! wszystkie kawałki na księżycu porosną.

— I będziemy mieli tyle księżyców co gwiazd?

— Chwała Bogu, będzie dzień zawsze.

— Durni wy, a jak Tatara bez nocy podejść.

— Prawda, prawda. —

Zadumali się chłopaki. A tam za Dnieprem stado gwiazd padło, świecą, na Dniepr złotym ogniem patrzą. W górę na niebo nie chce się im posuwać, a boją się skoczyć w Dniepr.

Stoją, patrzą, cisza do koła, i znowu jeden zawołał.

— Słuchajcie, słuchajcie!

— Co to jest? Co to jest? —

Uszyna tulą się do powietrza, ku Dnieprowi. Klasnął w dłoń jeden, drugi.

— Rak świszcze! —

Rak świszcze? Powtórzyła gromadka.

— Do tata. Do mamy, po konia. —

Jak tabun owiec zatupotali nad Dnieprem i ponieśli się w miasto.

— Niebawem wracali się ze staremi ludźmi, z młodcami, a

nawet młodyca i dziewczyna nie jedna ciekawsza, za niemi przybiegła. Stado gwiazd za Dnieprem siedzi, i jasnym ogniem świeci, a jakiś pogłos dziwny, inakszy jak ptasi po Dnieprze się niesie. Chłopaki palcami wskazują, opowiadają długie dziwy: o księżycu jak się rozsypywał w kawalki, o rakach jak poczęły świstać. Jedni mówią: na Boga prawda; drudzy pomrukują, łągą jak psy, inaczej to było. A wszyscy się godzą. To cud Świętego Jerzego, raki świszczą, dawajcie nam konie.

Starzy ludzie w głowy potrącają. Nie gwiazdy to błyszczą, nie raki to świszczą.

Ale już nie sami tylko ciekawi stanęli nad Dnieprem. Słychać pobrzęk wojennych ludzi. I Wojewoda też jest tam; dał rozkazy, mkną czołna od brzegu, a młodcy na nich, potonęli w ciemni, i pluskanie wiosel zagłuchło w Dnieprowym poszmerze.

I coraz jaśniej te gwiazdy błyszczą, i coraz wyraźniej pogłosy do ucha dolatują, nie bisurmański to izan, ani tatarskie zakłęcie, ale Ukrainka mowa.

Idzie konik samotny, jeźdca na nim nie ma,
Powłacza nogami, nie strzyże uszyna;
Oj sroma się sroma, w dom nie wiezie pana;
Gdzieś go zostawił? w Jasyrze-li hana?
Czy w chacie mogile odpoczywa sobie;
Czy z orłami wleciał, aby nie gnić w grobie?

Jako czarne kruki, schmurnieli młodcy,
Cały pułk spochmurniał; nie ma pułkowodzey,
Gdzieżeście podzieli swego pułkownika?
Czy go wam zakłula moskwićńska pika?
Czy tatar szablicą zrywał łeb do ziemi,
Czy bisurman stratował kopyty końskimi?

Żona jak zuzula tęsknie męża woła,
Jak zuzula patrzy, daleko, dokola;
Gdzieś męża podziła? Czyś zgubiła w świecie,
A może posłała po jakie kwiecie;
Po sprawunek jaki, dla siebie hołubki,
Dla swej czarnobrewki, świegotuszki, lubki?

Wierny konik milezy, pułk cały zaniemiał,
Żona cicho płacze, nikt, nikt głosu nie miał.
W Kijowie przemówią wszyscy, wszyscy razem,
Przed Bogarodziecy przezczystym obrazem,
Przed serdecznym Ojcem, dawnym Hetmanem,
Dawnym Hetmanem, Ukrainy Panem. —

Młodcy przynieśli Wojewodzie co usłyszeli. Wojewoda rzekł:

— Niech bajdaki tam będą o świecie. —

Głos jego nie taki był dzwięczny jak zazwyczaj, ale nikt jego twarzy dojrzeć nie mógł, bo zaraz odjechał.

Świtać poczęło, i jaśnia rozrzuciła się po niebie: słońce wysunęło się z za ziemi, ludziom zdawało się, że w Dnieprze się kąpie. Zasmucone chłopaki jeszcze raz krzyknęli:

— Ha, ha, gwiazdy w księżyc się zrosły. —

A tam od słońca płyną bajdaki, zdaje się niby słońce je rzuciło na Dniepr. Czarne chorągwie nad niemi wieją; i już widać jak prują siną wodę. Płyną, do brzegu przyparły. Lud w półkole się rozwinął, a oczy zarzucił na bajdaki. Wychodzi niewiasta piękna, blada, cała w czeru przybrana; kloni się przed ludem, i sobolowy kołpak z głowy zdjęła, a koło niego szeleści pióro jak kiście sosnowe. Lud okrzykami wita młodszą córkę Bohdana Chmielnickiego, a ona mu drżącą ręką wskazuje na trumnę z ciałem nieboszczyka męża. Przed ludem nie jęczy, nie płacze, wszystek żal w sobie spożyła, ale przeraźliwie jak kania woła:

— Sprawiedliwości! sprawiedliwości! —

Lud do nieba wzniosł oczy, a rękoma wskazywał na zamek.

— Do ojca Hetmana! do Wojewody! do Wojewody! —

Szła czarnobrewka koło trumny męża, szedł wilczaty koń za trumną, ale nie niósł kozak jasnego miecza, ale nie niósł kozak długiej spisy, i kitajka nie krasniała na trumnie. Ciało niesiono bez zasługi kozaczey, bez ucziwości wojskowej. Szli Czehryńce, na cuglach wiedli konie; jakby z tamtego świata upiory, tak im nie wesoło z oczów patrzy. Gdyby nie brzęk szabel, gdyby nie podzwonne wędzidel, jak upiory szliby milezkciem.

Bratowa, siostrzenica, przyboczni dawnego Hetmana, dziś Wojewodzie niosą podarek z za Dniepru.

Wojewoda już wie o wszystkim; na przeciw nie wyszedł, stał we wchodowej komnacie; splótł ręce pod piersi i serce dobrze przycisnął. Żona, dzieci, Stefanida, zostały w dalszych komnatach, Wojewoda tak okiem kazał. Bracia, współurzędnicy, służba wyszli na dziedziniec, Wojewoda tak okiem kazał. Sam jeden Neczaj z nim w komnacie pozostał.

Pozierali na siebie. Dziwna to była rozmowa oczyma tych dwóch towarzyszy, co długie lata chodzili z sobą i w parze i w sporze, po hulaszczeych szlakach kozaczego życia; a teraz radzą się czy znowu to życie zacząć, czy rzucić go do djabła raz na zawsze i zapłakać. Żaden nie zdobył się na słowo, ale obu-

dwom szable brzękły: one do nich zagadały, i już, już iskra kozacza rozniecała się w oczach, kiedy spojrzeli po ścianach.

Tam do kola wizerunki Hetmanów kozacych. Groźne ich twarze, groźniejsze jak szablce, jak buławy. Postawy ich zapanoszałe, bogatsze jak złoto, srebrne i drogie kamienie, które po nich poczepiano. Im dalsi praojcowstwem, tem więcej chluby w nich widno, chlubniejsi być musieli i z siebie i z kozactwa. Im niżsi następstwem, tem więcej dzikości mieszało się do chluby. Zamąciła się ta chluba prawego serca, i kał osobistych sztuczek zamąciła niepokalaną dziewiczość kozaczej sławy. Na rozgraniczu tego przechodu stał Piotr Konaszewicz Sahajdaczny; stał, i nad wszystkich praojców i praszczurów najjaśniej jemu błyszczała i prawość i sława.

Ku niemu Wojewoda poglądał, i u niego radby rady prosił. Niby dziw jaki, Sahajdacznego twarz odbiła przeszłości czynem i nim mówi. Mówi, jak po wyprawach moskiewskich z Królem Władysławem, kiedy mu Metropolita Teofan wyrzucał, że z Lachami różnowiercami chodził mordować jednowierców Moskalów, i groził wzburzeniem przeciw niemu Kozactwa; Sahajdaczny rzekł: Polska nam matką, Lachowie bracią, Moskal wrogiem; wojny domowej nie chcę. Weźcie buńczuk, buławę i czaple pióro, a naród Kozaczy niech w zgodzie żyje. Póki pokój, Czerncem zostanę, pokutować za siebie, a modlić się za was będę; a jak Naród, Król i Rzeczpospolita zawoła, z różańcem i szablą z wami pójdę, was powiodę.

Zdało się Wojewodzie, że na nowo Sahajdaczny te słowa mówi: skinął głową, tak — i czekał, i już mu spokojniej było.

Neczaj w szablę stukał, i szablę kochankę głąskał; ale oczyma czekał słowa z oka Wojewody.

Na rozciesz drzwi się rozleciały, i weszła Helena. Chyli się przed Wojewodą.

— Opiekunie mój! ojczę! daruj, daruj. —

Wojewoda jak córkę ją objął.

— Heleno! Heleno! —

Parę łez jego padło na twarz czarnobrewki, i czarnobrewce lzy się puściły, po raz pierwszy od Putywła; ale pióro od kołpaka trąciło o rękę Wojewody, i zaszerkotało. Wyrwała się z ojcowskiego objęcia, powiekę ścisnęła i lzy zahamowała.

— Ojczę, nasz Hetmanie, nasz Panie, to krew twoja, twojego brata, przybranego syna, wychowańca, dziecięcia Ukrainy, twoja, twoja krew. To pióro, pamiętasz Hetmanie! Bóg mi dał, weź go, ja ci go daję. Córka Bohdana, jego imieniem ci go daje; weź go na zawsze, dla siebie i dla swoich, na wieczne czasy. Weź, ale obmyj we krwi tych, co twoją krew przelali. O inaczej się nie obmyje! —

Przyklękła, okruszała krew z pióra.

— Patrz, nie obmywa się, nie złazi. Krwi, krwi trzeba.

— Heleno, Heleno, moja bratowo, moja córko! —

I podnosił ją Wojewoda z kłęzek.

Stary Neczaj w szablę stuknął.

— Krwi, krwi trzeba. —

Czehryńce na dziedzińcu jak psiarnia zawyli.

— Krwi! krwi Juryszki! —

Wojewoda okiem rzucił na Neczaja, a on kroku nie ustąpił.

Gromko huknął.

— Jerzy Chmielnicki nam Hetman i Pan. —

Umilkli Czehryńce i pochmurnieli na nowo. Helena stanęła dzika, niepojęta. Błyska okiem jak w nocy wilczyca, a jak martwa blednie na twarzy.

— Ty nie chcesz pomścić krwi swojej, brata, kozaka; a jam tu szła jak do Ojca po pomstę, po sprawiedliwość. Mogłam się mścić sama; krewby się była lala, a ja ufalam tobie jak samemu Bogu. — Złożyła ręce jak do modłów. — Ojcie Hetmanie, mów, nie chcesz mi dać sprawiedliwości? Nie chcesz twojej krwi się pomścić? —

Wojewody oczy z Heleny poniosły się na wizerunek Kona-szewicza.

— Heleno, mścić się nie chcę.

— Czemu? czemu?

— To nasz Hetman, to nasza Ojczyzna. Heleno to twój brat.

— Mój brat, zabójca mojego męża? — Zacisnęła usta, i zaśmiała się boleścią. — Panie Wojewodo Kijowski, tyś już nie ojciec Kozaczyzny.

— Alem Kozak.

— Kozak, Kozak, a krwi kozaczej pomścić się nie chcesz?

— Heleno, bratowo moja, ja krwi kozaczej przelewać nie chcę. —

Wziął ją za rękę.

— Puść mnie, puść mnie; tyś mi nie szwagier, nie opiekun, nie Hetman, nie, nie. — Wyrwała rękę, i wybiegła na dziedzi-niec. — Tam moje wszystko. —

Wojewoda szedł za nią.

Ona już na dziedzińcu, w kołpaku na głowie, czaplem piórem szerkocze. Paweł Tetera obok niej, a do koła niej Czehryńce. Sama własną ręką wieko trumny odchyliła; patrzy na trupa męża.

— Czehryńce patrzcie! to trup waszego Pułkownika, męża córki Bohdana. Bohdan jak dzieci własne was kochał; mój mąż na boje was wodził, i wyż się nie pomścicie waszego Pułkownika? mnie wdowy sieroty na tym świecie? —

Klękła przy trumnie, głowę przechyliła nad trupa męża, łzami zesłłą krew myła; słowami męża chciała ze śmierci ocucić.

— Pomścimy się! pomścimy! Tetera woła. —

Czehryńce szabel dobyli, ale Wojewoda dał rozkazy i Czehrynce szli z dziedzińca chmurni, niemi jak przyszli, tylko po kamieniach pochwy dźwięczały; tylko wędziła dzwoniły. Siostra, bratowa, wzięły w ramiona czarnobrewkę, od trumny oderwały, niosły w komnaty, a ona mileżała jak bez życia.

W starym Kijowie, kapłani Boży w żałobę przybrani, pogrzebową służbę prawią, i pogrzebowe hymny pieją, a z dzwonic setne dzwony żalobnie zajęczały, i pojęk niesie się na daleko; po lasach jęczy, jęczy po stepach, i na starym Dnieprze jęczy.

XII.

C Z A R Y.

Cztery dni później, rankiem ledwie jaskółka z pod dachu wyleciała, zaśpiewać na dobry dzień dobrym ludziom za kołmorne, jakić młodec szedł koło cerkwi Święto-Michalskiej. Ze Starszyny być musi, bo bogato na nim, a pilno mu i tajemnie, bo sam jeden bez służby idzie, prędko kroczy, a wzrokiem w strony strzela. Widno, widno, że to sokół, spuścił się z obłoków, i skacząc po ziemi, kruka udaje. Zatrzymał się trochę, popatrzył na dom lichego pozoru, mruknął.

— Dziś zemsty, a jutro znowu po dawnemu zaśpiewa. Innego sposobu nie ma. —

Machnął ręką i wszedł do tego domu.

W małej izdebce siedział człowiek suchy, wywiędły. Przed nim roztrwarta książka, ale on w niej nie czytał, przypartywał się dwom kotom. Czy igrały z sobą, czy się swarzyły, tego trudno odgadnąć, to tylko pewna, że ani igrały, ani swarzyły się szczerze, otwarcie; za co chceć, to można było brać tę ich zabawę. Chudy człowiek uśmiechał się, ale to jak gdyby gwałtem ten uśmiech na twarz wyciągał, i to jeszcze przed sobą samym chciał go ukraść.

— Tak i ludzie powinni robić. Kto najmniej odgadniony, kto wszystkim tak się wydaje jak oni chcą, ten wiele może.

Za usłyszeniem ludzkich kroków, koty pochowały się pod piec, a chudy człowiek czytał w książce.

Wszedł młodzieniec ze Starszyny, chudy człowiek podniósł się; chwilę postali.

— Czy od Pana Wojewody? —

— Nie, od siebie samego. —

— Proszę Waszmość Pana siadać. —

— Dziękuję. Ojciec mnie nie poznał? —

— Poznałem, dobrze sobie przypominam. Czem mogę usłużyć Waszmość Panu? —

— Mnie nic, ja nie nie potrzebuję, ale Ukraina, Ojczyzna moja. —

— Bóg się nad nią zmiłuje. —

— Ale my jej dzieci, powinniśmy —

— Cierpieć i pokutować, a Bóg się zmiłuje. —

— Ależ Ojcie, cierpieniem i pokutą samą nic nie zrobimy. Moskwa nam na karki wsiada: już z dzisiejszym Hetmanem zaczęła przechowory. Za syna będzie to, co było za Ojca. —

— Niech go Bóg oświeci i od złego odwróci. — Westchnął chudy człowiek, ręce złożył dłońiami, i poszeptał jak gdyby pacjent odmawiał.

— Ojcie, Pan Wojewoda Kijowski jeden mógłby Ukrainę ocalić, a Polskę od niebezpieczeństwa ochronić. —

— Niech mu Pan Bóg do tego pomoże. —

— Ale on nie chce; lęka się wojny domowej. —

— Najwyższy niech raczy od nas wszystkich ją odwracać. —

— Bez tego jednak obejść się nie może. My chcemy zostać wiernymi naszej matce Polsce i Królowi Jegomości. —

I Król i Rzeczpospolita tego się po Ukrainie spodziewają. —

— Przeciw Moskwie i tym co utrzymują z Moskwą, będziemy walczyli do upadłego. —

— Bóg słuszną sprawę pobłogosławi. —

— Póki Jerzy Chmielnicki Hetmanem, póty nie będziemy mogli zrobić nic dobrego. Zabójca szwagra, przyjazny Moskwie, nie doprowadzi nas do niczego dobrego. —

— Później czy prędzej, każdy występek odbierze karę, a każda cnota nagrodę. —

— To pewna, ale tu dziś trzeba zaradzić złemu, trzeba żeby Król Jegomość odebrał Hetmaństwo Jerzemu Chmielnickiemu, a dał je komu innemu w interesie Polsce; godnemu tej łaski. —

— Jego w tem będzie wola. —

— Ojcie ja więcej powiem: szczerze wyłożę moją myśl. Koniecznie trzeba Unję poprzeć. Łacińskie klasztory na Ukrainie poustanawiać, inaczej wpływu Moskwy się nie pozbedziemy, ona na czele blahoczystliwej cerkwi. Trzeba, trzeba, trzeba to zrobić. —

— Daj Boże! — I nie było widać z twarzy co się działo w duszy mędrka; darmo kozak po niej śledził. Prędzej, prędzejby wyszedł w najciemniejszą noc po tropie Tatara, jak myśl tego człowieka tajemnicy. —

— Żeby to spełnić, trzeba innego Hetmana. —

— Niech Bóg w tem Ukrainie dopomoże. —

— Ojcie ty dopomóż nam możesz, Królowi i Senatowi przedstawiając. —

— Kogo? —

Mołodec zaciął się na chwilkę, ale niedługo szukał, podniósł głowę.

— Wojewoda nie zechce. Neczaj za stary: ale tyle jest pułkowników na Ukrainie i Atamanów kurennych na Siczy, znanych i z waleczności i z wierności.

— Ale Ukraina przywiązana do krwi Chmielnickiego? —

— To stary Neczaj. — spuścił w dół oczy molodec.

— Waszmość Pan sam powiadasz, że za stary, szkoda; druga córka Chmielnickiego teraz wdową. —

— Ale — to — Zająknął się trochę. —

— Bóg ja natchnął dobrym wyborem. —

Młodzieniec myślał, mędrak podniósł oczy, i przejrzał myśl kozaczą. Uśmiechnął się.

— Pomyślemy o tem — Jeszcze pogadamy. —

Czarnobrewka płacze a płacze, od ludzi ucieka. Wojewoda i Wojewodzina jej niemili, bo noszą rady i pożałowanie, a nic więcej. Siostrę z pociechą precz odsyła. I na starego Neczaja się krzywi, on choć się odgraża, prawdą w oczy kole czarnobrewce. Ze sługami ani słówka nie mówi. Z jednym Konstantynem Wyhowskim, bratem rodzonym nieboszczyka męża, z drugim Pawłem Teterą czasem porozmawia trochę.

Konstanty Wyhowski przybiegł natychmiast do bratowej, on nie śmiał nic robić wbrew Wojewody woli, ale zaprzysiął pomstę zabójcom brata, zaprzysiął na miłość braterską, na żal cierpiącej bratowej.

Czarnobrewa czasami taka tęskna jak ukraińska ziemia, co wciąż tęskni za swojemi dziećmi. Czasami w rozpaczey zemsty taka widna jak mogiła, co przed okiem ludzkim się nie kryje; a zawsze taka urocza, taka cudna jak Ukraina.

I Konstanty i Paweł dla niej gotowi byli na wszystko, na wszystko, krom obrazy Wojewody.

Jeden mówił:

— Bratowa moja, krasawico, nie płacz tak, to nie pomoże. — I krzywej szabli ręką dotykał. — Prysięgam, jak pamięć brata mi miła, jakeś ty mi droga, kto winien, ten zapłaci. Krew za krew, głowa za głowę.

W oczy patrzył Helenie, i oczy jego więcej mówiły jak słowa.

Drugi powiadał:

— Krasna Heleno, cierpliwości trochę, pomścimy się pomścimy; ty wiesz Pani moją przysięgę. —

Lice mu kraśniało, a oczu od niej oderwać nie mógł, nie mógł, nie chciał.

Ona obudwom na odpowiedź brata czaple pióro.

— Póki krwi krwią nie obmyję, póty, póty będę płakała.

Chciała twarzą, oczyma zemstę odbić, ale już przeszły te pierwsze chwile; płakała, tuliła oczy w dłoń, i wtenczas ładniejszą była, stokroć ładniejszą jak zawsze. Obadwa molodce

na nią poglądali; poglądali na siebie, i każdy z osobna powtarzał: Ja się zemszczę za brata. Ja się zemszczę za wuja; i każdy dodawał: dla Heleny. A obadwa razem nie rzekli: Razem, razem się pomścimy.

Jednego wieczora Helenie tak smutno się zrobiło o szarej godzinie, samej jednej; o tej godzinie zawsze mąż przychodził, a kiedy go nie było, o nim myślała; o tejże samej godzinie, i w tymże samym zamku, i w tejże samej komnacie. Położyła się do łóżka, i od łez się zalewała. Weszła stara piastunka Chwedora.

— Olenko, moja Olenko, co tobie takiego? —

A Helena łkaniem łez odpowiada.

Piastunka się zafrasowała, i tak się modliła:

— Boże! Boże! zmiłuj się nad moją Olenką. Biada, to nam biada wdowieństwo, na tym świecie zostać bez człowieka; ni kogo się poradzić, ni z kim pogadać, ni w obronie nam nikt nie stanie, ni połaje jak swoją, ni popieści jak swoją. Oj! ty teraz biedna, moje dziecko! Daniel był ci ojcem, matką, wszystkim, a teraz ty sama jedna na tym świecie, jak ja stara. Boże! Boże! nie zostawiaj ją w tem sieroctwie. —

Przeżegnała się krzyżem świętym, powiedziała Amen, i biła się w piersi jak po modlitwie, a Helena nie przemówiła nawet: dziękując.

Piastunka usiadła przy łożu.

— Pani moja, Pani, czyś ty nie chora? —

— Nie, moja Chwedoro, ja chcę umrzeć. —

— Co ty gadasz, moja Helenko? Pan Bóg posłysz, i rozgniewa się. —

— Pan Bóg już na mnie dawno się gniewa. —

— Gdzież tam moja Olenko, on ciebie kocha; kogo Pan Bóg kocha, tego nawiedza. —

— Męża mego, męża! ja żyć nie chcę. —

— Żyj, żyj, moja rybko. Świat przed tobą, i wszystko przed tobą. —

Helena już odwróciła się od piastunki, i na wszystko nic nie odpowiadała. Chwedora wyszła na dziedziniec popłakać nad swoją Olenką wolniej, nie między czterema ścianami. Siadła pod polnym bzem, tuż nie daleko zamku, głowę sparła w dłonie.

— Jam ją wykarmiła, wypiastrowała; wychodowała mi się taka ładna, taka hoża; a teraz taka biedna. Oj dołaż, to dołaż na tym świecie! —

Tak narzekając usłyszała rozmowę dwóch Kozaków.

— To djabli syn; tak gada, jak gdyby w książce czytał. —

— Ale czy prawdę? —

— Dziwo, że prawdę; żeby nie grzech, tobym powiedział, że Pop mu całą moją spowiedź sprzedał. —

— Może to i sam djabeł. —

— E! nie, to taki po prostu znachor. —

— Znachor, znachor, a gdzieby on tego się nauczył? —

— Ba, ba, na stepach. —

— A czemuż my się nie pouczyli? —

— To stary człowiek. —

— Taż też i między nami są starzy, i na stepach nie raz bywaliśmy. —

— Jakiż z ciebie susel; co innego na stepach wojaćwa się uczyć, a co innego znachorstwa. —

— Taż też to prawda, mniejsza o to; ale z kąd on? —

— Djabełże go wie z kąd! ze stepów, taj koniec.

Chwedora podeszła ku nim.

— Synowie, o jakim to wy znachorze mówicie? —

— Pani matko o cudzym człowieku, od kilku dni w Kijowie się zjawil, ale co robi dziwa to robi. —

— Wszystko co zechce matko. Wróży, odmawia uroki, i Bóg wie jakie nieszczęścia odgania. —

— Gdzież on teraz? —

— On tam za bramą siedzi, ten siwy. —

Chwedora już nie słuchała, szła szybko za bramę. Tam gro-nem ludzi otoczony siedział starzec na kamieniu, rękoma kij oplótl, a o kij sparł czoło, i prawil do ludzi. Taka u niego broda biała, że aż oczy razi, i włosy na głowie białe, łysiny nie widać, i włosy kuczmiście. Uśmiecha się, baraszkuje, a u nóg leży lira, i torba dziadowska, a na straży ostrouszek kundys, czarny jak żuczek.

Noc się poczęła, a Helena jeszcze bolała, ani myślała usnąć. Skryła boleść między adamaszkowe kotary; wszyscy od niej odeszli, tylko świecznica ze złotem okiem na straży została, niby dziw stepowy na straży zaczarowanej księżniczki. Weszły do komnaty dwie osoby, starzec i staruszka; idą cicho, a tak powolnie, jak gdyby za każdym krokiem się kłoniły; i świecznica płomieniem kłoni się tym gościom. Z pod kotary ni oko, ni usta ich nie powitały. Staruszka szepiała starcowi w ucho, a on białą brodą o piersi potraçał. Wszystko wysłuchał i do kotary się nie zbliżył; skinął ręką na staruszkę. Szepce zмовiny, z dłoni rzuca na kotarę; staruszka kłeka i modli się, na starca oczów nie podniesie, a wciąż pogląda ku kotarze. Czarnobrewka leży przytulona do poduszki, oczu jej nie widać i twarzy nie widać; krucze włosy muskają i tulą się do ramion, same z siebie rzuciły obsłonę dla ciekawego oka, i krasa adamaszku, i złoto

świecznicy nie dojrzeć nie mogły. W rubinowym obłoku zanurzyła się czarodziejka, i kradnie przed ludźmi urok Boży.

Znachor zbliżył się do świecznicy, ręką powołał na piastunkę, zasiedli oboje. Z zanadruza dobył wosk i topił nad świecznicą w cynowej łyżce; piastunka przystawiła mu misę z wodą.

— Niewiasto, ja nie wiem kto ta krasna Pani, ja stepowy człowiek, ludzi nie znam. Na naszych stepach Bóg i ja ze mną. Jeżeli czasem wbiegnę między ludzi to nie wiele się dowiem; gadam, gadam, a mało widzę, a mało słucham, i to co mówię, to nie mój rozum. —

Wosk się topi, on go leje w misę na wodę, patrzy a głową pokręca; woszczyny w dziwne kształty się poplotły. Piastunce strach. Znachor milczy: oko to jaśnieje, to się chmurzy; twarz to się marszczy, to się rozgląda; drżą usta, a jeszcze milczy; woszczyny w rękę obraca, nareszcie zagadał:

— Wielka to Pani wielka! Na stepach, na dalekich stepach, gdzie człowiek jeszcze ani zaszedł, ani zajrzał, znana jej krew. Orły i sokoły wieść o niej tam zanosły, i kraczą wszystkim stepom, wszystkiemu niebu. Sława tej krwi sumakiem poleciała po świecie naszym, wilkiem wszędzie się wkradła. Na budiakach pszczołą zawisła; między trawy węzem się wplotła; rojem osiadła drzewa; na orne pola szarańczą padła, po stepach, po lasach, na mogiłach dokoła siół i grodów jasnym lunem płonie. Ptaki o niej śpiewają, zwierz o niej wyje, ludzie stepu o niej głoszą; bo ona sława stepu, sława nasza; z takiej to krwi ta krasna Pani. —

Coraz wyżej głos podnosił, a piastunka nie śmiała powiedzieć: Ciszej, Pani się zbudzi. Słuchała, a znachor dalej mówił:

— Przeszłość minęła i w przeszłości swojej krwi się nie zaparła, jak orzeł ku niebu, ku niebu leciała. W serce ją ranili, ale w tem sercu krew rodzima się przechowała; a co tam z nieba przeznaczono, to tego tu na ziemi nikt nie zmieni. Krasnej Pani panowanie, i sława i szczęście i wszystko dobre. Straciła swego sokoła, bo sokół nie chciał latać tak wysoko jak ona; a to prawda nad prawdami, kiedy się kto zwiąże z gwiazdą nieba, niechże się jej trzyma, inaczej w dół spadnie głęboki, głębiej jak oko zajrzeć może. Patrz, patrz niewiasto, jak się wyłoniła przyszłość! — Pokazuje woszczyny piastunce i mówi: — Dwa orły lecą do krasnej Pani, do swej Carycy i proszą: każ, każ, a my zrobimy co zechcesz. O chwackie to orły chwackie! lotue w skrzydła, bitne w dzioby. I jeden i drugi na rozkaz tylko czeka. Patrz, patrz, krasna Pani w prawicy niesie żelazo, jasny miecz swojego ojca, a z lewicy złotem sypie, i w czaple pióro takie świeże jakby tylko co wyrwane, swego orła stroi, tylko kruki latają; ale patrz jak orzeł szponi, rozbija i znosi pod nogi krasnej Pani. Z tym jednym starym orłem trudno idzie walka. Stary to bywalec, on się wziął na krasną Panią,

na krew krasnej Pani. To w lelaka się przerzuca i chytrze się korzy; to znowu jak orzeł z góry tłucze, a kracze; krwi mi tej potrzeba, do ostatniej kropli, inaczej ja nie pan stepów. Trudna z nim walka, niebezpiecznie, ale zwalczyć go trzeba. Patrz, niewiasto, twojej Pani pomsta i panowanie się znaczy; na tym wosku ze stepu stepowa prawda się wylała, taka prawdziwa, jak prawda Boza. O tak, tak, nie między ludźmi, na stepie tylko: Bóg i prawda.

Zamilkł znachor i milczał; twarz mu pobladła, i tak była w białowłosej oprawie, jak kość trupia w śniegu. Z za kotary głos przestrachu się odezwał. Piastunka tam bieży.

— Kto tu jest? kto tu jest? —

Usta się nie otwarły piastunce, przestrach z czarnobrewki serca błyskawicą zniknął, odchyliła kotarę, świecznica płonie, a nikogo, nikogo nie ma; dłońmi musnęła po oczach, i dłoń w dłoni poklaśa.

— Chwedoro, a mnie się zdało, że ja nie spała. —
Chwedora milczy.

— A mnie się śniło. O tam siedział starzec, i ty koło niego. Gadał dziwne rzeczy; tyś słuchała, i ja słyszałam. Pamiętam dobrze każde słowo; wosk lał, a potem tak pobladł jak upiór, tyś drżała Chwedoro, mnie ciebie żal było, krzyknęłam. —

Chwedora głową zaledwieskinąć inogła, wzięła czarnobrewę za rękę, ręka się nie wzbrania.

— To sen był tylko Chwedoro? —

— Sen — zapewne sen. — Spoczniej teraz moja rybko. —
Chciała odejść.

— Nie, nie, moja droga, zostań tu ze mną, mnie się spać już nie chce; a tak straszno — Siądź tu na łóżku przy mnie, mów mnie co takiego. —

W głosie czarnobrewki przypomniła się pieszczona proźba malutkiej Otenki. Piastunce rzewnie na sercu się zrobiło, umie tyle złotych kasek: o trzech królewnych, o trzech królewiczach, o srebrno włosym znachórze, o koniu Igorowym, o kijowskiej żmii, o błogosławionych peczerskich, o Hetmanie czarownika, a żadnej kazki zacząć nie może; pogląda po komnacie, szuka okiem; drzwi zamknięte, nikogo nie ma: otula ręce czarnobrewki.

— Chwedoro! tobie mnie żal; ty mnie kochasz, tyś kochała mego Daniela: prawda, jaki on był? prawda, jaka ja biedna? —
Westchnieniem osuszyła słowa, a łzami je popłakała. Piastunka płacze, i tak obiedwie płakały aż do białego dnia.

Ciekawy dzień w okna zajrzał. Piastunka wychodziła z komnaty szukać gdzie się podział znachor, a nie śmiała spojrzeć

ani na dogorzałą świecznicę, ani na misę z wodą. Helena kęka przy łożu, i modliła się za duszę swego Daniela.

Dzień jaśnieje, wstała z kłęczek, patrzy po komnacie.

— Tam, tam był ten starzec. —

Stąpiła kilka kroków, chyli się ku podłodze, podniosła woszczyny wylane. W tem drzwi się otworzyły, weszła bratowa, weszła siostra; prędko Helena skryła woszczyny w sobolowy zarękawek.

— Dobry dzień, jakże ci bratowo? —

— Dobry dzień, jakże ci siostro? —

— Dobry dzień wam, trochę spałam. —

Pocalunkiem ją darzyły, a ona jedną rękę skryła w zarękawek, a drugą resztki łoża ociera.

Piastunka wróciła, wynosi misę z wodą, wynosi świecznicę; nie nie widzi, przeszła wszystkie komnaty, do koła zamek obezła. Po sadzie chodziła, nigdzie, nigdzie nie zdybała znachora, ludzi pytać się nie śmie; sama sobie powtarza:

— Ja nieszczęśliwa; com ja zrobiła! —

Tegoż samego dnia Helena od śmierci męża po raz pierwszy weszła między ludzi, bez lzy w oku, bez słów rozpacz i pomsty w ustach; uśmiech dawny wygnaniec, płątał się już po lieu, nie pewnie, tęskliwie, niby z bojaźni, żeby go znowu z tamtąd nie spędzono. Wszyscy się tem radują, jak dobrą wieszczbą.

Wojewody twarz nie powlacza się powszechną ochotą; patrzy na nagłą zmianę. Jak jeździec kiedy go wichry w stepie opadną, a słońce ukradkiem kilka promieniami błysnie, i wichry na chwilę przymilkną, on wie, że to przyspoczynek burzy, jak konia kiedy ma w większy cwał wyskoczyć. Witając Helenę, nie mógł z tęsknoty rozmotać słów, ani lica w pogodę przystroić; brał ją za ręce, jak ojciec ukochaną córkę, oczyma skarżył na los; a ustami ot tak sobie o różnych rzeczach gadał.

Helenie w myśli stały słowa: w lelaka się przerzuca. Hardziała twarzą, i piękniała ojcowską dumą. Rodzona to dziecina Bohdana Chmielnickiego. Nie trunkiem się poiła ale dumą, jak nieboszczyk ojciec, i wtenczas szal nad nią panował. Widziała, że Konstanty Wyhowski i Paweł Tetera do sadu poszli; za niemi poszła.

Jak czaromoca rusałka stanęła między niemi, a taka dumna, taka Pani, że oni ni słów, ni oczu ku niej podnieść nie śmieli.

— Bracie rodzony mego męża, i ty siostrzeńcze. Wdowa po Danielu Wyhowskim przychodzi z wami pomówić. Nie chcę ja słyszeć ani waszych słów, ani waszych przysięg, zostawiny to na potem. Ja chcę pomsty, i pomsty. Niech mój brat hetmani, to krew mego ojca, ale niech rodziny tych co mnie w żalobę

odzieli, odzieją się w żałobę. Proszę was o pomstę, a kto mnie pomstę przyniesie, dla tego będą moje dostatki, a kiedy zechce, to i moja ręka.

I nim pośpieli odpowiedzieć, już jej nie było między niemi. Patrzą na siebie, i już nie jak wuj na siostrzeńca, nie jak siostrzeniec na wuja, ale jak wróg na wroga. Jedno słówko czarnobrewej krew na krew wzburzyło. Nie mówili sobie: dokąd pójdziesz? Tam idę. Każdy jednak poszedł w swoją stronę.

Tam na Ukrainie nie tak się dzieje jak wszędzie; czasami na stepach tak cicho, tak spokojnie, jak gdyby Ukraina usnęła snem Anioła, a czasami taki rwetes, taka szaruga, jak gdyby Ukraina cała stała się szatanem i w hare poszła. Czasami po mogiłach siedzą orły i tylko kraczą; siedzą sokoly i w pierze się skubią; pasą się rogacie zgony i trawę żują; na stójlach stoją tabuny, koń do konia się tuli, głowami tylko, ogonami tylko lasają, oganiają owad. I nagle orły klekoczą w dzioby i lecą Bóg wie gdzie i po co? Sokoly szparko skrzydłami świszczą; siwe woły ryczą, i jak gdyby giec ich napadł, wybrykiem sadzą przez burzany. Tabuny końskie w cwał dmuchają po stepie, i to wszystko jak stało spokojnie to tak sobie nie wiedzieć dla czego się porwało. I między ludźmi nie inaczej na Ukrainie. Jednego dnia sieją, orzą, w supilki grają, z czarnobrewkami się holubią, hulają, tańczą, a w drugi dzień na koń wskoczą, z ogniem, z mieczem pędzą na Krym, na Wołoszę, i to ni ztąd ni zowąd, ot tak sobie, żeby nudy nie było. Jeżeli całemu światu prędko płynie życie, to na Ukrainie rwie w cwał, bo Bóg stworzył Ukrainę na inakszy kopyt, na inaksze przeznaczenie jak świat cały.

Wczorajszego dnia jeszcze nikt nikt nie gadał w Kijowie o niczem więcej, tylko o zabójstwie Daniela Wyhowskiego, a dziś z rana mówią:

Pan Wojewoda o świcie wyjechał do Warszawy, do Króla Jegomości; w nocy przybieczał pilny goniec, dwornia wybiera się w drogę a liczno; i Pan Lasko wojewódzkie chorągwie prowadzi. Zapewnie Wojewoda długo tam zabawi; a co to będzie z Ukrainą? On choć nie Hetman, ale nasz ojciec, nasz Pan.

Wdowa po Danielu jedzie w Czehryński zamek; z siostrą, z bratową zostać nie chciała. Już nie rozpacza, dawnych sług swojego ojca zbiera, nowych werbuje; sypie złotem; nęci słowem jak to nieboszczyk Bohdanek robił, kiedy ludzi do siebie wabił. Niedawna wdowa, myśli żyć dwornie i huczno w ojcowskim zamku. Zkądże ten wiatr i tak nagle powiał, coś to w tem wszystkim się święci?

Stary Neczaj rusza za Dniepr, młodą żonkę zostawia. Starcowi ubrzdało się udawać hulaszczego mołodca, jakiś mu bzik w głowie zamącił; to rodzimy Ukrainiec, w ostatniej godzinie śmierci gotów skonać przerwać i jakiegoś djabła zmalować, żeby nie tak z nim się stało, jak z ludźmi całego świata.

Bez opowiedzi Panu Wojewodzie Konstanty Wyhowski z drużyną swoich czmychnął jeszcze w nocy, a Czelhryńce z rozkazu nowego pułkownika Tetery, poszli do Czelhryna. Oni ze straży przybocznej Hetmana wszej Ukrainy przechodzili na straż Heleny córki Bohdanka.

Stary Kijów i stary Dniepr widzieli jak się to wszystko zrywało i leciało. Oni najstarsi, najrozumniejsi ze znachorów stepu, może wiedzieli co to takiego, ale ludziom nie mówili o tem; ani podzwonem dzwonów, ani poszmerem wody.

Tylko na niebie był dziw. Od północy ciągnął kometa dołąd niewidziany, na pół-jasny jakby ociągnięty blakującym światłem, włókł za sobą miotłę jaskrawo-ognistą. Od południa ponad samą mleczną drogą, powyżej miejsca, gdzie się ukazują pastusza gwiazda, była gwiazdka większa nad inne, jaśniejsza nad inne; podle niej trochę niżej była druga gwiazda mniejsza, ale jasna. Dalej plamka czarna niby szram na obłoku. Im bardziej zbliża się kometa, tem widoczniej wielka gwiazda rosła i jakby iskrzyła się, światłem do koła siebie sypała; mniejsza gwiazda zbladła, załoniła się i zgasła, plamką czarną się przysłoniła i drugi był szram na obłokach, a wielka gwiazda niby w drugi księżyc urosła. Kometa się zatrzymał, bladł i miotła to w prawo, to w lewo pomiałała, kiedy nagle dwie gwiazdy latawce po niebie jak gadziny się puściły, trąciły o kometa, wpadły na wielką gwiazdę, i poleciały bez wieści. Na niebie i kometa i gwiazda wielka znikły, tylko miotła rozpalila się i płonęła wielkiem łunem ponad Ukrainą.

Lud padał na kolana, bił się w piersi, i modlił się. Znachorowie wróżyli: pożary, pomorki, nieurodzaj, wojny, nie dobrego, a owego znachora ze stepów znaleźć nie można było. Jak latawiec gwiazda pokazał się w Kijowie, i jak latawiec gwiazda zniknął; śladu nie zostawił po sobie. Ludzie mówili: gdyby on był, prawdęby nam przepowiedział.

Koło Święto-Michalskiej cerkwi, w domku lichego pozoru, w izbie mędrka jeszcze światła nie zapalono, choć zmrok już dobrze szarzał. Mędrak nie był sam, był z nim drugi człowiek.

— I jakże ojeze, co każesz żehym robił? —

— Panie Pułkowniku trwaj w dobrym zamiarze, Bóg cię nagrodzi. —

Ja trwam i trwać będę; możesz zapewnić ojeze, że nie dla siebie ja chcę tych dostojności, ale dla dobra narodu mojego,

dla służby Króla Jegomości. Unia konieczna dla naszego szczęścia. —

— Bóg zapłać i za to, ale czy to dosyć? —

— Nie dosyć ojcze, ja wiem o tem. Przyrzekam, przysięgam, że Jezusowe bractwo będzie mogło mieszkać po całej Ukrainie, bezpiecznie pracować dla dobra kościoła, pod moją opieką.

— Pod opieką Bożą. —

Nie było widać twarzy mędrka, ale głos spieszczał się ojcowską dobrowolą.

— Tak Panie pułkowniku, będziemy modlili się dla ciebie o opiekę Bożą, z nią wszystko można wykonać; a Pan Wojewoda? —

— Wyjechał dziś z rana. —

— O i on może się wyleczy ze swojego uprzedzenia, łaska Boża wielka. —

— Ojcze, on stanął teraz na hoku; jak się wszystko zrobi, nie zechce przeszkadzać, żeby pokoju nie zamącić. —

— Dalbyto Pan Bóg! —

— O tak pewnie będzie. Jak nie będzie Chmielnicki hetmanił Ukrainie, to nienawiść przeciw waszemu bractwu i możnym Pankom upadnie. Bohdanko ją rozniecił, z Jerzym ona skona. Wojewoda dygnitarz koronny z Panami się pobratał. —

— Ale z bractwem nie? —

— Ojcze, jako Polak i dygnitarz przeciw bractwu nie może nie ani działać, ani zdziałać; jako kozak będzie musiał słuchać swego Hetmana. —

— Daj Boże, daj Boże. A więc Panie Pułkowniku trwaj i pracuj, a bądź pewnym, że nasze chęci, nasze modły są dla ciebie. —

— Ojcze żegnam ciebie; bądź spokojnym, rachuj na moje przyrzeczenie. —

Przy wychodnem pułkownik kozaczy zdybał w sieni jakiegoś człowieka, twarz z twarzą o ledwie się nie spotkała, ale jeden drugiego nie zatrzymał. Przy resztkach dniowej jasności oczy ledwie mogły zachwycić trochę z rysów twarzy. Pułkownik na ulicy stanął, czekał, nikt nie wyszedł; ruszył dalej, ale mruknął przez zęby: — Naum! — Naum! —

XIII.

CZARODZIEJSKA FLASZA.

Nowy Hetman przeniósł swoje mieszkanie z Putywła do Perejasławia. Gród to ulubiony od nieboszczyka Bohdanka; w nim on chępniej się potęgą, w nim i każda sromota padła na jego imię. Pan i Hetman Ukrainy całej tu w tym Perejasławiu, wtenczas kiedy posłowie Lacy, Moskiewscy, Bisurmansey, Tatarsey, Niemieccy, Szwedcy, Siedmiogrodscy i Francuzcy składali mu hołd jako Carowi jakiemu najpotężniejszemu; wtenczas kiedy Laskim pansom gadał: szanujcie się, bo za morza was wygonię; kiedy Bisurmanom groził: do Mekki, do Medyny z próżnemi torbami was wyszłę, niechno tylko na kozaczą huknę; Perekopskiemu Hanowi się powierzał w przyjaźni: Psie niechrzczone, jak mi wiarę zmienisz, to ciebie i wody i góry nie zasłonią, kozacza cię znajdzie wszędzie; kiedy mógł słowem jednym Moskalowi takiego strachu napędzić, jakiego od urodzenia nie miał nigdy, i zawołać na Dońców, na Jaickich braci: hej tu do mnie! ja król kozacki, ja Car waszej kozaczyzny; wtenczas Bóg go pokarał, ciężko pokarał za niewiarę matce Polsee; jak lichota jaki Pan kozaczy poddał się Carzykowi Moskwy; hołdownikiem uznał się Carzyka, któremu rok nie wystarczył na zebranie tyle wojska, ile Bohdanek miał na jeden poświst, na jeden mach ręki; któryby potrzebował wydusić wszystkich Bojarów żeby mieć tyle złota, ile Bohdanko dla zabawki jednego dnia wyrzuci. Takąto sromota spadła na imię Chmielnickiego, na naród kozaczy w tymże samym Perejasławiu. Jerzy nie sromił się tam swoją stolicę posadzić, a sromił się jechać do Czerkasów, to gród Daszkowicza. Sromił się, sromił wkroczyć do starego Kijowa, to gród Konaszewicza Sahajdacznego, gród Jana Wyhowskiego. Umarli i żywy, imionami swojemi tylko strzegli świętego grodu Ukrainy od syna niewiary, od szwagrobójcy.

Jerzy przywłókł za sobą całe zadnieprskie kozactwo. Marcin Ciecziura hetmanił czynem, a Jerzy imieniem tylko, tak, że kiedy

Hetman młody powiedział, że chce się ślubić z Putywlanką i swoim obyczajem po trunku szparko słowami sypał, i ciągle między nie wplatał: — Ja tak chcę, to być musi; Ciecziura słuchał jak gdyby do niego mówiono, i pod nosem się przegrażał: z tego nic nie będzie.

Skinał ręką na czernca; Filaret flaszy nie podał, Jerzy stygl, stygl w zapale, jak żelazo w ogniu rozżarzone a rzucone na śnieg, i zziębł zupełnie, i był w tej zimnej niemocy; wtenczas Ciecziura stawał nad nim.

— Hetmanie, tobie carówna, królowna za żonę, a przynajmniej gospodarka Wołosza, albo księżniczka Lacka; taka była wola nieboszczyka Bohdanka względem twego brata, tego trzeba Ukrainie. Co Bohdanko wyrzekł, świętym być musi.

Darmo młody Hetman prosił się:

— Ja ją kocham, ja żyć bez niej nie mogę. —

Ciecziura odchodził, Czerniec flaszy nie podawał, a Jerzy płakał, i modlił się: przypomniał sobie dziecięce chwile, a ani na myśl mu przyszło, że można żyć życiem Hetmana.

Uśmiech szyderyczy gwałt się po Ciecziury twarzy, a słów nie utrzymał w ustach.

— Panu Hetmanowi żony się zachciało; bez potomka zostać nie chce kozaczyzny. Ha! jeśli tak z następstwa w następstwoby poszło, pięknychby Hetmanów miała Ukraina. —

Tego dnia jeszcze wysłał Ładyńskiego w poselstwie do Heleny wdowy, z usprawiedliwieniem się, że on nic a nic nie winien, spełniał rozkaz Hetmana. Obiecywał wszystko, co ona mu każe, a w nagrodę nie nie żądał.

— Com przyrzekł, to cudze ręce zrobią — tak sobie powtarzał — a mnie Car nagrodzi; a może i jego nagrody nie będą potrzebował, sam ją wezmę. Kobieta nie zawsze płacze, nie zawsze się gniewa. O tak będzie lepiej. Służbie przykazał jak tylko Naum przyjedzie, żeby go zaraz stawiono przed nim.

W Perejasławskim zamku była dziewczica, blada, ładna, a taka nikła, taka wiotka, jak gdyby do aniołów się wybierała. Po bogatych komnatach wieje się, jak samotna gałązka powoju po szerokim stepie. Na niej termolama, złote lany, sobole, drogie kamienie, a ona ani się im uśmiecha, ani je ręką pogładzi; przy niej mnogie sługi, a ona im słowa nie mówi, ni tak, ni tak. Przynoszą wykwintne jada, wykwintne napoje, ledwie ustami dotknie, natychmiast odtrąca. Teorbaniści drumczą, ona nie śpiewem a westchnieniem wtóruje drumkanie; janczarska muzyka gra, nie skacze a płacze, wciąż ku oknom namaga, jak ptaszka niewoli, i wtenczas resztki żaru roznieci się w oku, i wtenczas stanie jak przypomnienie tylko, bo już ona taka, jak gdyby nią nie była.

Ojciec zaprzepścił własną dziecinę, a ojca odesłano gdzieś daleko od czuwania nad swą dzieciną. Tak chciał Pan Marcin Ciecziura.

Już dobra chwila jak młody Hetman wszedł do komnat Putywlanki, a ledwie kilka słów przemówił do niej. Oboje tak byli jakby po długiej a długiej chorobie z łoża cierpienia na świat wstali. Spojrzał na siebie i nie wierzą czy to oni.

— Parasko. —

— Panie Hetmanie. —

Próbowały się głosić i na więcej odważyć się nie mogły. Jerzy za rękę wziął dziewczę, tak jakby jej podpory błagał.

— Parasko, ty nieszczęśliwa! —

Westchnęła dziewczica i to stanęła za słowo.

— O i ja nieszczęśliwy! bardzo nieszczęśliwy. —

Rękę dziewczicy przyłożył do swoich oczu, i płakał w białą dłoń. Putywlance żał Jerzego.

— Hetmanie, co tobie jest takiego? —

— Co mi jest? co mi jest? ja nieszczęśliwy! —

— Pan taki? —

— Niech sobie zabiorą to państwo. Na co mi ono. —

— Dla szczęścia Ukrainy. —

— A dla mego szczęścia? —

— Dla twego Panie? —

— Nie, nie. Tak Parasko prawda. — Rękę dziewczicy wypuścił, a swoją przyłożył do oczu.

— Nie płacz Panie. —

— A cóż będę robił?

— Bądź szczęśliwy Panie. —

— Bądź szczęśliwy? bez ciebie Parasko? — oczyma domawiał swojej prośby, i w tych oczach zmęczonych życiem, iskierka żywa zabłysła. Dziewica wzięła go za rękę.

— Panie, ja ci będę siostrą, najlepszą przyjaciółką —

— O! nie Parasko! ty będziesz moją żoną. — Ukląkł przed nią. W drugiej komnacie jak cień mimo drzwi przesunął się mnich Filaret, Hetman usłyszał jego kroki, zajrzał czarną szatę, zaczął modlić się przed dziewczicą.

Wszedł mnich, z uśmiechem przewagi na twarzy, z uśmiechem mistrza groźnego, kiedy widzi potulną twogę ucznia. Wstał Jerzy z klęczek, oczu nie podniósł w górę.

— Filarecie co tam takiego? —

— Atamani kurenni czekają na rozkazy, —

— Filarecie ty wiesz, Marcin wie. Powiedźcie im. —

— Nie będąż oni widzieli Hetmana swojego? —

— Ja chory, ja niedomagam, powiedźcie. — Putywlanki oczyma prosił: pomóż mnie. Czernca prosił oczyma: zostaw mnie.

Czerniec dobył znaną flaszę, tą razą Jerzy jak dziecko do cacka do niej się uśmiechnął.

— Daj mi, mam pragnienie. —

Powoli, niby dracząc się, Czerniec podawał, Putywłanka stanęła koło niego.

— Panie Hetmanie. —

Ale on porwał flaszę, pił, pił aż do dna, ledwie Czerniec wyrwał mu ją z rąk.

— Powiedz, niech czekają. —

Rzucił się na wezglowie; obudwoma rękoma z czoła rozgar tywał włosy, a z włosami niemoc razem. Jak węgiel ogniem nadpoczęty, czerwienieje, nim żarem się roziskrzy, tak twarz i oczy hetmańskie roziskrzal ogień życia, już goreje.

— Putywłanko moja, panuj nademną, panuj ze mną. Patrz jaki ja pan! Gdzie Nizowe stepy się kończą, kędy Doniec rzeka płynie, po lesiste Słuczy brzegi, po Siry Boh, aż do Budziackiej krainy, do stepów Bielgorodzkich, po Czarne morze, Perekop i Nogajskie bezludzia, wszystko to moje! I biały car więcej ziemi nie ma. W Kijowie, w Braclawiu, w Owruczu, w Czehrynie, w Trechtymirowie, w Żytomierzu, w Putywłu, w Starodubowie, w Lubni, w Kremenczuku, po siolach i grodach, po pustyniach Ukrainy mnie znają za pana, a ja nad ciebie nie mam, nie chcę mieć innej pani. Niech król Lacki tyle wojska wyprowadzi co ja: świsnę, a sześćdziesiąt tysięcy rejestrowców w jedno imię pod bronią stanie. Huknę, a czterdzieści kureni Zaporoża z kopyta wyskoczy. Jak się mi przywidzi, to pięćset tysięcy samej jazdy z Ukrainy wyprowadzę. Koni nie zabraknie, a Ukrainiec do konia się rodzi, w strzemionach rośnie. Świat cały zawojuje, pałac z czystego złota dla ciebie wystawię. Zobaczysz moja Putywłanko. —

Stał przed nią i za obie ręce ujął, a ona chyliła czoło ku ziemi, a nie śmiała mu w oczy spojrzeć, nie śmiała odejść od niego. Jak naleć śniegowa nie lgnie do gałęzi, czeka słońca, czeka wiatru żeby ją ztamtąd oderwał, tak i ona była piękna, uroczą tą niesamowolą.

— Tak, tak Putywłanko, ty nie wiesz co to ja za pan; ty nie wiesz, nie pojmujesz co to naród kozaczy. Mój ojciec z wojska kozackiego stworzył kozaczy naród, a ja z narodu postawię państwo kozacze, i moi potomkowie będą z niem królować, carować po wieki wieków, tylko ty Putywłanko zechciej. —

Chciał przytulić do siebie Putywłankę, ramię zaokrągił, twarz pochylił, a ona mu się wywinęła z ramienia; tak lekko, tak szybko jak cień.

— Panie, panie, zlituj się nademną. —

— Litować się nad tobą? ty, ty zlituj się nademną. — Gonił za nią, chwycił za szatę, wymykała mu się promieniem, wiatrem.

Putywlanko, ty mnie nie chcesz? Sluchaj. — Stuknął nogą o posadzkę, tak jak to czynił nieboszczyk Bohdanko, kiedy gniew w nim się zapalił, albo chciał puścić postrach na ludzi. — Sluchaj, ja tu pan, co ja chcę to być musi, ty musisz być moją żoną. —

Groźnie się nastawił, Putywlanka się nie załękła.

— Panie, nie prosta Kozaczka tobie za żonę, ale królewna, ale carówna. Księżniczka jaka przynajmniej dla Hetmana Ukrainy. —

— Ha! to i ty mnie gadasz słowami Ciecziury? poczekaj, dam ja temu psu. O! bez niego się obejdę. Mam ja dosyć sławnych pułkowodców; wszyscy towarzysze mego ojca wrócili do mnie: dziś z Zaporozża przybyli do mnie: Chaneńko, Woroniecz, Czajka, dwa Sirkowie, same czoło Starszyny Koszowej. Ho! ho! obejdę się ja bez niego. —

Młody Hetman jak gradem sypał słowami, a oczyma jak błyskawicami migotał. Putywlanka już nie blada; krasna żywym rumieńcem, patrzy, słucha Hetmana.

— Tak, tak moja luba, ty będziesz moją; ty jesteś moją. — Chwycił za obie ręce. — Jaka ty ładna, jaka ty rumiana, o kochaj mnie, kochaj. — Pocałunek chciał dać.

Umknęła się pocałunkowi.

— Puść mnie, puść, ja nie chcę. —

— O! nie, nie, nie z tego nie będzie! Ty moją być musisz, dziś, zaraz. — Mocniej rękoma trzymał, garnął do siebie dziewczę, a tchu na mowę mu brakło.

Wydarła mu się z rąk.

— Nigdy! nigdy! —

Do ściany się ciśnie, rumieńcem woli, wzrokiem woli powstrzymała na chwilę Hetmana. Tu drzwi się otworzyły, pojawił się Marcin Ciecziura. Jerzy Chmielnicki do szabli się porwał.

— Ha, psie przekłety! — Tak świsnął szabłą, aż oddźwięk w drzazgi się posypał; to pierwsze cięcie hetmańskie. Putywlanka go wstrzymuje za rękę.

— Puszczał mnie, zabiję psa, zabójcę mego szwagra zabiję. —

Wyskoczył z komnaty, a dziewica stała w miejscu.

— Nie, nigdy, nigdy — On tu. —

I szła ku oknu. Sad widać, a przed sadem żelazne kraty, popatrzyła i dłoń w dłoni złamała.

Od czasu jak Jan Wyhowski złożył Hetmaństwo w ręce Jerzego Chmielnickiego, nigdy nie zbiegło się tak wiele starszyny kozaczej do młodego Hetmana jak teraz. Jedni mówili; Wyhowski dotrzymał co przyobiecał, inaczej uczynić nie mógł; drudzy powiadali: Wyhowski woli być lackim Wojewodą, jak Hetmanem kozaczym; to nie dobrze, i wszyscy garnęli się do młodego Chmielnickiego. Zapomnieli, albo nie chcieli mu pamiętać zabójstwa szwagra Daniela. Zaporozże przysłało swoich

starszych, z uznaniem go za Hetmana. O Czehryńcach tylko nie było wieści, i o kilku ze starszyny nieradych nowemu panu, ale o to mniejsza. Widzieli jak z nagą szablą gonił za Marcinem Cieciorą; ten poskok gniewu przypomniał ojca, i dobrą otuchę w serce kozackie wlał. Umie się sierdzić, będzie umiał panować. Kto o sobie tak żartko stoi, ten będzie umiał stanąć i za naród swój.

Cieciora ledwie potrafił schronić się przed gniewem Hetmana. Poznał że z ostrzem miecza żartować niewygodnie. Kiedy się Hetman udobruchał, a on stanął przed nim z pokornym przeproszeniem, nie ważył się słowem jednym przeciwieć jego woli, i słuchał i na wszystko mówił:

— Jak każesz, Ojczy Hetmanie. —

W Jerzym grała jeszcze gniewu reszta; w obec wszej starszyny wolę swoją jawił:

— Panowie Bracia! Mniehem być przestałem, i żebym nieprawdę w oczy cisnął tym, co mnie, Hetmana Ukrainy, mnihostwem przedrzeźniają, Was zapraszam na moje ślubowiny. Żenię się z Paraską, córką osadniczego Prokopa, dziś pułkownika Czehryńskiego pułku, mojej przybocznej straży. Nie chcę ani królewny, ani carówny, ani księżniczki żadnej; z tego ani wam nic, ani mnie nic. Ja syn Bohdana Chmielnickiego, Kozak i nie więcej, innej za żonę mieć nie chcę, tylko Kozaczkę. Tak, tak, ja się nie sromam mojego rodu, a jak mi kto go będzie wyrzucił, to tak zrobię, jak zrobił mój ojciec. Pamiętacie po Batowskiej sprawie; z was to wielu panięta panowie bracia. Wielki Hetman koronny, dawny panek lacki, choć w niewoli, jeszcze dumny, sarknął ojcu: Chłopie hołyszku, czemu zapłacisz Tatarskie rycerstwo, co za ciebie wojowało? Uśmiechnął się Bohdanko. Tobą panku; na całą odpowiedź dał, i Wielkiego Hetmana przebranego w chłopską siermięgę posłał Hanowi w Jasyr. —

Stare twarze towarzyszy Bohdanka wąsami mrugały na potakiwanie prawdzie, a wszystkie szable stuknęły na poklask. Jerzy dalej mówił:

— Tak i carom i królom, choćby jakim, my zrobimy jak potrzeba; tylko chciejmy panowie bracia, a pokażemy wszemu światu, że po Bogu Kozak pan świata. —

Wrzasnęły głosy, aż zadudniły sklepienia.

— Hura! hura! niech żyje nasz Hetman! —

Starym obyczajem porwali młodego Hetmana na ręce, i podrzucali nim w górę.

— Hura! hura! —

Szczera radość na wszystkie twarze padła; szczerze wesele ze wszystkich ust leciało. Te wybryki hulaszce trzem ludziom jakby nie w smak idą. Jeden więcej krzyczy, więcej się rzuca jak drudzy, niby pływacz co pływać nie umie, a udaje; niby

człek pierzchliwego serca, co krzykiem i przechwałkami chce zagłuszyć teńorzostwo; drugi zatęsknił na dobre, stał i muskał dumki po wąsie; trzeciemu młodemu Hetmanowi szumowiny zapalu konały w uściskach kozacych.

Wieść o Hetmańskim weselu przyniosła pohulanę całemu narodowi w Perejasławiu; hojno szafowano wódkę i świninę, linię i śliwki; była uczta taka suta, jakby nawykli dawni Hetmanowie sprawiać przy wychodnem na dalekie wyprawy, albo po powrocie z wypraw. Teraz o żadnej wyprawie ani słyhać; żaden watażka nie powraca nawet z lichej wycieczki. Gdzie niegdzie słyhać między starem kozactwem balakania. W Putywlu była uczta. Hetman szwagra pokarał śmiercią.

W Perejesławiu uczta. Hetman się żeni, jeszcze to nie wielkie rzeczy, ale to syn nieboszczyka Bohdanka. Chmielnicki, krew nasza. I z młodem Kozactwem się weseli, a po całym mieście muzyka, śpiewy, wrzaski, pohulanka taka, że aż ha!

Młody Hetman biesiaduje.

— Hej złotego wina w czarę! —

— Nastawił czarę z czystego kryształu, na kryształ złoci się archanioł Michał, opiekun kozaczy, a w kryształ oliwą leje się stary Tokaj.

— Za zdrowie wszej Kozaczyzny! —

Pokłonili się wszyscy.

— Tylko mnie Hetmanowi takie zdrowie pić! a czaryz której Hetman pił nie tykać ustom niczym. —

W górę czarę wyrzucił aż pod sklepienie; brzęknęło szkło, i rozbryzgamii na ziemię padło.

— Hura! hura! Niech żyje nasz Hetman. —

Brzęknęły czarki o zęby, i po jednym hańście próżne do góry się wzniosły w kozacych rękach, przewróciły się otworami, i ani jedna kropla nie spadła na paznogieć, tak szczerze wypili za zdrowie Hetmana.

— Hej wina, a tego zamorskiego, w złote puhary. —

I już wino perli się w puharach.

— Cześć! cześć Panom Starszyźnie! —

— Wina! wina! do dna panowie bracia! Lach mówi: na dnie w kielichu prawda; czy my damy prześcignąć się Lachom w szukaniu prawdy? Braci Koszowych! — Hej panowie Atamani, nie pokłonem a winem dziękować nam! Wina! wina! nalewaj, a w bród. —

— Pamięć Bohdanka Chmielnickiego! —

Hetmar porwał za nóż, nadciął palca, i krew w kielich skapała.

— To krew Bohdanka! dla was! dla was do ostatniej kropli gotowa płynąć. Krew własną piję, truciznę wypiję za kozaczą sławę. —

Perejesławski zamek zatrząsł się od okrzyków, a biesiada szumi dalej.

Skinął jeden ze służby na Marcina Cieciorę, znak to umówiony, przybył Naum pohany. Lisem wysłiznął się z biesiady, a kiedy wrócił, wniósł z sobą dobrą wieść, bo wszystkim z ukradka w oczy patrzył, a sam z siebie był rad. Niby z przypadku zbliżył się do młodszego Sirka, odwrócił twarz Zaporoziec, jak od psa wołokity. Cieciora zaszedł z drugiej strony, i Sirko rzucił mu wejrzenie, jak psu kawał chleba, żeby się odcepić. Cieciora wejrzenie przyjął za dobry pieniądz, i w duch w rozmowę się wdał.

Sirko widno zburezał Cieciorę, brwiami namarszczył jak gdyby na wszystkich djabłów mrugał; Cieciora odszedł ruszając ramionami.

— Tem lepiej, przyjdzie koza do woza. —

Nazajutrz dzień młody Hetman jeszcze nie rozcumany ze wczorajszej biesiady, pobiegł do Putywlanki. Komnaty puste, sługi nie wiedzą gdzie się podziała Pani. Po raz pierwszy Jerzy Chmielnicki, naczecz, zaklął w diabła, w ojca i matkę, i tak zalażał, że aż kozacze się zasromaly uszy; trochę się uchodził.

— To sztuka jaka holubki, szukać mi jej wszędzie.

Stał, patrzył, żadnemu kątkowi nie przepuścił.

— Ha! bisy przekłete zaraz mi ją znaleźć, czy na ziemi czy w niebie; bo jak nie, u trzysta tysięcy djabłów i niebo i ziemię spale. Ja Hetman. —

Cieciora najgorliwiej szukał, i bardzo niespokojny był; przystąpił do Hetmana, odciągnął go na stronę.

— Hetmanie, bracia Koszowi odjechali z rana dziś. —

— I cóż z tego u diabła? —

— Jeden z Sirków Putywlanki znajomy dawny. —

— Ha, ha, co? —

Cieciora ręką machnął, a Filaret z flaszą się zbliżył.

— Precz, precz z tem. — Odlewem ręki we flasze stuknął, trunek czarny po posadzce się polał. — Koni, koni co żywiej; na koń bracia! Temu laską koronę dam, kto mi żywą, czy zmarłą Putywlankę dostawi tu; tego Moskwy Carem zrobię, kto psa huncwota przywiezie mi łeb. Hej bracia na koń! nuże w posciigi. —

Rzą konie na dziedzińcu, ogień z kamieni krzeszą. Hetman wybiegł, wskoczył na koń lekko, żwawo. Krzyknął rażno gromko.

— Do braci Koszowych w gości: za mną! za mną! —

Z kopyta pomknął szparko, a kozactwo sotniami poskoczyło za nim. —

Kiedy tak Jerzy Chmielnicki z powijaczek się wydobył i zaczął sam po swojej woli chodzić, Czarnobrewka jak tylko przy-

jechała w Czehryński zamek, od razu tam panią się stała. W kilka dni przyjechał Paweł Tetera, i chciał być opiekunem, obrońcą wdowy po wuju, ale Helena wnet do niego przemówiła:

— Com powiedziała w Kijowie, to święte słowo. Kto mi dotrzyma, to i ja temu dotrzymam, a teraz Panie Pułkowniku Czehryńskiego pułku, ja tu Pani; ja córka Bohdanka Chmielnickiego, jego dziedziczka w Czehrynie. —

I rozkazywała.

Przybył Ładyński ze swoim poselstwem. Helena na uśmiech się zebrała.

— Ja wierzę temu, ale przyrzekłam to pamięci męża, przyrzekłam sobie, że ten mi będzie mężem, kto pomści Daniela Wyhowskiego. Niech Marcin Cieciora przyniesie mi głowy tych wszystkich, co przyprawili o śmierć Daniela, a ja zostanę jego żoną. —

Ładyński milczał, poglądał na czarnobrewkę, ona wstrząsnęła głową. —

— Dziwne żądanie prawda, ale kto pragnie szczerze mojej ręki, to może mi oddać swoją głowę. —

Na tem się skończyła odpowiedź posłowi.

Często, codziennie prawie wychodziła na mogilę za Czehryń, tam stała, wodziła wzrokiem dokoła, i wracała do zamku, raz tylko starej piastunce powiedziała:

— Chwedoru, tu na tej mogile zaczęłam snuć pierwsze pasmo śmierci mojego męża; tu na tej mogile dosnuję pomstę za jego śmierć. —

Wtenczas u córy Chmielnickiego Bohdana odezwało się serce strapionej żony, i chwilę zapłakała.

Paweł Tetera dziwnie takóŜ postępuje. Ma pułk Czehryński na rozkazy, a niestara się gromadzić koło siebie więcej ludzi, i nie nie przyrządza do pomsty; nawet gadają w Czehrynie, że wysłał do młodego Hetmana z zapewnieniem, że on mu nie wróg. Wciąż listy szle a szle do Warszawy, i ztamtąd odbiera odpisy przez wiernych gońców.

Dnia jednego już pod wieczór, przybiegł młodziec na wrotnym koniu, w samej bramie zdybał pułkownicę Czehryńskiego.

— Pawle jak się masz? —

— Jako tako Grzegorz; a ty jak? —

— U sto djabłów, widzisz żem na koniu. —

— Cóż cię zagnało do nas w goście? —

— Nie do was, ale po was. —

— A to jak? —

— Konstantyn was do tańca zaprasza. —

— A z kim? —

— A z kimże u djabła, jeśli nie z tymi, co Daniela sprzątnęli. —

Pomyślał Paweł.

— Ja tu nie Pan. —

— Cóż ty do licha? —

— Sługa. —

— A twój Pan kto? czy nie Juryszka? —

— Nie. Tu Pani, Helena Wyhowska. —

— Na licho przyszło kozakom, żeby spódnice im hetmamiły. — Dziko się uśmiechnął. — Ale kiedy tak, to nie ma co robić; skacz wraże, jak Pani każe. Chodźmy do niej. —

Skoczył z siodła, po orlemu strzepnął się z kurzu, i po orlemu zapanoszał.

XIV.

BITWA NA STEPIE.

NARADA W REFĘKTARZU.

Za Perewala lasem step, morze niezgonione okiem; wiatr burzany czesze, i niby fale morskie balwanami hasają; mogiły znaki pochodowe kościennice wojennych ludzi, nad burzami się wiją jak wiry rozdasanego morza, a nigdzie tam szlaku bitego, nigdzie przyznaki deptanej ścieżki. Kiedy gwiazdy na niebo powscho-
dzą, jak żeglarzowi za przewodniczki służą; kiedy dzień jasny pojawi się ze słońcem, oko Boże wie dzie jako tako przez step dzieci Boże; ale kiedy w nocy anioły gwiazd nie pozapalają, i księżyc nie oświeca, kiedy w dzień słońce chmurami się zasuje, wtenczas przestworze bez końca i wieści, tajemnica Boża! na kolana, na kolana, modlić się i w piersi się bić, a czekać Bożego zmiłowania.

Takby robił każdy człowiek świata tego, ale kozak, to nie. Korzy się i modli przed Bogiem, ale na samo zmiłowanie się nie spuszcza. Mówi: szatnijmy się a po szczeremu, to Bóg nam dopomoże. Step, to jego życie, jego kochanie. Pisklęciu, w ucho mu matka szeptała o stepie. Dzieciną, bosaka w step biegał. Młodziec, po stepie koniem hulał. Starzec, wędrował w step, żeby tam ucziwie umrzeć. Djabeł go tam nie otumani, bo wszystko co żywe, i co nie żywe, jemu jak bratu rodzonemu wygada co słyszało, co widziało.

Dla niego czajka kihicze i po nad jednym miejscem bije skrzydłem i woła: tu zbieg się chroni. Sroka skrzekotaniem zaprasza na ciekawą rzecz. Dzieciół podlotem prowadzi do futoru, do wierzb strażnic brzegowych wody. Wrony i kawki stadami szparko lecąc obwieszczają: spieszymy na świeże tokowisko bójki ludzkiej, albo bydłowego padła, też same czarne stada kiedy wracają z krwawego żeru, opieszale i milczkiem szybują, a przypadają często do ziemi. Orzeł różnie mu znaczy: w dzień

klekocze, dla swawoli w wietrze się przewraca, daleko on daleko od ludzi; strzałą goni pod obłokami, puścił się w podróż, od Kaukazu do Tatrów; z nad Donu na Dunaj; do ziemi się kulką spuszcza, upatrzył zdobycz, z obłoków przypląwił się niżej, zaszybował kołem jednym, drugim, ludziom się przypatrzuje. Kiedy dzikie gęsi zagęgają, nie blisko siedzib ludzkich, a kiedy małe ptastwo stadami purcha, nie daleko siolo czy jaki tam futur. Zoczy dropie tabunami się pasące, step to szczery. Stado szpaków zaczernieje, nie daleko hajdaje z wołami, z owcami czabany, a przynajmniej tabun koni. Kania i sokół w otwartych stepach lata. Jastrząb szuka przyłasków. Bocian zaprasza do ludzkiego mieszkania, żurawie do pustyni wabią. Czapla kochanka woła kozaka do wody, do ryby. I w nocy mu przepiórka suche pole głosi, derkacz i baraniec od oparzeliska odwodzą. Sowa poświstem mówi, daleka to pustynia. Puszczyk złowieszczy dla wszystkich kozaków do ciepłej izby przywołuje. Tak kozak ptastwem posługuje się i w dzień i w nocy.

I zwierz mu w stepach sługą, przewodnikiem. Na trąbienie wilka nie jedzie, ale kiedy zdąży uśpiężyć za skomleniem i tatarskimi oczyma, to pewnie między ludzi zajędzie. Sumak mu bezludzie zwiastuje; lis sznurkuje koło koczowiska. Zna on ziola i drzewa gdzie jakie rosną. Zna gadziny i owady gdzie się które snują. Wszystko to mu staje za bite szlaki, za języki ludzkie, i tak jeździ po stepie jak po kraju zastawionym w siola i grody.

Tak i Hetman z kozaczemi sotnicami stepem ciągnął ku Zaporozu. Co najsprytniejsze z pomiędzy sprytnego kozactwa, rozgania na wsze strony; wilki i sumaki ploszą po stepie; czasem z bratem Zaporozia się zjadają, a nigdzie wieść o dziewczynie Putywłance.

Młody Hetman jakby inakszy człowiek się zrobił, rosę tylko pije, a jeszcze się nie wytrzeźwił. Trzy doby jak z Perejesławia wyjechał, a taki zuch jaki tam był przy biesiadzie, i po biesiadzie kiedy na koń wsiadał. Step mu na zdrowie, bez dachu i pieluchy synowi Bohdanka służy, nakoniec Chmielnickiego zagrała w nim krew. Jakby zrodził się w stepie, tak po nim jeździ, a Putywłanki mu się chce.

— Moskwę nauczę, Lachom dam, Wołoszy Piotra napędzę, Bisurmanom urznę kurtę, skórę wykropię Tatarom: Świat cały mnie popamięta, jak dziewczyny kochanki nie znajduję. —

Czwartej doby w prawo i w lewo obozu kozaczego słyhać było skomlenie wilcze. Kozacy na czatach uchem kładli się do ziemi, wyraźnie słyszeli powykiwania mnogie, a swarne; nawet zasłyszeli szerkotonie szuwaru; nie często płowi bracia zatrzymali się powietrzyć kozaczy obóz, spieszyli gdzieś a w jedną stronę. Kilku ciekawych poszło w zwiazdy, i wśród ciemni wi-

dzieli, jakby gromady świętojańskich robaczków wędrujące przez stepy.

Nazajutrz dzień było chmurno, a gromady wron i kawki leciały w jedną stronę. Kozackie związdy za ich przewodem pomknęły. Górą, pod niebem, leciały stada czarnego ptactwa, krakały jakby całe niebo chciały obudzić; dołem, po ziemi, pomykali kozacy, a na odlew szablami siekli budziaki. Żaden z nich słowa na ochotę nie krząknął, nie chcieli budzić płochliwej zwierzyny.

Kozackie wojsko szło śladem ścinanych budziaków, młody Hetman jechał w samym przedzie. Stary Wysoczan choć się trochę posierdził w Putywlu, nie odstępował dziecińy Bohdanka.

— Ojeze Hetmanie to jeszcze nie Sicz. — Spojrzał w górę. — A tak to plugastwo leci, jak gdyby u sto djablów, tuż, tuż pod nosem było panów Koszowych siedliszczę. — Obrzucił do kola okiem. — O! mnie didko nie stamani. Ot tam w prawo Dniepr, a przynajmniej cztery dobre doby trzeba do niego jechać, i to po naszymu. —

Cieciura mruknął jakby dla siebie tylko.

— Może to nowe zdrady Wyhowskich. —

— Putywłanka tam, zawołał Jerzy Chmielnicki. Ja już jej nie chcę, precz psiawiaro, wszystko w pień! za mną! — Skoczył koniem.

Wysoczan pomyślał:

Biedna dziecińa dziewczyny na Siczy szuka, albo w stepie; i wartoż to ludziom wojny za taki towar karki łamać? Uparty jak ojciec, to dobrze. Chciał zawołać na Jerzego. Jest tego kwiatu po całym świecie. Ale przypomniał sobie, że to Hetman, i skakał za nim.

Marcin Cieciura jakoś zbiegl się w parę z Czerucem Filaretem.

— Jeszcze jedna godzina nasza. —

— Czy to ona? —

— Ja wiem. —

— A stary? —

— Ho! ho! już go i djabeł nie dogoni. —

— Cóż tam będzie? —

— Wykryjemy, niech się swój ze swoim poczubi. —

— A potem? —

— Djabli ich wszystkich pobiorą? —

— A potem? —

— Ty Metropolita, a ja, ot tak będę. — Wskazał piórem na czaple pióro Hetmana.

Zwiadnicy w czwał pędzą nazad. Wojsko Kozackie się wstrzymało. Przybiegli zwiadnicy.

— Ojeze Hetmanie, koczowisko zbrojnego ludu. —

— W moim stepie kto śmie koczować? —

— Nie można było dopatrzeć z bliska, żeby nie spłoszyć. —

— Dobrze, dobrze, my się dowiemy. Koniem zakręcił.

— Hej w prawo! w lewo! tam moja dziewczyna, a wszystko w pień! rozumiecie? —

Balamuci młody Hetman, Piotra Doroszeńki nie ma. Pod Jerzym Chmielnickim pisarzować nie chciał; Marcin Cieciora szyk sprawił, a on na to praworny. Wysoczan przy Hetmanie został.

— Ojciec serdeczny, ja przy tobie. Nie pierwszy to raz Wysoczana krew poleje się przy krwi Chmielnickiego. —

— Niby półksiężycem sunie kozacze wojsko, a po rogach mnogie sotnie, gotowe do poskoku, zakołować i wroga wsadzić w księżycyca pełni. Step gładki, nie rwie się wojenny szyk, chrupczą burzany, konie stąpają cicho; Kozacy dumek nie nucą, a Hetman z czaplem piórem u czapki jedzie w samym środku półksiężycowej matni.

Ponad jeziorem stało wojenne koczowisko, ale jakaż to dziwna zbieranina tego rycerstwa. Tatarzy, Wołosza, Lachowie, co wszystko zmarnowawszy jechali osiąść na Koszu, i sprawdzić przysłowie o hołyszu, albo o szalawile. pojechał i osiadł na koszu. W drodze jeszcze pohulanką ich zawabiono. Chłoptwo, a wszystko istna hałastra, ledwie kilkudziesięciu młodców między niemi świeciło jak łabędzie między stadami gęsi. A chwacki młodiec temu wszystkiemu ludowi przywoził.

Jeździł po Zaporozu, jeździł po wszej Ukrainie, zapraszał z sobą na wojnę, a wszędzie mu odpowiadano.

— Niech Iwan Wyhowski zawoła a wszyscy pójdziemy, a tak na krew Chmielnickiego nie nam bić. —

Zbierał hałastrę i poszedł w stepy, wiedział, że to wabiec na ludzi wojennych, podróżą się podróżą, i taki pójdą na przynętę, bo im się wojny chce jak chleba powszedniego. Sam sobie powiadał: ja brata pomścić muszę, a nie powiedział: Ja Czarnobrewkę mieć muszę.

Dali mu znać.

— Idzie wojsko jakieś, Panie Watażko. —

— A z kąd? —

— Od północy. —

Przybiegł drugi zadyszany koniem.

— Ja sam na swoje oczy widziałem chorągiew kozaczą. Wywłoka psia krew tego hama Bohdana być musi. — Oba ci gońce byli Lachowie.

Szykuje wojsko Konstanty Wyhowski; zna wojnę, patrzy ludowi swojemu w oczy. Chłoptwo pospuszczało lby w dół i szemrze: my temu nic nie winni, to do nas nie należy. Tatarom nie dobrze z oczu wyziera, po za siebie wciąż okiem rzucają, i jakby przez zapomnienie konie zwracają w tył. Wołochy osowieli z przestachu, i ociężeli jak mamałyga. Młodce

pochmurnieli i milczą, bić się będą ale poniewoli. Tylko jedni Lachowie ochoczo naprzód wystąpili. Szlachta to z imienia i z czynu; na nikogo nie patrzali tylko na swoje szable.

— Panie Wyhowski zawierz nam, dalej na tych chamów; zobaczysz czy nie wysieczemy ich jak kapustę, nie wywiążemy jak snopy to szmatłajstwo. —

Konie przysiadły na zadzie, potakiwały prawdzie słów pańskich. Wyhowski liczył ich okiem, czterdziestu czterech spełna. Potrząsł głową, i gromko zawołał do wszystkich:

— Boju nie będzie. Ja jadę do Hetmana. —

Konia odwrócił, Lachowie konie tręcili.

— My ciebie nie opuścimy, z tobą pójdziemy wszędzie. —

— I ja z wami. —

— Daliśmy słowo nie zdradziemy. —

— I ja was. —

Młodce ruszyli się z miejsca, ale Konstanty machnął ręką, i oni w miejscu zostali. Jechał brat Daniela do kozaczego wojska, a Lachowie za nim; rażno szły konie przy koniach; hulaszczo jeźdce na jeźdców pozierali, oczyma mówili do wodza: tylko pozwól, a dobytymi szablami domawiali: damy im, damy.

Już nie daleko, Konstanty obrócił się do Lachów.

— Bracia, tu zostańcie. —

— Nie, z tobą pójdziemy. —

— Ja każę, ja wasz wódz Panowie bracia. —

Lachowie stanęli, ale wzrokiem ślad w ślad idą za Konstantym Wyhowskim, i szabel w pochwy nie schowali.

Konstanty szablę w pochwę schował, zdjął czapkę i tak biegł ku kozaczemu wojsku. Kozacze wojsko się zatrzymało, a ze skrzydeł sotnie ciągnął się dalej.

Stanął Konstanty przed Hetmanem, ale nim usta otworzył, głos Jerzego zabalakał:

— Gdzie Putywlanka, psi synu? —

— Panie Hetmanie, nie rozumiem. —

— Czego chcesz? —

— Sprawiedliwości Panie Hetmanie. —

— Sprawiedliwości, ha psy przekłete! żonę mi kradniecie, wydzieracie, i jeszcze sprawiedliwości? —

Konstanty czapkę przykrył głowę.

— Tak, sprawiedliwości Panie Hetmanie. Sprawiedliwości za śmierć Daniela Wyhowskiego, mego brata, twego szwagra.

— Ha! ha! — Nim zerknął Wysoczan na młodego Hetmana, już on wychwycił pistolet z za pasa, i palnął.

Słowa nie wymówił Konstanty Wyhowski, schwycił się za bok i z konia zleciał.

Lachowie to zajrzeli, i z kopyta w cwał pomknęli; ale i Marcin Ciecjura okiem czuwał. Z sotniami Lachom drogę zasko-

czył. Lachy tną po swojemu, kozacy kolą, na pohybel Lachom krzyczą.

Gdzie młody Hetman? Wojna go rozcumaniała, już nie pijany, ani gniewem, ani zapałem, ani żalem za Putywłanką; na jeden tylko rozkaz się zdobył.

— Niech ich rozbronią, niech się bić przestaną. —

Darmo mu Wysoczan gadał.

— Taniec zaczęty, trzeba kończyć Panie Hetmanie. —

— Ja nie chcę, ja nie chcę. —

Do Filareta się zbliżył, z flaszy pił i nic nie pomagało; z konia zlązł, łzawił oczyma, na kolana padał modlić się.

Wysoczan sarknął — Lachy co do jednego wyginęli, ale każdy z sobą zabrał najmniej sześciu kozaków na tamten świat. — Ciecziura skrawiony, z pocałunkami lackiem na twarzy przybieżał.

— Hetmanie, zwycięstwo nasze. —

Jerzy Chmielnicki już nic nie odpowiadał, tylko patrzył na ludzi niepewnym wzrokiem, a opierał się o konia, taka go drząka napadła. Trup Konstantego Wyhowskiego tuż nie daleko leżał. Cała hałastra w koczowisku się poddała, tylko Tatarów jak zające po stepie uganiano, a garstka młocdców Zaporozża poszła w step i nikt jej nie zaczepiał.

Ciecziura już trochę śmiejeł między swoich szepnął:

— Wywłoka, zabójca. —

Przyszedł do Jerzego Chmielnickiego.

— Panie Hetmanie, jakie rozkazy? —

Jerzy milczał, w dłonie patrzył; i z dłoni nie wyczytać nie mógł.

— Panie Hetmanie, do Siczy pójdziemy. —

Skinął głową.

— Może gdzie nadybiemy Putywłankę, to Wyhowskich sztuki, ja mówiłem. —

— Putywłankę? tak — tak. —

W tem wymówieniu było coś podobnego do pacierzowego amen; na tem skończył, nie wskoczył na koń, i nie zawołał: za mną!

Marcin Ciecziura pokazywał Kozactwu młodego Hetmana, jaki jest, i sam hetmanil.

W Warszawie królewskim grodzie, w domu Jezusowego zgromadzenia zebrała się rada. Na około stołu na którym stał krzyż z ukrzyżowanym synem bożym, w dwunastu poręcznych krzesłach siedziało dwunastu czarnych ojców, a bobrowe czapki leżały im na kolanach. Pośrodku między sześcioma, a sześcioma, na wyższym krześle wzniesionem o jedno podnoże, siedział także czarny ojciec z odkrytą głową, a na przeciw niego

przez stół, na ławce był równie ojciec czarny. Blade ich twarze, a takie nieruchome, że zdaloby się, że oni a nieboszczykowie wiszący na ścianach, to jedno: u góry na płótnie malowani, koło stołu z kamienia wykuci; tamto wizerunki, a to niby posagi ojców czarnych już dawno zeszyłych z tej ziemi. Milczenie było wielkie jak na stepie, tylko czasem skrzypnęły ramy okien, stawiając zaporę ciekawemu wiatrowi, żeby nie wyniósł jakiej tajemnicy z tej rady na świat.

Zawisli w rozpamiętywaniu, cicha modlitwa trwała; i potem najstarszy przemówił z między nich:

— Ojcie Piekarski mów. —

Z ławy odezwał się głos:

— Ojciec wielebny, byłem wszędzie, i widziałem co za niebezpieczeństwa; bractwo które zowią bobrowem, pod nasze się imię podszywa, słowami wiary frymarczy na jakieś korzyści światowe; kłótnie na Ukrainie, a ku nam nienawiść budzi. Wojewoda Kijowski jeszcze bardziej ku nam niżeli dawniej był zniechęcony. Ukraina będzie na długie czasy dla prawego kościoła zamkniętą. —

— Ojciec, cóż najwięcej do tego przeszkadza? czy oprócz tego bractwa nie masz innych powodów? —

— Nie masz wielebny ojciec; stek to ludzi i nie katolików i nie Polaków. —

— Trzeba radzić. — I zamilkł ojciec Prowincjał.

Czwarty z porządku podniósł się, Prowincjał skinął ręką, a on mówił:

— Gdyby to bractwo służyło kościołowi jedynemu, nie można by mu za złe mieć: że Polak, Hiszpan, Włoch i każdy, znika stając w szeregi kościoła. Nie masz tam człowieka narodu, tylko człowiek kościoła jedynego nad wszystkimi, powszechnego dla wszystkich; ale kiedy ono i kościołowi nie służy i na nas ściągą obmowę, to zagraża niemożnością działania dla dobra naszego zgromadzenia. —

Szósty z lewicy otrzymawszy pozwolenie, głos zabrał:

— Obmowa nas wszędzie dosięgnie. Mocarze zwać nas będą obrońcami wolności, ludy podporami ich ciemiężycieli; bo Chrystus swoją wiarą stanął między wolnością a władzą. Stosownie do potrzeby, dla równowagi dobra, swoim uczniom kazał popierać władzę, jeśli wolność przechodzi w rozuzdanie porządku; bronić wolności, jeśli władza spieszy od porządku do ucisku. Ta to harmonja porządku z wolnością stanowi doskonałość i trwałość wieczną wiary syna Bożego, i moc naszego kościoła jedynego. Mniejsza więc o obmowę, rzecz idzie o wzięcie pod rozwagę: jakie skutki może sprowadzić działanie tego bractwa przeciw Wojewodzie Kijowskiemu na pożytek kościoła? —

— Żaden. — Odezwał się ojciec Dąbrowski, drugi od lewicy.

— Nasze zgromadzenie powinno zaprzecić się tych, co naszym imieniem pokrywają swoje zło, i prawdę przed światem wyświecić. Co zaś do Wojewody Kijowskiego, ojcze wielebny, nie trzeba wątpić, że człowiek, choćby jakim błędem uwiedziony, prędzej czy później, przyjdzie do prawdy, jeśli ma wiarę i odwagę; odwaga jest rzeczą najprostszą, a wiara wskazówką prawego sumienia. Zwycięzca Konotop, który wrócił całą Ukainę Polsce, może prędzej jak kto inny wrócić odszczepieńców na łono kościoła. —

Ojciec Prowincyał potakiwał tej mowie.

Czarni ojcowie, jedni po drugich usta otwierali. W końcu ręka najstarszego znakiem milczenia usta im zwarła.

— Wiecie teraz co się stało, a zobaczycie co się stanie. —

Pochylili głowy czarni Ojcowie. Najstarszy ojciec, ten co siedział między sześcioma a sześcioma, przeżegnał się krzyżem świętym, i zaniemieli w cichej modlitwie. Głośny Amen, dał wiedzieć, że oni żywi, i był pożegnaniem wizerunkom zmarłych. Kładli bobrowe czapki na głowy, i wychodzili w milczeniu, a wizerunki nieboszczyków zostały na ścianach.

Szli przez mnogie korytarze, a słowo im z ust nie wyszło; taka tam była cisza, jak w grobowych pieczarach. Jednak tamtędy wciąż płynęli a płynęli czarni ojcowie, i braciszkwowie czarni ze studiów, z nowiejątu, ze służby; jak rotę żołnierskie w takim porządku postępowali, i nie mieszały się nigdzie, chociaż jedni z drugimi krzyżowali się po stokroć razy. Nie było słychać głosu żadnego przywódcy, ani widno znaku jego; zdałoby się, że wizerunek Ignacego Lojoli po wszystkich korytarzach zawieszony, kierował tem wszystkim.

Jak najlichsi charłacy rąbią drwa, śmiecie wynoszą synowie najmożniejszych, najznakomitszych rodzin. Garbieni ciężarami posługują najurodziwsi młodzieńce, tacy urodziwi, że każdy pan polski dałby wioskę, żeby mieć takiego hajduka. Uczeni z padewskiej i florenckiej Akademii kopią grządki, a niedgdy żołnierze dzielni w boju wymiatają korytarze. Przez te próby przejść trzeba nim się zostanie czarnym ojcem: próba to i nauka posłuszeństwa.

Czarni ojcowie nie przyjmują między siebie, tylko bogatych w dostatki, znamienitych w ród, zamożnych w urodę, w rozum, w dowcip, w naukę potężnych; albo znanych z odwagi, lub zasługi jakiej. Wybrawszy taki kwiat z narodu każdego, kładą na nim znamię powszechnego kościoła. Po latach wielu a wielu, ani poznać w czarnym ojcu jakiego narodu on człowiek. Sługa kościoła, uczeń Lojoli, i nie więcej, i nie innego.

W Jezusowem zgromadzeniu starszy działa i rozkazuje, ale radzie obwieszcza co się stało, i czasami pyta jej o zdanie, ale to zdanie chowa do swojej woli. Przech radę o jego postępowaniu wiedzą wyżej, i to hamulec na samowładztwo. Ojciec Jene-

rał rządzi całym zgromadzeniem jak samowładny pan, ale ma przy sobie przybocznych, mądrych rozumem i doświadczeniem; niejako senatorów. Oni muszą wiedzieć o tem wszystkim co się stanie, i czuwają nad niepokalaniami praw Lojoli. Jeśliby widzieli grożące niebezpieczeństwo, a ojciec generał głuchym był na ich przełożenia, mają obowiązek przez rady odwołać się do zgromadzenia całego. Takim urządzeniem zgromadzenie Jezusowe stało się dzielną falangą Rzymskiego kościoła, wyborczem żołnierstwem Ojca Świętego.

Po rozejściu się rady, czarni ojcowie jeden po drugim szli do starszego ojca po rozkazy. Ojciec starszy przechadzał się w komnacie, i rozkazy dawał, jak wódz którego wojsko w ciągłym ruchu.

Z ojcem Dąbrowskim najdłużej rozmawiał, i było słyhać te słowa:

— Wiara i pokorą zniweczyć zawisć Wojewody, i czuwać, by go nie pchnęła do kroku, którego by i kościół i Polska żałowały. Drugiego Wojewodę na dobrą drogą naprowadzić; w tem nasza rzecz żeby, świat poznał, że bractwo to nie my. Z kłamstwa płaszczyk zleci, a prawda nagą zostanie.

Dalej tak przychodzili i wychodzili czarni ojcowie, i jeden drugiemu nie zwierzał tego co usłyszał, a każdy szedł spełniać rozkaz jaki mu dano. Twarze nawet w martwą nieruchomość oblekli, żeby oko jednego nie wykradło co z myśli drugiego, przez zwierciadło twarzy; chód w jednostajną miarę stosowali. Ze ścian, z korytarzy, z czarnych ojców nie a nie więcej wyczytać nie było można, tylko: Posłuszeństwo! — tajemnica! —

Tegoż samego dnia widziano, jak z mieszkania posła wie-deńskiego pana wysuwali się po jednym, po dwóch, ludzie w bobrowych czapkach, w burych kapotach; po niemiecku, po kacersku bluźnili między sobą. Dwóch polską mową do siebie przemówiło:

- Vulpiuszu, ty teraz na wielkiego człowieka wyjdiesz. —
- I wam wszystkim tak będzie, tylko dobrze służcie. —
- Tak, tak; na szkodę Polski, na obmowę Ojców Jezuitów, a na pożytek niemieckiemu panu. —
- Na pożytek nasz. —
- Ty Niemiec, a ja Polak. —
- Staniesz się Niemcem. —

XV.

ŹLE SIĘ DZIEJE.

Król Polski zasiadł na tronie Piastów i Jagiellonów, a dookoła niego Wojewodowie i Kasztelanowie, ojcowie narodu. Królewska twarz pogodna, dobrotliwa, pokojem jaśniała; sprawiedliwość i zgodę chciałyby przelać we wszystkie serca. Z wąsatych twarzy ojców narodu, wojna patrzy. I dawny Marsby się uśmiechnął, obzierając tych ludzi teranych wojną, a jeszcze nieużytych, jeszcze gotowych do wojny. I wódz niebieski Archaniół Michał, błogosławiłby sławą na odpoczynek tym co się już wywojowali; błogosławiłby dobrą otuchą tym co wojować chcą jeszcze. Tam na tych ojcach narodu wypisana cała potęga Polski; to karta żyjąca ojczystych dziejów. Wodzowie to szwedzkich, moskiewskich, bisurmańskich i niemieckich wojen. Mężowie to rady, co z Królem czuwali nad Ojczyzną, wydawali wojny, mir zawierali, i zarządzili Polską krainą. Jak tylko jaka kłeska Ojczyźnie pogroziła, wszyscy świeccy i duchowni biegli do boku Króla, wprzód rady, a potem piersią i ramieniem pełnili swą powinność.

I nie trzeba było pytać kto wojny, a kto rady mężem? Blizny, pogorzałe od wiatru i słońca lica, od myślenia łyse czaszki, od znoju siwy włos; to dowody kto był jakim.

Król Jegomość zaczął:

— Smutne wieści nas doszły: na nową się burzę zabiera na Ukrainie. Jerzy Chmielnicki nie pomny żeśmy przebaczyli i zapomnieli wszystko jego ojeu, nie pomny żeśmy przyzwolili na żądanie Pana Wojewody Kijowskiego, i utwierdzili go na odwołaniu mu Hetmaństwie, wiąże się teraz z Moskwą, i podburza Kozactwo przeciw Starszyźnie od nas zeszlachconej za zasługi. Was prześwietni Senatorowie przyzwałem do mojej rady, aby przeciąć w samym zarodzie tę nową kłeskę grożącą Ojczyźnie. Mamyli słowami pokoju opamiętywać uwiedzionych, coby było

radośnem ojcowskiemu sercu mojemu? Czy też mamy z konieczności dobyć oręża; bolałbym nad tem wraz z wami, ale musielibyśmy.

Dwóch Wojewodów w krzesłach się podniosło do głosu; jeden porywczy, szparki, ręką brodę kręcił; drugi niewesoł, zadumany wąsa musnął. Pierwszy ze słowami wyskoczył.

— Najjaśniejszy Królu i Panie mój najmiłościwszy! szablą, szablą trzeba raz na zawsze z tem hultajstwem skończyć; to gadzina; póki jej leb nie zdławić, i całej nie rozdeptać, póty kawalki będą odrastać, i jadem sykać będzie; choć się upokorzy, to na to tylko aby potem zjadliwiej ubodła. Słowa pokoju dla nich, łaski twoje najjaśniejszy Panie, uzuchwałą ich a nie pomogą. Sami nas wyzywają, podejmijmy rękawicę, i wpadnijmy na nich z ogniem, z mieczem, bez miłosierdzia żadnego. —

Skończył, a jeszcze jedną ręką brodę kręcił, a drugą w szablę stukał. Drugiemu Wojewodzie pokraśniała zadumana twarz, i z tym zapalem czy gniewem, było mu dobrze.

Królu i Panie nam miłościwy! za słowami pojednania i pokoju proszę. I my Kozacy tak dobrze dzieciśmy twoje, Królu ojcze! dzieci Polski, jak wszyscy inni mieszkańce tego naszego królestwa. Nie nieśmy ognia i miecza na swoich, bo za ogień, ogień; za miecz, miecz; za krew, krew płaci; toście widzieli. Królu i Panie nam miłościwy, płakało twoje serce, kiedyśmy roznosili pożogi i śmierć po ojczyściej ziemi; tak, roznosiliśmy. — Od oblicza Króla obrócił się ku Wojewodom i Kasztelanom. — Ja Senator, wasz kolega dziś, szablą, co mi Bóg dał na Ojczyzny obronę, krwawiłem jej własne łono, byłem matkobójcą, a czyja w tem wina? i wasza i nasza. O piersi naszych praocjów szczybiły się i tępiły miecze bisurmańskie i tatarskie, na Polskę, na chrześcijaństwo całe wymierzone. Nasi praocjowie gnali tych barbarzyńców w głąb ich krain, i tam trzymali ich na wodzy; życiem swoim kupowali mir, sławę i potęgę Polsce; a wy dawszy nam miecz do rąk, chcieliście abyśmy się zaparli wiary naszych ojców; chcieliście, abyśmy, my wolny i bezpański lud, w poddaństwo wam poszli? Mieczem i ogniem pogroziłście nam, i mieliście mieczem za miecz, ogniem za ogień. Nikomu z osobna wyrzucać nie chcę, w czym i jak przewinił, rzecz samą pamiętajmy na wieczne czasy, imiona ludzi winnych, czyny ich puśćmy w niepamięć; a mądrzy doświadczeniem, poprawmy się, poprawmy. — Znowu się odwrócił do tronu. — Królu i Panie nam miłościwy, ty najlepiej wiesz, czy Bohdanko Chmielnicki targał się na królewski majestat, i na życie Ojczyzny matki? Mógł robić gorzej, ale ile razy twoje słowo Królu do niego doszło, korzył się i twego przebaczenia błagał. Prawdę rzec muszę Królu i Panie; nie było szczerości w dotrzymaniu przyrzeczeń, i zgoda się rwała. Po śmierci Bohdanka, prosiłem cię Królu, o słowa pokoju i łaski, tyś nam je dał, i

widziałeś że Kozactwo wiernie, i jak mogło służyło Polsce. Oddając Hetmaństwo Jerzemu Chmielnickiemu, byłbym został przy nim i błagał, a może i wybłagał wiarę dla matki Ojczyzny, ale niechęć, zawisć przeciw mnie siano; chciano, bym był ziarnem waśni w moim narodzie, i ktoż to chciał? żal mówić. — Polacy z naszego grona! — Mniemali że kłóćąc na panowanie sobie kłecą: ta to niecna prywata nas gubi. Teraz szlijmy im słowa zgody, to bracia nasi, a jeżeli obcy w nasze zwady się miesza, wtenczas do miecza, do miecza. Królu i Panie nam miłościwy, przebacz moim słowom. I wy koledzy Senatorowie przebaczcie; rzecz idzie o Kozactwo, a ja Kozak jestem!

Skończył Wojewoda Kijowski. Wojewoda Ruski nie słowami, ale kręceniem brody odpowiadał; w brodę motał swoją niechęć. Jeden z Senatorów duchownych mówił o prześladowaniu wiary katolickiej przez Kozactwo. Wojewoda Kijowski znowu głos zabrał:

— Póki byłem Hetmanem, odkąd jestem Wojewodą Kijowskim, i kościół katolicki, i duchowieństwo katolickie szanowanemi są na Ukrainie. Jeżeli były prześladowania, to i z jednej i z drugiej strony. Kto cerkwie naszego błahocześnie wyznania wynajmywał żydom w arędę jak karczmy? Lacy Panowie; a z czyjej podmowy? tych którzy winni być pośrednikami zgody i pokoju między ludźmi wszystkich wyznań. Sromocąc nikt nikogo nie nawraca. Królu i Panie miłościwy, chrzest dzieci, i małżeństwo, i pogrzeb nie mógł się odbywać na Ukrainie, tylko za zapłatą żydowi; on miał klucze od cerkwi. Na taką zniewagę oko ludu wiernego nie mogło patrzeć bez łzy, a ta łza schła i w zemstę się paliła; inaczej być nie mogło. I możemyż my przyjąć Jezuitów między siebie? O nie, nie! Między niemi a nami na zawsze rozbrat wieczny. I jeżeli twoja królewska wola jest, aby oni weszli na Ukrainę, weź Panie miłościwy to Województwo co mi dałeś, a ja i bez tego służyć będę Polsce, jak będę umiał, i gdzie będę mógł.

Po tej mowie Wojewody Kijowskiego jeszcze trwała rada; po radzie, dwaj Wojewodowie przypadkiem wychodzili razem; Wojewoda Ruski zdąsany był na wszystkich, wszyscy mu się pokłonili ale nie z serca. Wojewodę Kijowskiego uprzejmie ściskali Senatorowie.

— Prawdy nam mówileś, ale szczere; wadzić się z sobą nie będziemy. —

Te słowa dobrą otuchę niosły Polsce; prawdziły, że Polakowi zgrzeszyć się zdarzy, ale zatwardziałym być w grzechu nie umie.

W samym kruzganku, dwaj Wojewodowie prawie zetknęli się z sobą.

— Panie Wyhowski do mnie piłeś?

— Nie do ciebie Panie Czarniecki, ale do nas wszystkich.

— Dziś twoja wygrana, a jutro zobaczymy.

— I dziś i jutro niech będzie Polski wygrana, Panie Czarniecki. —

Tak się rozeszli z sobą. Pogromca Szwedów i Moskali, i Konotopski zwycięzca.

Mieszkanie Wojewody Kijowskiego było niedaleko zamku królewskiego. Za ledwie wszedł Wojewoda, natychmiast wydał rozkaz do podróży. Późno było, a on myślał a Ukrainie, o żonie, o dziatkach. Żona do niego biegła z powitaniem, pytania z jej ust leciały jedne po drugich, a tak szybko, że odpowiedzi nie czekały. Synek jak aniołek jasno-włosy na kolana mu siada, jak konia okracza kolano, usteczkami cmoka, piętami tręca, chce czwalać na ojcowskim kolanie. Córeczka po gościniec bieży, cacka kładzie na stole; pobieży, cmoknie ojca, i znówu cackami się bawi. Dwornia, czeladź go wita; on każdemu jakiś dar przywiózł, a każdy ma mu co powiedzieć. Charty, gończe, koło niego skaczą, wyżyły mu się łaszą, konie rżą na powitanie pana; przegląda trzody, gospodarstwo; w pole wyjechał objeżdżać bujne łąny. Pozjeżdżali się sąsiedzi, starzy przyjaciele, i gawędka się zaczęła. Całe do życia domowe żywym obrazem stanęło w myśli Wojewodzie, i już to nie był ani Hetman z pod Konotopów, ani Senator dzisiejszej rady, ale Jan Wyhowski, mąż, ojciec, pan i przyjaciel. Tęsknił za tem życiem, i dumaniu swemu w odpowiedzi słał życzenia.

— Oby Bóg dał, żeby tak było w Polsce, obym takim życiem choć kilka lat pożył przed śmiercią.—

Modlitwa ta dobro przyniosła sercu, i łza dobra stanęła w oku. Nadzieja szeptała mu w ucho: Bóg ciebie wysłucha.

W tejże samej chwili głos jakiś śpiewał pieśń pod oknem:

Trzy was orły matka miała,
Już za dwoma zaplakała;
Zapłacź matko, bo i trzeci,
Niezadługo tam poleci.

Twe pisklęta w cudzej ręce,
I orlicia w ciężkiej męce;
Było siedzieć w swoim domu,
Nie powierzać gniazda komu.

Siry orle, mój Hetmanie;
Było wierzyć w me gadanie;
Oj! w Zuzuli nie wierz słowa
Bo to ptaszka białogłowa.

Zadrzał Wojewoda, głos to znany, i słowa pieśni znane. Szybko otworzył okno, i spojrzal okiem. Kradzione światło księżycy stało się snugami po ulicach, a księżycy za dachami nie widać. Na ulicy pusto, ludzie już nie chodzą, a pod domami ciemno; stamtąd nic się nie odbija, i cieniem na ulicy nie położy. Tak wychylony w oknie stał dobrą chwilę, i nic nie widział, ale tęskno mu się zrobiło.

Wojewoda Ruski wszedł do siebie pod niedobłą wolą; zastał tam Pułkownika Muchawskiego i mędrka Vulpiusa.

— Ha! teraz lada komu pierwszeństwo dają. Mosanie Muchawski; już mi teraz nie mamy głosu w radzie, Szweda nie ma w kraju.

— Czyżby to radę przelożono nad radę Pana Wojewody? —

— A pana Kijowskiego! skórka na buty! — Pokręcił brodę.

— Język na podeszwę, uszlachconego kozaka, a panowie senatorowie co na to?

— Wolą jego jak mnie. U nich lepszy z chama Pan, jak szlachcie co nie z soli, ani z roli, tylko z tego co boli. — Pokazał srebrne podniebienie. — Zasłużył sobie stanąć na równo z niemi, a może i wyżej.

— I do czegoż to wszystko doprowadzi?

— Hetmanem Koronnym go zrobią, i dziś on starszy Wojewoda jak ja; wyższe krzesło zasiada.

— Ja stary żołnierz a tego człowieka nie rozumiem; był panem Ukrainy daleko prawdziwszym jak Król Jan Kazimierz Polski; był wodzem stutysięcznego wojska, ot takiego, że człowieka po człowieku można było policzyć i palcem wskazać; i to wszystko porzucił, żeby się dobijać o Hetmaństwo Koronne; hetmaństwo, które najczęściej w swoim dowództwie niema nic więcej nad własnych ciurów. Skądby człowiekowi taka niedorzeczna myśl mogła przyjść do głowy?

— A jednak tak mówią. Odczuwał się mędek.

— Mówią tak pewnie być musi. Pokręcił znowu brodę Pan Wojewoda Ruski.

— No to oszalał cham, Mości Wojewodo. Rozśmiał się Muchawski — Spezy mu zachciało. —

Mędek wydobyl jakiś papier i dał go Wojewodzie. Wojewoda czytał, marszczył się, kilka włosów zostało mu w dłoni.

— I tak oni robią. Ha! ci panowie — my z sobą być nie możemy. U mnie ręce za szorskie od szabli; u nich za miękkie od wygód. Za każdą razą możemy się pokłuć. Szweda już teraz niema.

— Ale moskal jest, a pewnie z nas starych żołnierzy coś wodził po lądach i po morzach, żaden nie pójdzie pod czyje inne rozkazy, tylko pod twoje Panie Wojewoda Ruski.

— Ja wiem, że wy tacy.

— Każ tylko a zobaczysz czybym rodzonemu ojcu kości nie połamiał, gdybym go miał.

— Dziękuję. Trochę się rozweselił, i był chwilkę tym znamiennym wodzem, tym zbawcą Polski, co spotyka jednego ze swoich dawnych żołnierzy, i w jego zasługach widzi swoją sławę, ale to nie długo trwało. Schmurzył się, i do brody ręką sięgnął.

— Ale ci złoci panowie — teraz jak po jałmużnę biegną po urzędy, choć Bóg wie gdzie byli, kiedy trzeba było z wrogiem się wodzić. Król nie może inaczej robić, musi im zapchać gardło.

W parę godzin, po dobrem rozświetaniu się dnia, Pan Wojewoda Kijowski wracając z pożegnania od Królestwa Ichmościów spotkał w bramie zamkowej Vulpiusa, z jakimś starcem przybranym w ukraińską siermięgę.

— Mości Panie Wojewodo, biedny człowiek z Ukrainy przypadkiem tu trafił, my go tu bierzemy w swoją opiekę.

— Dziękuję. — I dał złota z kieski starcowi. —

Starzec nisko się pokłonił.

— Sława Bogu. Niech ciebie Bóg Panie strzeże od złego. —

Wojewoda nie przypatrywał się starcowi, a starzec odszedłszy kilka kroków mówił chmurnemu mędrkowi.

— Wielki on Pan dzisiaj, a jutro co będzie? Kto to zgadnie? już ja go nie takim widział: jeszcze był większym.

Ukraińskim koniem dniem i nocą biegał wierny Kozak Pana Wojewody Kijowskiego, Ostap Dejneka, z listem do Pani Wojewodziny. Daje znać że mąż i pan wraca. Już wyhulknął na świat z borów Polesia, po nad Dnieprem jechał, a przed okiem był stary Kijow, kiedy od ludzi się dowiedział, że wszystko co Lackie, co z Lachami trzyma, z Kijowa się wyniosło, a Moskwa zajęła Kozaczy gród. Od ludzi się dowiedział, że Wojewodzina do Czehryna się udała; zwrócił konia ze szlaku i jechał mimo Kijowa. Zdało mu się, że Moskiewski oddech zadźmił powietrze nad wielkim grodem, bo i jemu i koniowi było duszno, niewesoło.

Po polach pustki; bydło i rogate i nierogate samopas brodzi, wilcy mu pastuchami, i orły i kruki odganiają od szkody. Na łąkach drucieje siano, po niwach kłosi się już owies, a nikt o zimowli nie myśli; pełno czarnego ptastwa po drogach skacze i kracze, a zwierz w dzień biały się przechadza. W nocy daleko, daleko widać jasne luna po nad ziemią, niby w mogiłach pieńdże się palą, niby zakłete ognie wylają się do grobów, ku

mieszkańciu żywych. Dejneka ludzi jeszcze się nie pytał co to znaczy a już wiedział co to takiego; dosyć wiedział.

W siołach przed karczmami lud Boży, nie hula tańcem i muzyką, tylko pije i dziko wrzeszczy.

— Nasi idą z Zaporoża! na pohybel pankom i żydom — gdzie niegdzie tylko starce bywalce balakają.

— Że nasi idą to dobrze, ale że Moskwa to kiepsko. Bohdanko wodził Tatarów, Juryszka Moskali wie dzie. I ojciec i syn na zły koniec to robili; albo to my sami nie potrafilibyśmy dać temu wszystkiemu radę? — Nie braknie nam na ludziach, a gromada to wielki człowiek! jak co zechce, to i robi.

We dworach pustki, starszyna pozabierała się w lasy w stepy, a gdzieniegdzie to i gorzej. Dymy się kłębią i zgłiszczą ogorzeliśk sterczą.

Lud Ukrainy jak ziele Ukrainy; za ledwie wznijdzie już wzrasta i buja; tak u niego wszystko, i w dobrem i w złem tćpo nie idzie.

Już w pobliżu Czehryna spotkał starego brata Czebryńca, zeszli na stronę, siedli u podnoża mogiły, i Czehryniec gadać zaczął.

— Niepojęte się rzeczy u nas się działy i dzieją. Jeszcze o środopociu przyjechała do naszego zamku Putywłanka, wiesz ta córka Prokopa; licho ją nawiedziło; nie chciała być żonką Hetmańską, uciekła jakby od jakiej biedy. Prawda, że to on i chyrlak i z mnicha się wywłókl, nie dobra nadzieja; ależ to taki Hetmańską żonką być, to piechotą nie chodzi, na koniu się jeździ. Juryszka tak się rozsierdził, że brata naszego nieboszczyka — pokój dla jego duszy, przeżegnał się krzyżem świętym. Dobry to był Pan i dobry pułkowiec. Otoż pana Konstantyna własną ręką zastrzelił. Ludzie mi to mówili co na swoje oczy widzieli, bo ja tobym był temu nigdy nie uwierzył. Święć Boże i tego duszy.

Obadwa się pomodlili, a tak ciężko odetchnęli piersiami że aż konie im spojrzaly w oczy. Stary Czehryniec dalej mowę ciągnął.

— Jeden człowiek nie z kata zgubił takich dwóch chwatów; ale on Hetman, syn naszego Bohdanka. Otoż tylko co to się zwarzyło za Dnieprem; Wojewodzina, Neczajowa żonka z całym rodem i dworem do nas w zamek przyjechały. Prawda że to zamek bezpieczny, i u nas Czehryńców piersi za dobry mur staną. Nasz dzisiejszy pułkowiec Paweł Tetera choć nie taki zawzięty do wojny jak stary Neczaj, albo ten wasz Brzuchowiecki co to zdaje się że przed narodzeniem na świat już wojował. Nieboszczyk Bohdanko to znał się na ludziach, wiedział kogo do popa, a kogo do popadji posłać, a naszego Teterę zawsze wysyłał to z listami, to ze słowami, przemawiać do

Króla Lackiego, do Bisurmańskiego Padyszacha, i do białego Cara, a nawet gdzieś w dalekie kraje.

— Ależ stary, cóż z tego wszystkiego?

— Prawda, że jak stary się rozbaja, to baja bez końca, wybacz synu. Otoż nasz Pułkowiec, mimo to umie się bić. A córka Bohdanka wdowa po naszym Danielu, to niech mnie Bóg pokarze, jeżeli niewarta najlepszego chwata, szkoda że nie chłopiec, toby był Hetmanem; wszystko to mówiło: w zamku Czehryńskim bezpiecznie. A tu już gadali: Juryszka z całym Zaporozem ciągnie na kraj Lacki, na Lachów. Ojcowska dziecina idzie w ślady ojca. Jeszcze gadali tylko, a już Zaporozia ptaki szybsze jak gadanie, zleciały się pod nasz Czehryn. Nasz pułkowiec mówił: będziemy się bronili, i Czarnobrewka też samo mówiła; ale kiedy przyszedł z całym wojskiem Juryszka Bohdanko nam Czehryńcom stanął przed oczyma: myżbyśmy się mieli na jego krew porywać, i przyzwalać, żeby krew na krew biła? Do tego jeszcze Juryszka przysłał do Pani Wojewodziny, prosząc by ona temu zaradziła, aby bracia braci nie zabijali. I Wojewodzina tak to zrobiła, że i Tetera przysłał, i Czarnobrewka musiała przystać. Juryszka wszedł do zamku, i zajął Czehryn.

— Kiepsko, kiepsko, panie ojeze.

— Jeżeli kiepsko będzie, to pierwsze kiepstwo poszło od tego, co nas porzucił.

— Miał czekać żebyście wy go porzucili?

— Słuchaj synu, tak nie gadaj; djabełby twoją matkę porwał. Wstał na nogi. Mybyśmy porzucili naszego Iwana? — a bardzośmy go rzucali? — on nas porzucił.

— On nas nie porzucił, to nie prawda. I teraz wraca między nas; za nas gadał, i nam dobre wiezie.

— Chłopcze niech tylko przyjedzie, a powie: ja z wami, ja wasz; zobaczysz co będzie.

— No to zobaczymy; ale powiedźże no, co teraz się dzieje?

— Teraz synu, czterdzieści tysięcy Zaporozia w Czehrynie z Juryszką, a trzydzieści tysięcy Zadnieprzańców pod Marcinem Cieciorą w Kijowie, tam i Moskwy ściągnęło się więcej stu tysięcy pod Kniazem Szeremetiewem.

— Na cóż to wszystko?

— A jużci nie na wróble, tylko na Lachów.

— I cóż z tego będzie?

— Co jest to widzimy synu, a co będzie to zobaczymy; z resztą nie nasza rzecz wyglądać co tam gdzieś daleko. I mnie żal Lachów. Po prawdzie rzekłszy, że to nasi bracia.

— Pójdiesz jednak na nich.

— Pójdę, bo starsi każą. —

Dejneka słowa na to nie powiedział; to powinność kozacza. A stary Czehryniec dodał:

— Żeby był Iwan, toby było inaczej.

— Teraz ojciec powiedzcie mi, czy oni tam patrzą bardzo, jak kto co wiezie.

— Dziwo że patrzą, a jeszcze ciebie; od Lachów jedziesz, od Pana Wojewody.

— Cóż oni na Pana Wojewodę?

— Co? — od kiedy po prawdzie mam ci powiedzieć to co oni muszą niedobrego myśleć. Nam odebrano straż Zamku, nie dano jej Zaporozcom, jakby to uczciwość wojskowa przykazała, postawiono tam Niżynców pana Ładyńskiego, a już ani dowiedzieć się co tam się dzieje.—

Dejneka w głowę się poskrobał.

— Trzeba jednak tam pojechać.—

Dobyl nożyka z za pasu, i zakieroszował przednią łopatkę koniowi, aż koń skoczył jak oparzony.

— A toż co takiego? czy się zbisiał?

— Nalega psiawiara naprzód, trzeba mu zawłokę zrobić.

— Już niedaleczko do Czebryna, to tam mogłeś lepiej wszystko przyrzadzić.

— Co z głowy, to z myśli.—

Wyrwał włosieni z ogona, skręcił sznurek, odwrócił się, z kalety wydobyl papier, okręcił nim sznurek, i włożył za odwaloną skórę.

— To za swiczkę stanie.—

W duch szydłem zeszył skórę.

— No chwyt z ciebie chłopiec.

— My tacy wszyscy, a teraz w drogę; bywaj zdrów ojciec.

— Bywaj zdrów synu, niech ciebie Bóg prowadzi.—

Wskoczył na siodło, krzyżem świętym się przeżegnał; koń wyginał się trochę przodem; skropił nahajką raz, drugi i pokłusowała szkapa, jakby po tęgim popasie.

Przed Czebrynem precz Zaporowskie czaty stoją; na błoniach tabunami Zaporozców konie się pasą, a w mieście i do koła miasta młodców tak pełno, iż zdala zdaje się niby konopie wszędzie porosły, i wiatr kity konopisk powiewa w lewo, w prawo.

Między czaty Dejneka wjechał.

— Skąd? dokąd?

— Z Warszawy, do Czebryna:

— Ha! Lach!

— Kozak taki jak i wy.

— A co wiesz?

— Siebie samego.

— A z czem jedziesz?

— Z szablą taj ze spisą, panowie młodce.

— Może masz przy sobie jakie pismo?

— Szukajcie.

— Hej do Sotnika go prowadzić!

Od Sotnika do Atamana Kurennego go wadzili, a stamtąd przed samego pisarza kozaczyzny. Pisarzował znowu Piotr Doroszenko, bo Zaporozie wyszło z Juryszka, a kiedy w Koszu zgodzono się na to hetmaństwo, nie było co robić; trzeba było iść gdzie Pan kozaczy każe.

Piotr Doroszenko i Atamani Kurenni poznali Dejnekę, powierny to Kozak Jana Wyhowskiego. Przypomnił się im dawny Hetman, i Konotopy i pomyślność Ukrainy; radziłyby pytać o wiele rzeczy, ale był tam Ładyński, ucho Marcina Ciecziury, a Ciecziura głową nie tylko Juryszki, ale i Moskwy. Pan Pisarz parę razy chrząknął.

— Cóż ciebie tu przywiodło?

— Ja zasłyszał, ojczy Pisarzu, że Zaporozie z Siczy wybiegło, to już mnie nie było czego u Lachów gościć, jeść chleb i sól Lackie; choć pana kocham, a rzuciłem go, bo ja kozak, z wami ojczy mnie być.

— A Pan Wojewoda gdzie?

— Bógże jego święty wie, co on z sobą robi.

— Gdzieś go zostawił?

— A w Warszawie jeszcze, i nie myślał stamtąd się ruszać.— Ładyński się zbliżył.

— Panie pisarzu, czy tylko ten człowiek prawdę mówi.

— Niech mnie djabli porwą ot tak teraz, jeżeli ja nieprawdę mówię przed wami panowie starszyna. — Nie obejrzał się po za siebie. — Rozebrali i mnie i konia do naga tak jak matka narodziła nas na świat, znaleźli co? nie, nie, i krzty tam lackiej nie było. A żem tu spieszył, to światkiem najlepszym, mój skalczał, może na marne imię pójdzie; a niech mnie tak Pan Bóg kiedyś na starość, na żonie i dzieciach pobłogosławi, jak takich koni tylko trzy jest na całej Ukrainie: Mój, Pana Wojewody, i Pana Grzegorza Brzuchowieckiego. Nie przegniewajcie się panowie starszyna, więcej takich nie ma; a chodźcie, zobaczą, co z nim się stało.

I wywoływał Panów starszyna opatrywać końskie kalectwo.

— Prawdę mówi, prawdę. —

Wszyscy zgodnie powiedzieli, i była wolność Dejnece.

Zaraz nie poszedł bratać się z braćmi kozakami, ale z konienu swoim się porał, potem dopiero rzucił się w hurt.

Młodego Hetmana nie było widać, nie pokazywał się koźactwu. Jedni mówili: zatrudniony przehorowami z posłami moskiewskimi; drudzy: z siostrami się godzi, kochanie Putylwanki dla siebie jedna; liczy skarby po nieboszczyku ojcu po-

zostałe, czy w całości; czy Pan Wojewoda dobrze i sumiennie niemi się opiekował. Inny powtarzają: modli się i pości jak w post wielki, jak w Wigilią Bożego Narodzenia, bo to jest post wielki dla kozaczej duszy, to długie przybieranie się do wojny, bo to wigilja wojny. Wódz co ma wieść za blahocześnieścią wiarę, powinien tak za grzechy odpokutować, żeby wsiadając na koń, był czystym i niepokalanym w duchu, jak dziecko nowonarodzone na świat po świętym chrzcie.

Tak mówili, a nikt z pewnością nie wiedział co robi, bo zamku strzeżono tak, iż ptakby tam nie wleciał, a myszby z tamtąd nie wybiegła.

Tegoż samego dnia jeszcze przed szarym wieczorem, z Czehryńskiego rynku wyjechał młodziec na wronym koniu. Tłum się rozmykał ku sobie i od siebie, a on koniem skakał na nic nie bacząc, jak gdyby przebiegał się przez budziaki stepu. Koń wrony jeszcze czarniejszy jak kruk, ni gwiazdki na nim, ni odmiany żadnej. Jeździec dziki twarzą, groźny okiem, burką się opiął, i z baraniej czapki, czerwonym kołpakiem, jak błyskiem gromu migotał; szabla latała koło boku końskiego, burka czasem zrywała się z ramion, czasem przyciskała się do pleców, pędził ulicą, za rogatki, mijał czaty, i nikt mu nic nie mówił; bo to Pan Asawuła Koszowy.

Państwowe Wydawnictwo
w Katowicach

XVI.

KNOWANIA.

W Czehryńskim zamku co się działo?

Wojewodzina szłocha za mężem, szłocha za dziećkami. Juryszka miasto podziękowania dał jej więzienie; dzieci oderwał od matki, bo mnich Filaret powiedział:

— Kiedy serce boli, to niechże boli dobrze; cierpienie zasługą przed Bogiem, a Wojewodzina nie święta, ma za co pokutować. —

Biedne dziećki matki wołają, do matki się proszą. I proźbą i groźbą, i łzą, i pocałunkiem nie wyprosić u surowego mnicha nie mogą.

— Matka dla dziecięcia, to skarbnica i zła i dobra; z niej ono wszystko ssie. Żeby wszystko lackie w nich vyplenić, dosyć będzie niech rosną bez matki.

Tetera miasto czarnobrewki czarne więzienie dostał w podarek. Darino się odwoływał: Nie chciałem iść w pomoc Konstantemu Wyhowskiemu, nie działałem nie przeciw Hetmana władzy, byłem na stronie, i do niczego się nie mieszałem.

Czerniec rozśmiał się na to gadanie.

— Panie Pulkowniku, kto czeka, to się zawsze doczeka; kto ni za tym, ni za owym nie staje, temu ni ten, ni ów nie jest przyjacielem; bo każdy mu nie ufa, bo taki nie ufa nikomu. Nieufność nie znajdzie ufności, a jak kogo mieć w podejrzeniu, to lepiej mieć w ręku. Lepiej i bezpieczniej człowieka strzedz murem i żelazem, jak okiem i uchem. —

Obie czarnobrewki i Helena i Stefanida z sobą razem siedzą; jedna płacze i żali się, druga już leż na płacz, słów na żal nie ma. Coraz nowe myśli sieje na pokarm dumie i zemście, a czerniec Filaret jeszcze chce ich pocieszać.

— Krasne Panie, Hetman i Pan nasz, o swoich siostrach pamięta; jak on sprawi to co mu ojciec przekazał, po zwycięztwach

będą się cieszyły z nim razem, bo to uczczenie pamięci ojca, drogiego wam, drogiego nam.

Jedna czarnobrewka lzy otarła, a pogardą mu odpowiadała; druga dumy okiem ciskała mu pogardę w odpowiedź.

Kto był ten czerniec Filaret? Brat to rodzony Marcina Cieciry, brat bliźniak; jedna matka dnia jednego ich rodziła, i obudwóm z krwią, z mlekiem dała jedną i też samę żądzę wzniesienia się nad wszystkich, panowania wszystkim. Ani szabla, ani mnisza rasa nie mogła być dla obudwóch, podzielili się: każdy wziął jedną z nich, i tak szli z sobą w parze, do jednego celu, do wyższości nad drugich. Przez cały czas byli dla siebie, jak ludzie nieznanymi, z niejednakiego wcale rodu, wspierali siebie wzajem, i dopiero wtenczas ludzie dowiedzieli się, że bracia, kiedy już, już ku potędze się zbliżali. Marcin wiódł wojsko jako namiestnik Hetmana, Filaret wiódł Hetmana co wojsku przewodził.

A z miłosierdzia młodemu Hetmanowi dali krasawicę Putywlankę, i flaszę z owym czarodziejskim trunkiem. Jemu już i tego było za wiele; trunek co go niegdyś zapalał, i przynajmniej na chwilkę robił Hetmanem, teraz nie po swojemu działa. Dziewczyna Putywlanka co raz go wprawiała w Hetmański gniew, teraz w nim nic a nic Hetmańskiego nie obudza.

W komnacie obleczonej karmazynowemi makatami, na złotolitem wężglowiu siedział młody Hetman; na drugim rogu wężglowia siedziała dziewczyna Putywlanka. Koło Hetmana stała fiasza i srebrna czara; koło dziewczycy harfa. Harfa stała oparta o ścianę i drzemiała; fiasza gniotła wężglowie, a Hetmańska ręka ni razu nie sięgnęła po nią.

— Parasko, niecheszże mi nic zagrać?

— O czymże mam grać, o naszej niewoli?

— O jakiej niewoli? Tyś tu nie niewolnica, tyś tu Pani!

— Taka Pani jak ty Pan, Panie Hetmanie.—

Urągania uśmiech zwinął się w twarzy dziewczycy, i dodał jej blasku życia. Jerzy Chmielnicki zniżył głos:

— Ja tu Pan!

— Flaszy i wężglowia.

— Nic, nie, nikt tu nie panuje, kiedy ja jestem.

— Z czyjegoż to rozkazu więżą żonę dobrodzieja i opiekuna Hetmańskiego? z czyjegoż rozkazu siostry Hetmańskie jak w więzieniu siedzą?

— Ja temu nic nie winien.

— Z czyjegoż rozkazu więżą a nie sądzą jednego ze starszyzny?

— To nie ja.

— Jeżeli nie ty Panie Hetmanie, więc kto tu Pan?

— A ja. Jak tylko zechcę.

— Więc zechcij, i zmień wszystko co się stało; pokazuj się ludowi i bądź Hetmanem. —

Milczał Jerzy Chmielnicki.

— Ty milczysz Panie?

— Nie mówmy o tem Parasko; to na nic się nie przyda.

— A o czemże mamy mówić?

Parasko, ja ciebie kocham. Napił się z flaszki, i zbliżył się do dziewicy; dziewica nie uciekała, pojrzała tylko z uśmiechem litości.

— A jak kochać nie pozwolę, Panie Hetmanie?

— Parasko, ty mi urągasz.

— Ja urągać Hetmanowi Ukrainy, memu Panu? o nie, nigdy!

— Raześ mnie już opuściła. — Chciał ją ująć za rękę, ręki nie dała.

— Opuściłam zabójcę własnego szwagra.

O Boże! — Twarz schował w dłonie. — Odpokutowałem ja to ciężko.

— Zabójstwem Konstantyna Wyhowskiego?

— Litości! litości! — I do węzłowania się przytulił. —

Dziewica stała nad nim, nie ratowała go, a on był już bez życia. Za ścianą ozwały się jakby dalekiej muzyki odbrzmienia, i śpiewy dziecinnych głosów. Jerzy otwiera oczy, a powieki mu lgnęły jakby snem ciśnięte; z ust się wymykały błędne słowa.

— Aniołowie! — O oni szczęśliwi! Parasko! —

Silą z węzłowania zsunął się na klęczki i modlił się, a dziewica cały czas stała i poglądała na niego tą litością co to już, już na pogardę zakrawa; w jej oczach litość od pogardy stanęła o krok jeden. Podniósł czoła ku niej młody Chmielnicki.

— Bóg mi przebaczy! Czegóż ty chcesz Pani moja?

— Bądź Hetmanem —

— Alboż ja nie Hetman? — Chciał po hetmańsku stanąć, nogi w kolanach się zachwiały, osunął się na węzłowie.

— Ktoż tu inny Pan?

— I Pan i Hetman tu mnich czerniec.

— Nie, nie Parasko. Ja tu będę Panem, ja tu będę Hetmanem. — Podniósł się z węzłowania, i był na nogach. —

Jak martwiec z tamtego świata wszedł cicho czerniec. Hetman zadrżał, dziewica pobladła, a już on był między niemi; nie podniósł nawet oczów ku nim.

— Ojczy Hetmanie, już trzeci goniec od Księcia Szeremietiewa zaprasza. — Zatrzymał mowę na tem słowie. — Aby wojsko zaporozkie dążyło ku Słucezy, w kraj łacki; tam się chce z niem połączyć. Jakie będą twoje rozkazy, ojczy Hetmanie?

— Ja nie wiem. Pan Pisarz powinien. — Zaciął się. —

Czerniec wznosił głowę i bez pokory patrzył na świat. —

— Dodałem do rady Panu Pisarzowi Leśnickiego, Ładyńskiego, Mecherzyskiego i Głucha.

— Tak, dobrze; do dobrego Pułkownika.

Putywłanka pogardliwym wzrokiem chciała opamiętać młodego Hetmana, a czerniec mówił dalej.

— Wczoraj Pan Asawuła Koszowy wyjechał z Czehryna, nikt nie wie gdzie, i nie powrócił dotąd. Między Atamanami Kurennemi spostrzeżono jakieś rozhowory. Moje podejrzenie pada na dwóch braci Sirków, to przyjaciele Pawła Tetery i Pana Asawuły Koszowego. Rada starszyny ma się zebrać. Mamy w naszej mocy przybocznego kozaka Pana Wojewody Kijowskiego; poczciwy to człowiek ten Dejneka, samem go badał. Jan Wyhowski zmuszony do oddania ci hetmaństwa, twej spuścizny po ojcu, dziś usiłuje odjąć ci je. Ojciec Hetmanie, trzeba żeby sprawiedliwość surowa i prędka zrobiła koniec tym robotom, grożącym nieszczęściem całemu naszemu narodowi.

W twarz Putywłanki zająrzył niepokój. Patrzała to na czernca, to na Hetmana. Czerniec jak ptak złowieszczy po Hetmanie wiercił oczyma, a Hetmanowi oczy się zmrużyły. Czy sen je sklejał, czy nie mógł znieść wzroku czernca i dziewczicy zarazem. Jakby już w drzemaniu wymawiał:

— Trzeba — trzeba —

Czerniec odszedł, Jerzy Chmielnicki usypiał, czy sen udawał. Cichy głos Putywłanki ozwał się po chwili:

— Nowe zabóstwo, nowa sromota; bądź Hetmanem, a ja twoja. —

Niby przez sen Chmielnickiemu z ust wyleciało:

— Moja! —

Rękę nawet ku dziewczicy wyciągnął, i nie więcej; a muzyka zaścienna brzmiała coraz ciszej, coraz ciszej.

Obie córki Bohdanka, jak gdyby gniew zasiadł między niemi, tak milczały. Stefanida w oknie się sparała, i tak tęsknie tam zawisała, jak chmura nad światem. Helena szybko przechadzała się w komnacie, a suknia jej się zawijała jak chmura od wiatru. Weszła służebna i już w komnacie dostała skrwawiony papier.

— Cóż to takiego Nastko? — Stefanida zapytała.

— Kozak Dejneka przywiózł od Pana Wojewody do Pani Wojewodziny; a mu przyrzekłam, że to się do niej dostanie.

Trzeba to bratowej oddać, ja będę prosiła Jerzego, żeby mi pozwolił ją widzieć. —

Stała Helena.

— Proś raczej Czernca Filareta.

— I jego gotowam prosić. —

Wzięła Helena do rąk papier, czytała:

— Patrz, patrz co pisze: Mów, zachęcaj Konstantyna i Pawła, niech czuwają, niech pocieszają Helinę, ale proś ich i przestrzegaj, niech się nie dadzą uwodzić jej słowom, i nie będą zanadto

skwapliwi w spełnianiu jej chęci; bo i z niemi może się to stać, co się stało z biednym Danielem. — Postrzęsła papierem. — Biedny Daniel! biedny! jam go zabiła, a brat pomścić się nie pozwolił. Biedny Konstanty! a brat pomścić się nie pozwolił. Ja się pomszczę, zobaczysz; Pawła ocalę. — Znowu spojrzała na papier: Czuwaj nad Heleną; bądź jej bratową i matką. Dziękuję, jam nie dziecko, sama nad sobą czuwać będę. Czyta list: W Czehrynie bądźcie, ja za kilka dni tam przybędę. — Już nie czas, już nie czas! — Przeszła się parę razy po komnacie, oddała papier siostrze. — Powiedz Wojewodzinie, że Wojewoda tak chciał jakem ja radziła; teraz niech płacze. A sama poszła ku drzwiom.

— Heleno! Heleno! —

Darmo wołała, już ona wyszła i drzwiami zatrzasła. Szła wprost do hetmańskich komnat. Jerzy Chmielnicki siedział na wężłowie, i wzrok spuszczoney miał ku kobiercom podłogi. Niedaleko od niego stał Czerniec Filaret, dumą i panowaniem rosły. Putywłanki tam nie było. Czarnobrewka bratu ni głowę skinęła, ni słowa na powitanie dała, stanęła przed Czerncem.

— Filarecie, napisz do Marcina Ciecziury, że po szczęśliwie skończonej wojnie, nie inaczej może się spodziewać mojej ręki, tylko pod warunkiem, że Paweł Tetera teraz tu żywy zostanie, a potem na wolność wypuszczon będzie. — Spokojnie, bez gniewu te słowa mówiła, ale po twarzy widno, ile ją kosztowało to tajemie uczucia.

Mnich pokłonił się.

— Ojca Hetmana w tem wszystkim i moc i rada. Mój brat i ja niceśmy więcej jak jego pierwsi słudzy.

— Ja powiedziałam. — Szybko odparła czarnobrewka, i ku bratu się obróciła. — Juryszko, czy dobrze spałeś? —

Jerzemu stanęły w oczach łzy.

— Heleno!

— Biedny ty Juryszko, doprawdy, spać nie mogłeś? —

On milczał.

— Czy jakie czarne widmo stanęło ci przed oczy?

— Siostro, dajże mi pokój.

— Ja ci pokoju dać nie mogę; ja biedna wdowa, ale Putywłanka. —

Skrył w dłonie bladą twarz.

— I ona taka, i wy wszystkie takie. O Boże mój, Boże!

— Tylko nie żal się tak Juryszko; ja ci przysięgam piastunkę naszą, ona ci powie bajkę, ty wiesz tę: Był sobie baj, miał kopę jaj; dał każdemu po jajku, a Jerzemu znosek. Rozumiesz Juryszko, znosek lepszy nad wszystkie inne. Ty tu Hetmanem. —

Jerzy nie odważył się zmierzyć okiem dumnego oblicza siostry, ale odważył się powiedzieć:

— Ja tu Hetman, ja tu Pan. —

Filaret ciszej wyrzekł do Czarnobrewki:

— Krasna Pani bądź spokojna, tak się stanie, ja ty chcesz.—

Uraganiem zaśmiała się Helena.

— Panuj, panuj Juryszko. — I już jej w komnacie nie było.

— Czego ona odemnie chce?

— Kobieta.

— Prawda, te kobiety — i Paraska.

— Ojciez Hetmanie, a cóż powiedzieć przewielebnemu ojcu

Metropolicie?

— Ja nie chcę, nie mogę.

— Powiedzieć mu swoją wolę.

— Nie, nie.

— Jedną chwilkę się z nim widzieć.

— Nie, on będzie mi prawil nauki.

— Na nauki, nauki i rozkaz.

— Ba, on był moim nauczycielem i opiekuncem. —

W twarzy Czernca był uśmiech.

— Ależ Hetman Ukrainy lękać się nauczyciela nie ma powodu?

— Nie, ja go nie chcę widzieć Filarecie.

— To niech sobie jedzie.

— Niech jedzie.

— A Kijów zostanie bez Metropolity?

— Nic mu się nie stanie.

— Chyba inny musi być mianowanym na jego miejsce?

— Jak zechcesz!

— Czy mam o tem pisać do Patriarchy od ojca Hetmana.

— Pisz, napisz, a zostaw mnie. Mnie się tak spać chce.

Wierz Filarecie, teraz jak się napiję tego twego trunku, to zaraz mi się na sen zabiera. — Za poziewaniem słowa mówić nie mógł; rzęsy zamglily oczy, usypiał. Czerniec wzruszył ramionami.

— Hetman, Ukrainy Pan. —

W Kijowie Moskal panem. Książ Szeremetiew, Suzdal rodem, z tego północnego szczepu człowiek, u którego: Bóg i Car, Car i Bóg, a więcej nic; przywołał dwóch ludzi do siebie, i oni przed nim stanęli. Jeden wyprostował się jak drzewo, i jak drzewo stał, Moskal widno; w drugim mimo woli samowola wyskakiwała i ruchem i wejrzeniem; to nie Moskal być musi.

— Książu Kozłowski mów, isć napród czy tu czekać?

Świętny Książu Szeremetiewie, namiestniku naszego Cara, Bożego namiestnika. Jeżeli Lachów dotąd nie spotykamy, a wszystko nam pomyślnie idzie, sława Bogu, sława Carowi, nie gonimy w ich kraj, bo oni najsilniejsi tam; idźmy powoli krok za krokiem i moścmy panowanie naszemu Carowi, a co raz za

bierzemy, tego sobie wydrzeć nie damy; i w tem będziemy mieli dosyć sławy, a wiele roboty. Lackie piersi twarde, a ramiona krzepkie; ja to z doświadczenia znam. Świetny Kniaziu, zdanie to moje, objawiłbym go przed Bogiem i przed Carem, gdyby mi Bóg i Car kazali, tak jak ty każesz Kniaziu.

Umilkł Książ Kozłowski, i stał znowu jak drzewo. Książ Szeremetiew na to ni słowa mu nie powiedział, ku drugiemu się obrócił.

— Marcinie Ciecuiro, a ty jak?

— Panie Kniaziu! — Ręką machnął. — Ot ja tak wiem. Lachy dużo odważni, kiedy im kto ogon pokazuje, a jak zęby wyszczerzy to oni temu nie radzi, zaraz z pola drała i do lasu. Szlachta u nich durna, czysty motłoch; rwie się do rady, a słuchać ani weź; lud zmitrężony, krzywo na nich patrzy; wojsko niepłatne, panów Hetmanów za baj bardzo ma, pozapasało się i porozlegało się po starostwach, bez pieniędzy Ojczyzny bronić ani myśli; taki już im wszystkim idzie na marne imię. Ot my z takim hetmanem jak Juryszko, jak tylko na chwilę wyjechał Pan Wojewoda z Kijowa, zajęliśmy Ukrainę i Ruś całą, Szwed Prusy zabrał, Litwa od samego przestachu jego miłości Carowi waszemu się poddała. Nie mają tylko kąt ziemi, jak w matni tam siedzą. Ot Panie Kniaziu, chodźmy a żywo, zabierzemy ich w garść, albo nie, to pouciekają gdzieś het na kraj świata. Wy zrobicie z lackim krajem co zechcecie, a my pójdziemy do do siebie swoim pługiem orać, i swoje zboże dla siebie siać; będziemy się modlili za Cara, i za was Panie Kniaziu.

Książ Szeremetiew pogładził się po głowie.

— Marcinie Ciecuiro, dobrze mówisz. A ty Kniaziu, już się zestarzałeś; twoje serce zajęczem się stało, a tyś jak stary pies, niedołęga, niewart nic więcej, jak na jatki pójść. — Kozłowski milczał, a Szeremetiew załajał mu jeszcze w ojca, w matkę, po moskiewsku; byłby może jeszcze i pięścią przypieczętował, bo palce w kułaki ścisnął, ale jakoś do tego nie przyszło; chwycił za srebrny krzyż z Chrystusem Panem.

— Za Boga i Zbawiciela ciebie mieć nie będę, kiedy ty mnie królestwa Lackiego i Króla Lachów do rąk nie oddasz, żebym ja to wszystko pod nogi złożył mojemu wielkiemu Carowi.

I wnet dał całemu wojsku rozkaz do pochodu.

I wojsko szło w pochód.

Do Marcina Ciecuiury stawilo się dwóch gońców. Przy wyjściu obudwom odprawy dawał; jeden przyjechał z Czehryna; drugi z gdzieś daleka. Z Czehryna był sotnik Starodubowskiego pułku, poufały druh Ciecuiury.

— Po co było puszczać Asawulę Koszowego?

— Radbym ja wiedział, czy taki jest na świecie, coby zatrzymał Pana Brzuchowieckiego.

— U sto djabłów! — Pokazał na szablę, pokazał na pistolet.

— I on ma szablę i dobrą szablę, a kula go nie ima.

— A z temi Sirkami na co te korowody?

— I jam to mówił, że to djabła warto; ale kiedy tak przewielebny kazał.

I ten przewielebny, jak się czasem rozpora, to się pora jak szara gęś. Cóż to, on chce obźenić Juryszkę?

— Tak to coś na to zakrawa.

— Ja tego nie chcę, z tego nic nie będzie. Niechby sobie Sirko był skradł dziewczynę, jak tatarskiego konia, i leciał z nią w step gdzie budiaki rosną. Djabeł wie co tam robią. Zawsze mu ten papier odemnie, i powiedz niech się trzyma tego co ja każę, jak pijany płotu; inaczej licha narobiemy, i mogą nas djabli porwać.

Drugi goniec był stary Naum pohany.

— I cóż tam ojcze Naumie?

— Synu, niedobrze, Pan Wojewoda już był nam w rękach, a teraz popsulo się to wszystko.

— Czemże się popsulo u djabła?

— O ten Grzegorz Brzuchowiecki, do prawdziwy djabeł.

— Co ci jest Naumie?

— Co mi jest? — Marcinie Ciecuiro, ty wiesz jak ja was kocham, obudwóch was wyhodowałem, i prowadziłem tak, abyście byli pierwszymi w Ukrainie. Ojcu to waszemu i matce przyrzekłem, a teraz niedobrze.

— Czemu niedobrze Naumie? wszystko nam idzie.

— Słuchaj synu, dziad znachor rozumniejszy odemnie, rozumniejszy od nad wszystkich, co lepiej i prędzej w tem co było i co będzie czytał jak djak w psalterzu. Przy waszem narodzeniu mówił: To sokołęta co albo wysoko wzlecają, albo wysoko wzniesić ich mogą; strzeżcie ich od trzech przednieprzańskich orłów; zuzula z wielkiego orlego gniazda im dopomoże, i zbędkarciałe orle tegoż gniazda; ale jeżeli trzej orłowie nie przepadną, i wszystkie ptaki co idą z tych orłów krwi, to biada, biada sokołętom. — Rozumieszże teraz Marcinie Ciecuiro?

— Rozumiem; to też na ostatniego orła kolej.

— A Tetera, a Brzuchowiecki orlej krwi?

— Paweł w naszej mocy.

— To źle, że w ludzkiej mocy, czemu już nie w mocy Bożej albo djablej?

— Jeszcze teraz nie można.

— Trzeba koniecznie.

— Trochę później.

— Patrz synu żebyś nie żałował; bić żelazo kiedy gorące.

— Nie można, nie można, Naumie. —

Zadumał się Cieciura, ale na odzeganie dumania i ciekawego oka Nauma, znowu zapytał.

— Mów mi jeszcze raz, jakże tam u Lachów?

— Już mówiłem, że tak tam tobie wierzą, jak ty im wierzysz; to jest ani mniej ani więcej jak nie —

— Mniejsza o to, teraz ja z nich drwię.

— Także drwisz i z Tetery?

— Drwię.

— I z Brzuchowieckiego?

— Drwię.

— Oj nie drwij, nie drwij synu, żeby czasem z nas nie zadrwili. —

Naburmusił się Cieciura. — Dosyć tego, już mnie jechać czas,

Niebo było gwiaździste, księżyc płynął po niebieskiem morzu, i o gwiazdy nie zawadzał, i gwiazd nie potraçał; dobry tam sternik z wysoka nim kierował. Po nad Bohem jechało dwóch jeźdźców, w rzekę nie patrzą, a tam w wodę tysiące gwiazd padło i błyszczą, a tam drugi księżyc, taki sam jak na niebie, korytem płynie, a nad wodą brzegowe wierzby się chylą; chce się im podostawać i księżyc i gwiazdy, a tylko wodę mogą musnąć. Nad brzegami siwieją strome skały, poolbrzymione światłem nocy, niby zamki warowne, wałą się ogromem cieniów w rzekę; niby na strażnicy tych zamków puhać puhać, wodę przestrzega: prędko, prędko płyn, bo się koryto twe zawali; i woda rwie w prądy, i prądami się taszczy. Czy ci jeźdźce cali czarni, to widma Ukrainy, że tak jadą a jadą, a nic o ich oko nie zawadzi.

— I Zaporozie z niemi?

— Z niemi.

— I dzieci, i żona moja u nich?

— U nich. —

Czy ten drugi jeździec odpowiadał jednym słowem, czy to rozgłos między skały nadbohowe rozbijał ostatnie słowo.

— A pulki moje gdzie?

— W Barze.

— Chwała Bogu. Lasko z niemi?

— Z niemi.

— Grzegorz, staniesz na ich czele?

— Będę przy tobie.

— Sprobujemy słowami pokoju naprawić zle.

— Na próżno.

— A więc musi nastąpić wojna.

— Musi.

— Będziemyż się bili przeciw własnym braciom? —

— Panie Wojewodo, będziecie się bili.

- A ty Grzegorzu?
 — Będę przy tobie. —
 Znowu zamilkli, i znowu Boh słuchał ludzkiej mowy.
 — Biedny Konstanty, taki młody!
 — Szkoda jego.
 — A Paweł czemu sam wlaź w niebezpieczeństwo?
 — Tak mu się zachciało.
 — Ha! —
 — Jego nikt nie odgadnie. — Spojrzał w lewo za rzekę. —
 Tam im gdzieś na szlakach zimno czekać.
 — To tam ich wszędzie na mnie porozstawiano.
 — Cieciura miściuk rozstawiać umie, zna przykmety.
 — Czy Zaporozże na takie rzeczy się puściło?
 — O nie! Starodubowce i Perejaslawce, to jego wierna
 psiarnia.
 — Biedny nasz kraj!
 — Czyja wina?
 — A czyjaż?
 — Twoja Panie Wojewodo.
 — A to dla czego?
 — Czemuś nie Hetman nasz?
 — Nie mogłem, przyrzekłem, musiałem dotrzymać, byłaby
 wojna domowa.
 — Teraz już jest, i będzie.
 — Trzeba temu zaradzić.
 — Ja wiem jak.
 — No i jak?
 — Wuju, ojciec nasz, przestań być Lackim Wojewodą, a bądź
 znowu Hetmanem Ukrainy.
 — Nie, nie mogę; tego nigdy nie będzie.
 — To i źle będzie.

XVII.

LACHY POD LUBARTOWEM.

Wyszły w pole Lackie wojska, takie ochocze jak ptaki na wiosnę. Dwóch Hetmanów, pięciu Wojewodów, dwudziestu pięciu Starostów i urzędników Koronnych wiodło to wojsko.

Husarze jak za Bolesławów skrzydła do bark przypięli; kiedy konie w kłus, w skoki pójdą, do lotu podrywają się z siodeł jak archanioły wojny. Pancerni niby wieżycy żelazne suną, a proce furkoczą im nad głowami. Wywijają się lekkie chorągwie w kozacych strojach, ciągną szwadrony dragonii i pułki rajtarskie; dwanaście regimentów piechoty jak powódź się leje, hartmaty się toczą, ziemia jęczy, w powietrzu braszce, tak jak gdyby pod ziemią dzwony pojękiwały.

Pod Lubar ośmiu szlakami ciągnęło lackie wojsko. Po samej lewicy przywoził Jan Sobieski chorąży koronny, z nim husarskie znaki jego imienia, pancerna chorągiew Bałabana, dragonie pułki Bukara, Łączyńskiego i Gisy, i dziesięć lackich chorągwi pod Adamem Działyńskim brasławskim starostą. Drugim szlakiem od lewicy Dymitr i Konstantyn książęta Wiszniowieccy wiodli swoje własne wojsko: ośm husarskich, dwanaście pancernych, a szesnaście lekkich chorągwi; szło i dwadzieścia szwadronów nadwornej dragonii. Wszystko to stare żołnierstwo, co zęby zjadło na bojach, pod Jeremim dzieckiem i ojcem wojny, panem i kochankiem pustyni. Starszy z braci Wojewoda Belzki, młodszy Kowieński Starosta, oba przyuczeni do nałogu Jeremiego: wszystko a wszystko dla Ojczyzny. Dalej Zamojski Sandomierski Wojewoda wiodł niemieckie piechoty Grotauzena, Celarego, Dawidsona, Wolrabena, Oszopa i Debolego; z nim szedł Stanisław Jabłonowski z rajtarami niemieckimi Gordona i hrabiego Szantilji. Wojsko czwartego szlaku od lewicy było pod wodzą samego wielkiego Hetmana Korony. Stanisław Potocki jechał kolasą, a Jakób, Karol, Dominik, Franciszek rodzeni, Jędrzej i Feliks stryjeczni bracia; a wszyscy Potoccy a wszyscy Starostowie, wiodli każdy po sześć chorągwi,

oprócz dwudziestu Hetmańskich i Hetmańskiej dragonii, które szły pod wodzą rodzonego syna Hetmana. Drugi Jędrzej Potocki oboźny koronny wiódł trzydzieści harmat i siła puszkarzy; przy nim ciągnęły wozy ładowne w amunicję i żywność. Sami Potoccy tam dowodzili; bujna to i płodna rodzina w rycerskich mężów dla Polski! w niej co się urodzi, to najeźdźcą chłopiec, a co chłopiec to zawsze rycerski mąż. Tuż obok tego szlaku, szedł szlakiem Michał książę Czartoryski Braclawski Wojewoda; pod jego rozkazami ciągnęły piesze pułki, Niemirycza Stefana, Koryckiego, Erlera, Linkanża, Wolfa i księcia Radziwiłła, i konne znaki Czartoryskich imienia. Nad temi znakami powiewa błękitna chorągiew, z niej się wydziera srebrny jeździec, i całym pędem pogoni skakać chce do lubartowego grodu; bo to gród jego pana, pierwsza siedziba tego Jagiellońskiego szczepu. Szósty szereg wojska wiódł Bieniewski Wojewoda Czernihowski, a z nim Daniłowicz Starosta. Samych białorusińskich chorągwi było trzydzieści i sześć, a niemi rotmistrzowali sami białorusini. Drugim szlakiem od prawicy szedł Hetman Polny Jerzy Lubomirski; wielki to pan i dzielny żołnierz; przyprowadził sorokowiec chorągwi wyćwiczonych na Szwedach i na Moskalach; z nim byli dwaj wojenni mężowie: Samuel Leszczyński i Stanisław Lubomirski Starostowie. Po samej prawicy wiódł Jan Wyhowski Kijowski Wojewoda, dwa tuziny swoich chorągwi kozaczych, i pod jego zarządem szło dwadzieścia tysięcy hordy tatarskiej z Nuradynem Sultanem. Kiedy kozacza pieśń zagrzmie, i Perekopce po swojemu zawrzyszczą, wrony koń się zaczwani, hulaszczko wyskakuje jak gdyby wiódł na siebie kozaczego Hetmana, i Janowi Wyhowskiemu się zdaje, że on znowu Ukrainy Panem. Brzechowieckiego ręka gwałtem się wionie do rękojeści szabli, spojrz w górę: przy czapce nie masz czapłego pióra, stuknie rękojeść w rękojeść jak gdyby na wieczne czasy szable zabijał w pochwę, i koniem sadzi tuż, tuż przy Wojewodzie.

Pełno sześćdziesiąt tysięcy ludu było w tem wojsku; prędko ono ciągnęło po Lubar.

Nad Wolyńską Słuczą, w Luburtowym grodzie Książ Sze-remetiew z Moskalami, i Marcin Ciecziura z Zadnieprzańskimi kozakami. Już od parę dni stanęli, i szeroko w koło miasta rozłożyli się obozem.

Het tam w dali widno Lubartowy gród. Tatary na czambuł, lekkie chorągwie w harc biegną, a za tą przepołą wojsko w szyk się stawia. Wielki Hetman chory, febra go męczy, drży od zimna, z pod białych włosów zimny pot kroplami pada, zęby o zęby stukają, a on woła:

— Konia! hej konia! —

Hetman polny: Wojewodowie go proszą:

— Panie Hetmanie, szanuj twe zdrowie drogie dla Ojczy-

zny, spoczniej, póki choroba nie ulży, a znowu będziesz nami przywoził. Inaczej musielibyśmy zdawać ciężki rachunek przed Królem i Rzeczpospolitą.

Starzec powstał na nogi, za kolasę ręką się trzymał, sam drżał i kolasa drżała, a słowa dygotały, i rwały się w połowie.

— Uchowaj Boże, bym ja Senator kolegów Senatorów, Hetman, wojsko miał opuszczać, i to w chwili, kiedy z nieprzyjacielem zewrzeć się mamy? Siedemnastego roku jeszcze nie miałem, a już odebrałem chrzciny wojenne; od tego czasu ani jednej wojny nie opuściłem, żebym tam nie niósł mojego życia na posługi Ojczyźnie; krwią moją i znojem dosłużyłem się wielkiej buławy, przeliczyłem już sześćdziesiąt lat, i teraz mam dbać o życie? jak mazgaj jaki zamrzeć gdzieś w kącie, za piecem, i strawić marnie sławę drogo i po szczeremu nabytą? Nie daj tego Boże, a wy panowie bracia nie namawiajcie mnie do takiej rzeczy. Jak mi sił nie stanie do szabli, to oddechem przeć będę nieprzyjaciela, a wojska mego nie opuszczę. Wrógbym więcej niczego nie chciał; przed światemby głosił: Hetman zląklszy się nas, z pola pierwszy umknął. O nie! tego nie będzie. Hetmanowi na marach wracać z pola bitwy, a nie w kolasie. Hej konia! konia! —

Mowa ta starca z zimna w gorączkę wtrąciła; już twarz się żarzy, i oko żarzy, a kiedy mu konia przyprowadzono, sam w strzemień się podniósł, i na siodle siadł. Dwóch sążnistych hajduków jechało obok, siwy koń stąpał pod Hetmanem, a siwy Hetman do wojska przemawiał.

— Tylko po staremu Mościpanowie, jeśli mamy zginąć, to idźmy na tamten świat w dobrej przyjaźni, tak żeby Hetman z was był rad, a wy radzi z Hetmana. Jeśli zwyciężymy, co nam Bóg pewnie da, to trzeba żebyście mieli za co dobrze mnie w oczy patrzeć, a ja żebym mógł wam powiedzieć: dziękuję Waszmoścjom. —

Młodym gaszkom jeszcze nieokopconym prochem, ani skierzowanym szabłą, po ojcowsku radził.

— Synu, konia bodź, a ręki nie żałuj; to i będzie dobrze. —

Rajtarom i piechurom niemiecom nic nie mówił, bo to zwyczajnie jurgieltnicy za pieniądze. Słowa za nic mają, a pieniądź u nich rzecz. Przez pułkowników kazał im powiedzieć:

— Jak będzie dobrze, to po dziesięć tyńfów z własnej szkatuły każdemu dam, a jak źle, to poodprawiam do licha i świadectw dać nie każę. —

Tak siwy Hetman zachęcał, i sprawiał szyk wojska. Wszystko było gotowe do boju, jak wóz wysmarowany i zaprzężony, tylko krzyknąć Hau! to i pojedzie.

Jan Wyhowski harcem przywoził. Zadrgało kozacze życie, hulał koniem, z końca w koniec przed harcownikami prze-

biegał, okiem zerkał jak błyskawicą, głosem jak gromem grzmiał rozkazy: jak mu czasem nie stanie na głos, szablą machnął tam i sam, i wszystko się wiało, wszystko skakało w stronę gdzie wojewoda kazał. Prą Moskwę, rąbią, kołą, i z rusznicy jak do zwierza palą. Moskwa się odgryza, ale za pierwsze przekopy umyka, z za przekopów ją wyparli; w miasto się chroni i Lackie wojsko następuje bojowym szykiem, harmaty naprzód się wysuwają, ale wieczór bez litości z szarym mrokiem nadbiegł, a za nim ślad w ślad przysunęła i noc ciemna, družka złodziejom i wilkom, a zła świekra ludziom sławy. W mieście Lubarze na wałach i po nad brzegami Słuczy płoną mnogie ognie, i w Lackim obozie pozapalone ogniska. Na przekorę to ciemnej nocy.

Kiedy tak dwa wojska zdybały się pod Lubartowym gromem, i czekały tylko jutrzni do rozprawy, do Kotelni pod Żytomierz ściągnęło kozackie wojsko z Hetmanem Juryszką. Z Hetmanem był czerniec Filaret i dziewica Putywlanka. Ledwie Juryszka zsiadł z konia i wszedł pod namiot bogaty, kobiercami wysłany, ociągnięty powołoczą, stanęła przed nim dziewica, piękna jak nigdy nie była taką; ale już smutek i zadumienie odwinęły się od niej; oko w oko patrzy Juryszce, ale nie litością, ale nie urąganiem.

— Panie Hetmanie, czego mnie wozisz z sobą, jam ci ani żoną, ani kochanką? —

— Parasko, ja ciebie kocham. —

— Kiedy mnie kochasz, dajże mi wolność i spokój; to jedno w twej mocy. —

— Ja żyć bez ciebie nie mogę! —

— A ja nie mogę żyć z tobą, Panie Hetmanie. —

— Ty będziesz moją żoną! —

— Nie, nigdy! —

— Będziesz Parasko. —

— Ot widzisz. — Dwa palce złożyła na krzyż, i do ust przyłożyła. — Przysięgam przed Bogiem, że nigdy nie będę twoją. — Mówiąc te słowa całowała krzyż z palców złożony. — Puść mnie teraz, puść! —

Juryszka porwał za rękę dziewczę:

— Co ty robisz? Imienia Bożego wzywasz! —

— Już się stało, puść mnie teraz Panie Hetmanie. —

— Dziewico opamiętaj się, ja tu Hetman. —

Postawa Juryszki nabierała niezwykłej powagi.

— Dla tego żeś Hetman, bądź sprawiedliwym; co ci przyjdzie ze zmarnowania młodości biednej dziewczyny? Puść mnie, puść, ja ci będę dziękować, ja ci będę błogosławić. — Szczera

prośba w oczach dziewicy, znakiem pokory chyli się przed Juryszką.

Juryszce twarz ożyła, trzymał się ręki Putywłanki.

— Dziewico, ty mnie nie kochasz. Ja Hetman, ja Ukrainy Pan, sercu rozkazać nie mogę, nie mogę! Nie kochaj mnie, ale zostań ze mną; bądź mi siostrą, bądź mi przyjaciółką; bądź czem zechcesz, ale zostań ze mną. Bez ciebie jabym umarł, bez ciebie stać się gotowym zbrodniarzem, ot takim szkaradnym, jakiego nie było. Parasko, tyś moim Aniołem; gdybyś była ze mną, Konstanty byłby żył, a ja nie byłbym zabójcą. — Jedną dłonią trzymał dłoń Putywłanki, drugą znużenie ocierał z czoła, a taki był blady, jak gdyby krew mu w wodę się zamieniła.

— Widzisz Parasko, tyś ze mną, w Czehrynie nikt a nikt życia nie stracił, i nie straci. Jak ja na ciebie patrzę, jak do ciebie mówię, jak ty do mnie słowo przemówisz, to ja wtenczas taki dobry, tak wszystkich kocham, że dla całego świata chciałbym nieba przychylić, i niebem go nakarmić; a jak ciebie nie widzę, to mi takie zło na sercu siada, że ot tą szablą radbym machał dopóty, dopóki wszystkim głów nie pościnał. Parasko, kiedy nie chcesz być Panią Ukrainy, bądźże Ukrainy Opiekunką. —

Dziewica milczała, ale nie wrywała ręki z ręki Chmielnickiego. On dalej błagał:

— Zobaczysz, ty do mnie przywykniesz, będę ci ojcem w czuwaniu nad tobą, a dzieckiem w posłuszeństwie tobie; będę twoim kochankiem, choćbyś ty mnie najmniej, ani troszkę nie kochała. Powiedz: zostaję, a ja będę szczęśliwym, zrobię co zechcesz. Powiedz: żoną twoją będę, a zobaczysz jak wielkim Hetmanem zostanę, tak wielkim, a może i większym jak był mój ojciec. —

Mieni się twarz dziewicy, mienia się jej oczy, a trudno na słowo, na jedno słowo się zdobyć. Ona czuje, że młody Hetman nad bezdnią stoi, i trzyma się jej ręki jak topielec; niech mu tylko ją usunie, a bezdnia przed nim, a żadnego ratunku przy nim.

— Powiedz słowo, jedno słowo: tak, mów, powiedz tak. —

— A więźniowie w Czehryńskim zamku? —

— Każę uwolnić natychmiast. —

— A ci co tu są? —

— Dwaj Sirkowie? — Zachwiał się trochę głos Hetmański.

— Wszyscy, jacy są. —

— Uwolnić każę zaraz. —

— I z Moskwą się nie połączysz, Panie Hetmanie? —

— Nie, nie, tu będę stał; do Lachów poszlę. —

— Zostaję. —

— Zostajesz! moja luba! moja jedyna! moją będziesz? —

— Twoją. —

Całował jej ręce młody Hetman, i ona mn pocałunków nie wzbraniała; taki był szczęśliwy, że już ni razu nie tknął swojej flaszki, a nie czuł ani przesyty, ani zmęczenia życia, był młody i hoży.

Zaraz słał po Piotra Doroszenkę, i po starszą koczającą, z niemi radził, rozkazy dawał, a mnicha Filareta tam widno nie było. Wszystkim dziw, tego nigdy nie bywało. Leśnicki ten dawny przyjaciel Bohdana Chmielnickiego upatruje w nim podobieństwo do ojca, i nakreca w swojej pamięci, że nieboszczyk Bohdan w wielkiej młodości nie takim głaznym był jak później. Stary Nosacz z Hulanickim rozmawiają.

— Może z niego co i będzie? —

— Jak koń dobrego rodu, dopiero w siódmym roku dzielnieje. —

— To i dobrze, dłużej będzie nam służył. —

— Jak ojciec, będzie kochał naród kozaczy, a jak nasz Iwan, chce z bracią Lachami trzymać. —

— Chwała Bogu, bo już to niechby się tam działo co chciało, a jabym przeciw Iwanowi szabli nie podniósł. —

— O i ja także! to nasz serdeczny ojciec; choć on nas porzucił, mybyśmy go nie byli porzucili. —

Juryszka pokazał się Panom młodcom, i przemawiał do nich już jak nie opętaniec jaki, ale tak jak wszyscy ludzie mówią do rzeczy. Obaj Sirkowie wolność dostali, i sam Chmielnicki dobrem słowem zdjął z nich żal jaki mieli. Asawuła Mazała pojechał z rozkazami do Czehryna, do Ładyńskiego.

Czerniec Filaret stanął przed Hetmanem. Juryszka się uśmiechnął.

— Będiesz rad Filarecie, łaska moja spadła na wszystkich. —

— Wiem o tem. —

— Wiesz i o tem Filarecie, że wojować nie chcę z Lachami? —

— Twoja wola ojczę Hetmanie, ale już nie czas. —

Chciał wziąć na siebie postać pokornego mnicha, nadarmo. Nawykł do rozkazującej dumy, i nawyczka pojawiła się całkowicie. Juryszka to spostrzegł.

— Idź Filarecie, śpiewaj akafest, żeby nam Pan Bóg dobro dał. —

Rzucił głową jak zniecierpliwiony wędzidłem, ale zniósł tę zniewagę, choć ona była rzeczona w obec Piotra Doroszenki. Zamilkł, a Juryszka jeszcze dorzucił słówko jakby tego nie dość było:

— Pójdź Filarecie, zobacz czy tutejsza cerkiew ma dosyć świeczek? —

Mnich stał jakby skamieniały.

— Czego stoisz Filarecie? idź. —

Na słowo się zdobył: — Czy ojciec nie ma mi więcej nic do rozkazania? —

— Nic. — Odwrócił się. — Panie Pisarzu, zaraz będziemy mówili z sobą o wszystkim. —

W trzeciej komnacie spotkał mnich Putywlankę, zatrzymał się przed nią.

— Dziewico, co to się dzieje? —

— Ty lepiej wiesz, ojcze Filarecie. —

— Słuchaj dziewczico, chcesz ty wolności? —

— Jam wolna. —

— Chceszże z tąd wyjechać? —

— Nic. —

— Sirko wolny. —

— Ja wiem. —

— Może chcesz być Hetmańską żoną? —

— Cóż ci z tego, żebyś wiedział moje chcenie, ojcze Filarecie. —

— Co, ja gotówem wszystko zrobić co ty każesz; krasna dziewczico, mów czego chcesz? —

— Ojcze Filarecie zmów pacierz za mną. —

I już mnicha przy niej nie było, tylko zasłyszala mrukliwe słowa: świeczki, pacierz; zapalę, zmówię.

Koło pustej dzwonnicy dwóch ludzi rozmawiało, i tam był jeszcze czerniec Filaret, i starzec rudobrody, rudowłosy jak szerszeń.

— Marcin dobrze powiadał. —

— Chciałem lepiej zrobić. —

— A teraz djabła sprawa. —

— Potrafię jeszcze tu mu zakłócić. —

— Na nic się to nie przyda, nikt tu ciebie nie posłucha. —

— A Zadnicprzańce? —

— Marciniem daleko, a i tam są: Wysoczan, Krzyżanowski. —

— Imieniem Wojewody? —

— Dostańże go. —

— Ja dostanę. —

— I to czy się uda, na dwoje babka wróżyła; a gdyby się udało, to niebezpieczna gra. —

— Cóż robić? —

— W samym zarodzie złe leczyć. Marcin to umie, widziałś w Perejasławiu? —

— Zróbmy to samo. —

— Już nie czas. —

I żadnego słowa przez chwilę słyhać nie było, a potem, a potem starzec się zozmyślał:

— Jedna rzecz. —

— Jaka? —

— Możesz mnie do niej doprowadzić? —

- Nie wiem — to trudno — niepodobna. —
 — Ty tego nie potrafisz. —
 — Co? mów! —
 — Sztuczka sztuczkę zakończyć.— Z pod świty dał mu jakąś rzecz, mnich wziął rękę, i z ręką pod szatę schował.
 — Tym. —
 — Tym samym. Zobaczysz jak nie ustanie, to będzie inakszy. Ty drżysz Filarecie? —
 — Nie, ale bo to. —
 — Słuchaj, jak nie, to daj pokój; idź zapalać świeczki, śpiewać akafest, a nie myśl o niczem więcej: już skończona, ja idę.—
 — Nie, nie, ja skończę. —

Godziny nie upłynęło a czerniec Filaret przechadzał się po pustym sadzie z kozakiem Dejneką; szary mrok krył ich przed okiem ludzkim, a cicha mowa nie leciała w żadne cudze ucho.

— Niech Wojewoda dziś się zjawi, a wszystko będzie za nim. —

— Ja wiem to, ale Marcin? —

— Ręczę za brata, oddawna my pracujemy, żeby pokazać ludowi, że Juryszka to nie Bohdanko; że nie każdy Chmielnicki na Hetmana. —

— Czemuż Marcin tak szył buty Wojewodzie? —

— Wtenczas dopiero kiedy dowiedział się, że nas chce porzucić. —

— No. —

— Tak, tak wierz mi, to wszystko powiedz. —

— Dobrze. —

— Powiedz, że ztąd się nie ruszymy, można nas przeciąć od Moskwy, a Marcin swoje zrobi, ja do niego posyłam. —

— Żeby to temu wszystkiemu prawda była! —

— Zobaczysz, tylko niech Wojewoda pamięta. —

— O! on nikogo nie zapomina. —

— A trzeba spieszyć, bo czas drogi. —

— Spuść się na mnie, nie zaśpię. —

— Ruszaj panie bracie, oto masz kartkę. —

— Dobrze, bywaj zdrów ojcie. —

— Bądź zdrów, niech cię Bóg prowadzi. —

Sam został, chwilę milczał, zaszemrał. Niech djabli was wszystkich prowadzą; potem jak kot sznurkował między drzewa, i podsyczał myśli jakby kocieciem pomrukiwaniem. Tak chodził, tak nudził aż do ciemnej nocy; wrócił do obozu, pod namiot Hetmański idzie. Jerzy Chmielnicki nie biesiaduje, tylko naradza się ze starszyzną. Mnichowi straż szablamy zagroziła

wnijście, tak pan Hetman kazał. Czerniec odchodził i ozierał się na namiot.

Jeden sługa dworak, z myślą w głowie, że łaska pańska to tak, to owak z wiatrem się zmienia, czerncowi gadał:

— Hetman do dworu Putywłankę odprowadził, długo tam bawił i ze starszyzną pod namiot powrócił. Wielebny ojciec musisz wiedzieć, że ma być wesele pana Hetmana. Posłano po Prokopa, a nim Putywłanki ojciec przybędzie, swatowie jutro mają iść do Putywłanki. — Sługa posłaniał głową — dla zwyczaju tylko.

— Czerniec powtórzył: dla zwyczaju tylko — dodał, pójdę. — I do dworu poszedł.

Putywłanka jeszcze nie spała, klęczy przed obrazem Matki dziewicy i modli się; ciemne warkocze strumieniem płyną na śnieżne ramiona; w oczach lży perły zawisły, usta szemrzą, i policu nie boleść, ale dobro jakieś się wila. Z obrazu Matka dziewica łaską na nią patrzy, i promień świecznicy łaską dla niej jaśnieje. Taka ona jasna, jak gdyby anioł stroż w czyste serce swoim tchem wionął; jak gdyby dziewicę ziemiankę swoją anielską jasnością ojaśnił.

Cicho, pomalutku drzwi się uchyliły, i stanęła we drzwiach postać czarna; jedną ręką zwolna od klamki rozprostowuje, a drugą za szatę trzyma. Stała i stoi, z miejsca i kroku nie rusza, niby cień kotary na jaśniejszych drzwiach. A dziewica nic nie słyszy, okiem po za siebie nie rzuca, do Bogarodzicy się modli.

Noc, noc na świecie. Z dworu wychodził ciemny człowiek, ciemniejszy jak tło nocy; między straże przesunął się jak bezcielny duch: nikt go nie chwycił, ni słowem, ni żelazem; dopiero już za strażami ktoś mu drogę zaszedł.

— A co? —

— Śpi. —

— Nie, nie, woli brak. —

— Śpi, śpi. —

— A duma jest? —

— Śpi. —

Wszystko skończone.

I milczenie noc kończyło.

Dzień biały. Lachy stoją i patrzą. Lubartów gród przed niemi, a Moskwy nie widno tam. Lachy na koń, ostrogami dmuchają, a konia wiatrem prą. Tatary na koniach stadami jak

ptaki lecą, hurmy konne jak fale jakie po polu się rozhasały. Już, już lackie konie w Lubarze tętnią, a tam moskiewskiej duszy nie masz! Moskwa znikła za Słucz, w stepy; przed Lachami rzeka, kołmi wpływ i już na drugiej stronie; przed Lachami step, hejże hulać po stepie, u Lachów nie ma żartu.

Koło Nastynnych karczem zachwycili Moskwę, ludzi kołą i sicką, tabory biorą, a moskiewskie wojsko jak gadzina padalec sunie się stepem; ogon kawalkami gubi, a sama pełźnie dalej a dalej.

Lachom jak jastrzębiom białki oczów krwią zaszły, szporami, szablami tną w Moskwę, krew tryska, ziemia się juszy.

Wojewoda Kijowski na wronym koniu skacze, rozkazy daje. Brzechowiecki przy nim; kilka razy jak chart ze smyczy pomknie, Moskala trzepnie, zwali i nazad przybieczy, zaoskomi się i zuowu skomli jak na sinyczy chart, paznociami przebiera jak sokoł na berle: do lotu, do lotu.

Stary Cudnow w dali. Moskwa niby do boju stawać chce, jazdę na powrót wiedzie, a tabory pieszce usuwa dalej. U Lachów trąbią w szyk. Chorągwie się kupią, Hetmani z wojskiem ciągną w kłus. Wojewoda Kijowski pojrzał okiem, raz, drugi; z lackimi chorągwiami w prawo się pociągał, tatarstwo w lewo rzucił, i na nowy harc rozkazy dał.

Aż tu polem kopie jeździec, nie od Moskwy się oderwał, z lasu wyhulknął, półciem przeleciał przed Tatarami, nie jednej strzale się pokłonił, na Lachów skacze, a Lachy nie hukną nań: to pojedynek jakiś. Kiedy zuch, niech podjedzie tu, a dostanie; ręką macha, a w ręku szabla nie błyska. Wojewoda tam podjeżdża, wrony zarżał, zarżał i koń jeźdca; poznali się.

— Dejneko! —

— Dejneko Panic. —

— A co tam? —

— Zdrowi, zdrowi. —

Dejneka konia osadził. Wojewoda naprzód koniem skoczył, chorągwie wiódł, a harcownicy parli Moskwę aż pod sam Cudnow.

XVIII.

POWTÓRE HETMANEM.

— Jeszcze Wyhowscy, jeszcze? — Gonić, łapać tego przekłętego psa! Iść na Lachów! Panie pisarzu, zaraz niech wojsko w pochód rusza; co do jednego wypłenię wszystkich. Z tego kraju step zrobię, taki step szczyry jak na Nogaju; gdzie siola, gdzie grody, tam mogiły porosną. Niech w późne wieki tej ziemi inaczej nie zwą, jak kraj mogił. Kto mi go dogoni i żywego czy umarłego przywiezie, dam mu kraju i ludzi tyle ile zechce, a za każdego Wyhowskiego, pułkowsództwo, zamki i starostwa. Rozumiecie? Do Czehryna posłać; zaraz niech wszystko wywieszają, wszystkich co noszą imię Wyhowskich, co do nich należą. Rozumiecie? Ja każę, zaraz, zaraz. —

Obłąkanym wzrokiem rzucił, a oczy mu były ogniste, jak gwiazdy latawce, ręce w ciągłym hasaniu, a nogi drżały. Nikt mu nie odpowiadał, i on odpowiedzi nie czekał. Wolał Filareta czernca i szedł z nim z namiotu do dworu.

— Ja taki byłem szczęśliwy! wczoraj, ona jeszcze — wszystko, wszystko przyrzekła — Filarecie tyś mówił, ten człowiek nam wierny, a on? —

— Któżby mógł się spodziewać? Ojczy Hetmanie, tyś mnie oddalił od siebie, inni byli przy twym boku. —

— Prawda, prawda. —

— Póki ja byłem —

— Filarecie, trzeba było mimo mnie, czuwać nademną, nad nią. —

— Ja chciałem, nie pozwolono, nie puszczono. —

— Filarecie, ja kazałem. — I głowę tak pochylił, jak gdyby chciał ją zrzucić z pleców, i szli w milczeniu.

We dworze, tam w komnacie gdzie się wczora modliła Putywlanka, na białym łożu, leżała martwa dziewica w biel obleczona; koło niej dokoła gromnice się pałą, u głowy Chrystus

z krzyża na martwą patrzy. Popi czytają modlitwy pośmier-
tne, baby płaczą, jak gdyby to ich własna dziecina pomarła.

Hetman trzymał za rękę Filareta.

— Patrz jaka ładna jeszcze, czyste czoło jak u świętej Pań-
skiej. Ustami tai boleść. O! ją ta śmierć musiała boleć. Prze-
klęty, w modlitwie zabił. O! ona w niebie teraz, prawda Fila-
recie? —

Czerniec zbladł jak kość wiatrem wybielona; przynknął
oczy, a ledwie na nogach utrzymać się może; niby zawiesił się
przy hetmańskiej ręce.

— Filarecie, ty ze mną żalujesz, ona tobie złego nie życzyła,
ona taka dobra. —

Żadnej odpowiedzi.

— Klękniemy, pomódlmy się, za nas, za nas; ona tego nie
potrzebuje, ona w niebie. —

U nóg łoża obadwa ukłękli. Czerniec klęczał przy Hetmanie.

W parę dni później wychodziło z Kotelni wojsko kozacze.
a przed tem wojskiem jechał Jerzy Chmielnicki, cały w czerni
przybrany, i mówił do Starszyny, do wszystkich kto chciał,
i mógł słyszeć:

— Tę moją żalobę Lacką krwią ufarbuję, wszystko będzie
czerwone; po żalobie wesele będzie. —

A te słowa w milczeniu kozaczem konały.

Więcej dziesiątka dni, jak Moskwa stała okopana w Cudno-
wie, a Lackie wojska opanowawszy Cudnowski zamek i wzgórze,
na karku im siedziały. Każdy dzień nowym bojem Lachów wital,
a każdy wieczór nowem zwycięstwem ich żegnał. Takie tchó-
rzostwo padło na Moskali, że żaden za przekop wychylić się nie
śmiał; znosili harcowników przechwałki, urąganie, a łatwiejby
było lisa z nory wywabić dobrem słowem, jak Moskala do bi-
twy. Sam Szeremetiew już Chrystusowi Panu nie grozi, za blu-
źnierstwa suszy i bije pokłony. Na radach Kozłowskiego polega
zupelnie, a na Marcina Cieciorę krzywo patrzy. Cieciora wszyst-
ko na tchórzostwo Moskali zwała, a swoich Zadnieprzańców
w pole wyprowadzić nie chce; znajdzie pozór jakiś i zasłania się
nim, a kiedy mu pułkownicy starzy wyrzucają w oczy:

— W błoto zaprowadziłeś nas. —

— To i wyprowadzę z błota. —

— Ale obłoconych? —

— I żadnej bryzgi na was nie będzie, spuście się na mnie.

Co Cieciora przyrzecze to i dotrzyma; żeby nie ten Juryszka,
zobaczylibyście coby to było. Kiedy on nam skrewił, to w inną
stronę uderzymy, ja pewny swego. —

Do obozu Lackiego zwiadnicy przywieźli wieść: Juryszka
z Kozactwem w Słobodyszczach obozem stanął. Hetman wiel-

kiej buławy polecił wyprawę na Kozactwo trzem tropom wojska: pod Hetmanem polnym, Chorążym Koronnym i Wojewodą Kijowskim.

Wojewoda Kijowski nikomu nie mówił, ale markotność mu z oczów patrzyła. Brzuchowiecki kilka razy chciał zaczepić wuja słowem, ale stanął, popatrzył i nie powiedział. Wojewoda myśli cudze zgaduje.

— Grzegorz, pójdziemy przeciw naszym braciom — może. —

— Wuju, ja będę przy tobie. —

— Grzegorz, zostań tu. —

— Nie, gdzie ty, tam i ja. —

— Gdybyśmy nie poszli, możeby gorzej było; przelew krwi bratniej zatrzymać możemy. Ja stanę w obronie Kozactwa. —

— Stań na czele. —

— Z tego możeby była wojna. —

— Wieczny pokój. —

— Trudna to rzecz, już teraz nie czas. —

— Zawsze czas. —

Pod namiot wojewody wsunął się człowiek jakiś. Brzuchowiecki ku wnijsciu się zwrócił, to nieznamy, a jednak do szabli się nie wziął, tylko w bok zemknął. Człowiek ten pokłonił się.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. —

— Na wieki wieków. — Odpowiedział Wojewoda.

— O pomówienie kilku słów z Panem Wojewodą proszę. —

— Słucham Mosanie Vulpiusza. —

Mędrak obrzucił wzrokiem po komnacie, i Brzuchowiecki na znak Wojewody wyszedł ztamtąd.

— I jakże Panie Wojewodo, czas i wypadki nie zmieniłyż twego postanowienia? —

— Nie. —

— Gdyby cię jednak, Panie Wojewodo, dobro Ojczyzny, wola Króla Jegomości, powołały na nowo na Hetmaństwo kozackie? —

— Tobym na Ukrainie nie pozwolił się gnieździć, tylko temu, komu mi się podoba. —

— Panie Wojewodo! —

— To nicodzowne moje słowo, i o tem już nie mamy co mówić. —

— Więc żegnam Pana Wojewodę. —

Wrócił mędrak do Pana Muchawskiego, z którym ot nie więcej dwóch godzin jak przyjechali.

— Illustrissime domine, czy już po harapie. —

— Już. —

— Tak się sprawić, to warto SC z koroną, tym sposobem

nie zmarudziemy ani czasu, ani ludzi. I jakże Dominus Wojewoda? —

— Uparty, zawsze myśli o Hetmaństwie koronnem. —

— Ja nego; raz już Lubomirski uchwycił buławę przed moim charissimus patronem; toż przynajmniej dygnitarz z dygnitarzów, z czubatego rodu; ale ten to chamem trąci.

— A jednak to być może. —

— Za przeproszeniem Illustrissime Domine, nego, nego i potrzykroć razy nego, jak to nam mówili uczniowie retoryki i filozofii. Żeby on miał Salomonowy rozum a Samsonową siłę, to się koronnej buławy nie dochrapie. —

— A jak się dochrapie? —

— Domine professor, ja powiem jedną przypowiastkę. Ot ztąd niedaleko w Piatce, na pół drogi do Słobodyszcz, jest w miasteczku cerkiew blahocestliwa; przez ciekawość tam kiedyś poszliśmy, i widzieliśmy taką rzecz: jest namalowany bohomas, a to taki. Na żółto-gorącym tle, niby to w kraju bardzo ciepłym, gdzie słońce piecze, jak ogniem w hucie, kłęczy młodziutki człowiek, jakiś Izaak, jak mi mówiono żyd, tylko nie z Berdyczowa, ale gdzieś tam z daleka ze starego Testamentu. W drugim końcu stary człowiek mierzy się do niego ze strzelby, ten się Abraham nazywa; taki ojciec Izaaka żyd z tego samego miejsca, a z góry anioł wodę spuszcza na samą panewkę, a pod spodem napisano: Neutnesz Abrahame Izaaka. Otóż i ja tak zrobię reverendissime pater, że będziecie: Neutnesz Pane Wyhowski polnej buławy.

I mędrak sobie pozwolił, rozśmiał się.

— Bene, bene, Dominus Muchawski, bonam notam będziesz miał. —

— Deo gratias, illustrissime domine. —

Świętego Michała kozaczego archanioła dziś, a w Słobodyszczach Kozacy praznikiem nie obchodzą. Nad Hnyłopiatem po lewym brzegu, na wzgórzach rozłożyli obóz, i poglądają ku Piatce; zamtąd Lachy ciągną. Starzy Atamani doświadczeni uczniowie Bohdanka, towarzysze Jana Wyhowskiego radzą.

— W pole, w pole, mamy jazdy huk. —

Ale młody Hetman zoczył Lackie wojsko, i już mu nie hula-szczo, ale jeszcze tai, postawą nadrabia, udaje Hetmana.

— Tu w taborze będziemy się bronili, a jak się wymęczą Lachy, wtenczas na nich, i wszystkich co do jednego w pień; nie żartujmy, kiedy mamy bić. —

Pan Pisarz odważył się przedstawić:

— Harmat nie mamy, w polu jazda to znaczy, a tu nie wiele zrobi, zmarnieje. —

— Nie zmarnieje, ja wiem co robię; tak robić, jak ja każę. —

Czerniec stał i potakiwał tej mowie.

Z Piatki idą Lachy, a za Piatką słońce zachodzi. Trąby trąbią do natarcia, z obu skrzydeł chorągwie za chorągwiami na tabor wpadły, tylko środek idzie wolno, bój się zaczął, bój dziarski; a gdzie kozaczy Hetman?

Srebrny anioł w swój dzień na Kozactwo z chorągwi patrzy, kary buńczuk wieje, a nie widno czapłego pióra.

Trzykroć razy Lachy na tabory wpadli, trzykroć razy napad Lacki Kozacy odparli; krew się bratnia lała, dzieci jednej matki kładły trupem jedne drugich. A żaden ptak nie przyleciał patrzeć na to; płastwu Ukrainy srom, żal. Nocy żal się zrobiło, strzepnęła w czarne skrzydła i przykryła niemi świat.

Bój ustał, Starszyna Hetmana szuka, a Hetmana nie ma. Pod Hetmańskim namiotem dwóch mnichów kłęczy i modli się, barania czapka z czapleń piórem wala się po piasku. Jeden z mnichów wstał, to czerniec Filaret; drugi wciąż kłęczy.

Jeszcze bardziej jak za zwyczaj posępiły się wąsy Starszyny, Leśnicki głos zabrał:

— Ojciec Hetmanie, odparliśmy Lachów, ale dzień nie daleki; znowu trzeba się wziąć do pracy, jakie twoje rozkazy? —

Kłęczący mnich w głos odmawiał modlitwy.

— Juryszko, ja przyjaciel, najdawniejszy przyjaciel Bohdanka, my wszyscy nieodstępni jego towarzysze, przychodzimy do ciebie po radę, co robić mamy? Radź nam po Hetmańsku bitwę, to wszyscy gotowiśmy zginąć; albo mir z bracią Lachami, i w tem sromu nie ma. Na modlitwę będzie czas, a radząc narodowi któremu się panuje, to tem najlepiej się pana Boga chwali. —

Juryszko nie odpowiadał, a modlitwy nie przerywał. Mnich Filaret mówił ale z cicha:

— Panowie Starszyna, do Ciecziury przebojem możemy się dostać, a gdyby trudno było to spełnić, u ojca Hetmana jest dosyć złota, a Tatarowie na nie tylko czyhają. Kupimy sobie drogę; połączeni razem lepiej sobie radę damy. —

Sirkowie się zburmusili.

— U psa Tatara, Bisurmana, kiedy mamy żelazo, złotem kupować? —

A Piotr Doroszenko dodał:

— Tu ojciec Hetman, Ciecziura niech tu przyjdzie; nie nasze miejsce przy Moskwie, a jego przy Hetmanie. —

Leśnicki prawie gwałtem podniósł Juryszkę, a ten go się prosił:

— Zostaw mnie, ja cierpię i pokutuję. —

— Hetmanie, już świt nie daleko, w pole już nie czas; czy mamy się bronić, czy poszlemy do braci Lachów? —

— Co chcecie. —

Kląkł i modlił się. Starszyna odeszła.

— Filarecie, daj mi fłaszę. —

Pił, pił, hymny śpiewał, akafest prawil. Darino Filaret chciał w nim rozbudzić krew Bohdanka. Juryszka ani pamiętał o Hetmaństwie, ani przypominał nawet Putywlanki, tylko usypiając jeszcze błagał:

— Filarecie, do monasteru jedźmy. —

Dniem zabielał świat. Lackie wojsko w bój idzie, Hetman polny prawemu skrzydłu przywodzi, a Chorąży koronny lewemu, Wojewoda Kijowski sam rdzeń bitwy wie dzie. Harmaty lackie grznią, słońce wywołują na niebo. Wszystkie szable lackie nagie w górę podniesione, czekają by chwycić pierwsze słoneczne promienie na błogosławieństwo. Od czasu kiedy ksiądz mszę świętą na jutrznię odprawił, jak przy podniesieniu Ciała Bożego dobyli szabel, tak już ich nie schowali w pochwy. Dwie tylko szable drzemały w pochwach, a ci ludzie w samym przedzie na wronych koniach jechali, wojsko wiodli.

Z taborów kozacze rusznice grznią jedne po drugich, jak stukot zębów sześcierni, jak turkot tarabanów. Słychać lackie trąby, harmaty hucznie palą. Z obu skrzydeł pancerni, husarze szablicami, piersiami końskimi łamią wozy; pocztowy między przerwy się wślizga. Niemców pieszych Nuradyna horda popycha w bój. Lacy wodzowie złączą z koni i w tabor wojsko prowadzą. Kozactwo się broni, kroku nie ustępuje; kosą we łby końskie płata, siekierą nogi podcina, a szablą w szable Lachom dzwoni. Bitwa na dobre się zaczęła.

Ale cóż to tam? dziw! dziw! cud Boży! łaska Pańska! czy archanioł Michał z nieba spadł między swoje Kozactwo? Jak tylko rdzeń bitwy lackiej do taborów przyparł, umilkły rusznice w duch, i słychać w niebogłosy:

— Żyj, żyj nasz Hetmanie! Sława Bogu! Sława tobie! Nasz ojeze! nasz panie! Żyj! żyj nasz Hetmanie! —

Z pomiędzy taborów stado czarnego ptastwa pierzchnęło, i chmurą i słupem w górę leci; to kozacze czapki.

Lachy stanęli jak wryci, nim zagrzmiały wodzów głosy mi-rem. Tatarowie po swojemu głoszą, mir między bracią, mir między dziećmi jednej matki.

Słońce weszło patrzyć na to, bracia orły i sokoły ze słońcem przylecieli, szybują nad kozaczym obozem.

Wychodzi wojsko z taborów, kureniami staje. Asawulowie końmi skaczą, Attamani kurenni przed młodcami hasają na koniach. Starszyna się czwani, młodce hulaszczą zawijają. Malinowa chorągiew rozpięła się, jak blacha w powietrzu stoi.

Srebrny Archanioł uapanoszył się, w niebo mu się lecieć nie chce, takby żal było Kozactwo opuszczać; czarnym włosieniem rozrzucił się buńczuk, z wiatrem hula, hula i czaple pióro nad baranią czapką u jeźdca na wronym koniu, ze strzałką białą, z zandnią nogą białą. Stary to Hetman.

Kozactwo Janowi Wyhowskiemu czaple pióro dało, i prosiło: Odbierz co twoje, tobie w nim dobrze, a nam dobrze z tobą. Przypiął czaple pióro do czapki. — Biorę, biorę! — I wszystkim stanęły przed oczyma Konotopy. Taki to wódz teraz hetmanił kozaczemu wojsku.

Gdzież Jerzy Chmielnicki, zrzucony Hetman? Przed Janem Wyhowskim stoi. Krew dwóch braci o pomstę woła, a pamięć Bohdanka o opiekę. Hetman skinął ręką:

— Synu Bohdana, jedź kędy zechcesz, bądź panem swej woli, jam ci opiekunem. —

Jak dziecina płacze, jak winowajca na kolana pada Juryszka, dziękuje, po przebaczeniu o przebaczenie błaga.

— Wstań! Jan Wyhowski za swoje przebacza Jerzemu Chmielnickiemu, bądź szczęśliwy. —

Kozacy głębokiem milczeniem jeszcze raz poszanowali pamięć nieboszczyka Bohdanka. Hetman po swojemu czaple pióro szabłą musnął, i poprowadził wojsko kozacze stepem na Piatkę.

Juryszka szuka Filarcta, a czernca nie ma, i nikt o nim nie wie gdzie. Zabrał służbę co mu dzisiejszy Hetman zostawił; lżej mu, czaple pióro nie cięży; tęsknił za Putywlanką, i jechał do Kijowa, do monasteru.

Za Piatkę wyszło wojsko, na dwa szlaki poszło; prawym kozacze, lewym lackie; w poręcz idą, na siebie patrzą, a Tatarstwo po polu się posypało. Hetman kozaczy, wzrokiem szparki sokoł, zerknął i już widzi, zwinął koniem, zagadał, a pan Asawuła koszowy w duch z kopyta, sadzi wronym chyżej ptaka; przed Hetmanem połnym jakby stuknął konia osadził, i grzmi w słowa:

— Moskiewskie tabory wyszły z Cudowna. Pan Hetman wielkiej buławy już zaczął bój, ot tam. — Ręką wskazał. — Nasz ojciec koszowy od lasu przetnie. —

— Dobrze, dobrze. — Powiedział Jerzy Lubomirski, ale słowa te leciały za czwałującym już Asawułą.

Od moskiewskiego wojska szybował orzeł duży, a nie wysoko, na kozaczemi kureniami skrzydłem trzepotał, pióra gubił. Lackim pułkom także ze skrzydeł pierza namachał, a Tatarom

tak się z bliska chciał przypatrzeć, że go ręce tatarskie z powietrza ujęły. Wróżba to wróżba, Moskwie koniec zły. Za ojcem Hetmanem kurenie w klus kopią, pod lackiem pulkami ziemia tętni, a na Cudnowskich polach bitwa już po swojemu pogrywa.

Hetman wielkiej buławy z Cudnowa wyparował moskiewskie tabory i grzmoci i bije: Lubomirski w obroty wziął Moskwę; Hetman kozaczy drogę przeciał uciekającym, kureniami młodce natarli, lasem spis sunęli w oczy, i Moskwę ścielą w pokot. Sądny dzień na wojsko Kniazia Szeremetiewa, sądniejszy na samego Kniazia.

Srom, srom, Moskiewskie trąby proźbę o rozejm grają, i z moskiewskiego obozu posłowie prosciele idą. Trzej Hetmani zatrzymali swoich.

Idzie Marcin Cieciora, przed Janem Wyhowskim się kloni; na pokorę spuścił.

— Ojciec Hetmanie, pókiś był z nami, pótymy wierni byli. Juryszka zła narobił. Wracasz nam ojciec, i my wracamy do ciebie; bądź nam opiekunem, poręczycielem przed Królem Jegomością, przed Rzeczpospolitą. —

Silą woli markotność Hetman z twarzy spędził.

— Ojciec przebacza dzieciom. I Król Jegomość nie zechce w gniewie zostawać na dzieci Polski. Mam nadzieję, będę pośrednikiem waszym, raczej naszym, przed Królem Jegomością, i Hetmanami i Rzeczpospolitą całą. Ciężki grzech wasz, niechże będzie szczerą pokutą, i naprawa dobra. —

Przed trzema Hetmanami, czterema Wojewodami, Chorążym koronnym i Nuradynem Sultaniem, stanęli Akinof i Książ Kozłowski, zmiłowania proszą. Wodzowie Lacey radzili, i stanęło: Wojsko moskiewskie broń złoży i w niewolę pójdzie. Nuradyn Sultán o Kozactwo Cieciorę się dopominał.

Hetman kozaczy powstał:

— Nuradynie Sultanie, ja ci za nich zapłacę żelazem czy złotem. —

— Od ciebie Panie Hetmanie dość słowa: dziękuję. —

— To dziękuję. —

Obadwa przyłożyli ręce do serca, a potem do rękojeści szabli, i kochać się i bronić się przyrzekli.

Kiedy Marcin Cieciora przed Panami Hetmanami wierność Królowi Jegomości i Rzeczypospolitej przysięgał, Nuradyn Sultán za rękojeść szabli trzymał, i groził mu cały czas.

Nazajutrz dzień przy jasnym blasku słońca, pulkami moskiewskie żołdactwo wychodziło z taborów, z bronią w ręku, w całym rynsztunku wojennym. Stefan Niemirycz, Podkomorzy Owrucki, w pysznej barwie od złota, drogich kamieni, i jaskrawych farb błyszczącej, siedział na białym koniu, także

w rząd zlocisty z drogiemi kamieniami przybranym; koło niego poczet sowity buńdiucznych jeźdźców, a za nim regimenta piechoty w szyku bojowym rozwinięte. Był on tam niejako zastępcą Króla Jana Kazimierza.

Grały trąby, kotły brzmiały, wiwatową palbą huczały harматы, pułki moskiewskie przeciągały, a oddawszy wojskową cześć Niemiryczowi, składały rynsztunki, broń, konie w ręce lackie, a same szły w tatarskie Jassy.

Szeremetiew patrzył z obozu na ten srom, taki nieczestny w wojennem życiu, jak przechód zwyciężonych pod szubienicami dawnego Rzymu, i dławił dwa orły, towarzysze tego co mu uleciał z rana i powrózył nieczęść. Trzy on je z sobą z Moskwy przywiózł, miały one z Krakowa lecieć do białego Cara zapraszać na Królestwo Lackie, a teraz w Jasyr im, w Jasyr razem z Kniaziem Szeremetiewem iść.

Takie było zwycięstwo lackie, takie na nowo bratanie się dzieci jednej matki. Od Lubaru, Lachowie gęsto mogiłami poznaczyli zwycięzki pogon aż pod sam Cudnow. Za Cudnowem na lewo sypią mogiły, na znak gdzie się bratali Kozacy z Lachami moskiewską krwią. Tatary ku czarnemu szlakowi pogнали moskiewskie żołdactwo z Kniaziem Szeremetiewem w Jasyr, za Perekop. Lachy weselą się i hulają. I Kozactwo hula, družba, braterstwo z Lachami. Sławny Hetman, serdeczny ojciec wrócił im.

Biesiada była u Hetmana wielkiej buławy, kiedy wszedł pułkownik Muchawski, a z nim Vulpius. Muchawski rubasznie panom Hetmanom się pokłonił.

— W tej właśnie chwili pocztowy mój znak przydażył, i przywiózł mnie papiery mniej pilne do Waszmości Panów Hetmanów, i do Pana Wojewody Kijowskiego. — Oddał każdemu z nich papiery.

Medrek Vulpius swoje słowa ustami zamknął, a oczyma śledził cudzych myśli. Pomarkotniały twarze obu Hetmanów i wielkiej i polnej buławy. Hetman kozaczy ani trochę się nie zmieszał; przeczytał.

— Wszystko zrobię co będę mógł, żeby było zadość woli Króla Jegomości. —

Obaj Hetmanowie do niego przystąpili.

— Kolego. — I zacięli się w mowie.

— Tak Panowie koledzy Senatorowie, byłem waszym kolegą, Hetmanem niespełna doba. Chwała Bogu, że to na coś się zdało. —

Wyszedł od panów Hetmanów, i zebrał Starszyznę kozaczą. Odpiął czaple pióro od czapki. Oni patrzą, a on pokazuje papier w ręce.

— Panowie Starszyna, panowie bracia, odebrałem pismo od Króla Jegomości, naszego ojca. Mówi on, że milemby było i jemu i Senatowi Rzeczypospolitej, gdyby Hetmaństwo Ukrainy dostało się Pawłowi Teterze, mojemu siostrzeńcowi. Spełniam jego wolę, i proszę was o to. Oddaję wam czaple pióro, coście mi dali, z nowem zwycięstwem nad wrogiem, z nową zasługą przed Królem Jegomością i matką Polską. —

— Nie, nie, ojcze Hetmanie, nie rzucaj nas! —

— Ja was nie rzucę, ja z wami będę. — Trudno mu mówić.

— Bądź nam ojcem! —

— Król Jegomość nam ojcem, jego słuchajmy. —

— Co nam Król, co nam Lachy! My twoi. — Starszyna koszowa zawołała, Zadnieprzańce i Przednieprzańce rejestrowi milczeli.

— Panowie bracia, słuchajmy Króla Jegomości. — I położył czaple pióro, a sam wychodził. Starszyna przyjść do siebie nie może, a sławnego Hetmana już między nimi nie ma.

Jan Wyhowski był u siebie pod namiotem wojewodzkiem, chciał posmucić się sam na sam, ale i tego mu nie dano, cieniem wsunął się mędrak.

— Panie Wojewodo, jeszcze czas. —

— Do czego? —

— Zostać Hetmanem. —

— W brew woli Króla Jegomości być nim nie chcę. —

— Wola Króla Jegomości by się skłoniła. —

— Miałem jej objawienie. —

— I ja mam. — Z rękawa dostał papiery. — Panie Wojewodo, my wiemy co byś mógł zrobić dla Kościoła, dla Polski, gdy byś chciał. I Król to wie, i cały Senat to wie. Tu mam wolę królewską, bądź Hetmanem Ukrainy; możesz być czem zechcesz, tylko zrzuć uprzedzenie z twego serca. —

— Nie rozumiem. —

— Pozwól nam wracać Ukrainę Kościołowi, pozwól, żeby Zgromadzenie tam było. —

— Nie. —

— Panie Wojewodo! —

Nie. —

Mędrak rzucił w ogień papiery, papiery się paliły, a Hetman jeszcze powtarzał: Nie.

Przed świtem z obozu wyjechał pan Wojewoda Kijowski. Rejestrowce strapieni rozstali się z Lachami i szli na Ukrainę. A młodce Zaporozża nim poszli tam, na polu bitwy ze swoim prawem przed Lachami się popisali: czapki w górę rzucili i zakrzyknęli:

— Żyj! żyj nasz Hetmanie, Grzegorzu Brzuchowiecki! Ty nasz ojciec, ty nasz Koszowy!

Grzegorz Brzuchowiecki pokłonił się wszystkim.

— Przyjmuję, będę wam Koszowym. —

— To dziecko serdeczne naszego sławnego Iwana. Nic bez niego nie zrobi, taki będzie jak on. —

— Żyj, żyj Panie Koszowy! —

Do czapki Brzuchowieckiemu przypięli czapkę pióro. I na Zaporozie młodców powiódł Pan Koszowy.

XIX.

ZAKON KOSZOWY.

— Córo naszego Bohdana, ratuj kozaczyznę, ona wasza, ona Chmielnickich! Twój brat Jerzy już nie Hetman. Jan Wyhowski znowu hetmaństwo zabrał, frymarka na buławę, w Ukrainie płacz! tyle krwi naszych ojców się przelało, tyle kozacych kości pruchnieje na to, żeby Ukrainie panował inny, nie Chmielnickiego ród. Krasna Pani, ty zachowasz od nieszczęścia nasz naród, naszą wiarę, naszą sławę; ty córo Chmielnickiego, Hetmana nam daj! —

Czerniec Filaret stał przed czarnobrewką i te słowa do niej mówił, a w Helenie krew ojcowska gra; dziecina to jego rodzona, dusza w duszę ojcowską wykapana, w samowolę już trąca i w dumę buja. Czerncowi nic nie odpowiada, a Pawła Teterę do siebie wołać każe.

Staje przed nią pułkowiec Czehryński, okiem jej woli pyta.

— Teraz przyszedł czas; Pawle Tetero, chcesz mej ręki, bądź Hetmanem, czaple pióro do wzięcia dla tego co ma serce i wolę; a krew Chmielnickich z twoją połączona, zapewni tobie i twoim Hetmaństwo. Tego chce Ukraina, tom ja córka Bohdana winna Ukrainie. —

Duch ojca wcielił się w córkę, w niewieścią krasę czarnobrewki wstąpiła wola Pana. Na kogo spojrziała, komu słowem rzuciła, to temu ją kochać i słuchać, a nic więcej.

Paweł Tetera Czehryńców zbiera; Niżyński pułk Ładyńskiego który wyszedł z miasta po pierwszym rozkazie Juryszki z Kotelni, a drugiego dopełnić nie mógł, teraz wchodzi do miasta, z Czehryńcami się brata.

Czarnobrewka skrwawionego pióra już nie szuka, tylko mówi do siostry:

— Siostro moja, jeśli kto winien śmierci mego męża, to nie

kto inny, tylko Jan Wyhowski, jego to duma pełnęła na zły czyn Daniela i Pawła. —

— Heleno tego nie mów, a kto pełną Konstantina? —

— Chęć pomsty za brata. —

— Twoje słowo. —

— Ja nie wiedziałam. —

— A teraz zbroisz siostrzeńca na wuja? —

— Stefanido, jam szcudrzejsza jak on. Dobro nasze, Hetmaństwo Chmielnickim wydziera, a ja mu oddaję żonę, dzieci i wszystko co jego. —

— Nie, tyś sama z Chmielnickich rodu, Heleno. —

— Chceszże żeby starzec, nad grobem już stojący hetmanil kozactwu? —

— O! gdyby on tu był, tybyś im nie hetmaniła. —

— A któż? on? —

— Nie on, ale Jan Wyhowski. —

— I tożto gada Chmielnickiego córka? —

— Chmielnickiego córka, kozaczka.

— Nie, to Laszka, krew matki w tobie gada. —

Zmierzyła siostrę takim wzrokiem dzikiego urągania, jakim niegdyś poglądał Bohdan Chmielnicki na żonę Laszkę, wdowę po Czaplńskim; kiedy ona przemawiała za Lachami.

Szła do kozactwa ojca językiem przemawiać, szła wyzwolić Pawła Teterę z kłopotu; widziała na jego twarzy to wahanie się, jakie słowo, jaki czyn na świat objawić, ale wiedziała i to, że on ją kocha, i pewna była swego.

W tem nowy goniec w Czehrynie staje. Wprost Teterze się kłania.

— Ojcie Hetmanie panuj nam, taka wola Króla Jegomości. Jan Wyhowski Wojewodą Kijowskim i niezem więcej, Grzegorz Brzuchowiecki Panem Koszowym; ale ty nam wszystkim Panem. Hej Panowie bracia w górę czapki! Żyj! żyj Pawle Tetero! nasz ojcie, nasz Hetmanie! żyj! żyj Ukrainy Panie! —

Kozaki i czapki i wrzaski w niebo sypnęli, a Paweł Tetera nisko się kłaniał.

— Taka wasza wola, taka wola Króla Jegomości. Przyjmuję. Niech mnie Bóg błogosławi, jeśli będę wam dobrze służył, a jeśli w czem przekroczę, niech mnie i Bogi i ludzie skarzą. —

Z czaplem piórem u czapki stawił się przed Heleną.

— To twego rodu. — Wskazał na czaple pióro. — Ja twój sługa, rozkazuj, ja słucham. —

— Pawle Tetero, żałoba się kończy, jam ci żoną, tyś Hetmanem Ukrainy; skarby moje i życie na twą wolę, na twą sławę. Pójdziemy po Ukrainie ze złotem, z żelazem, a myśl mego ojca stanie się życiem, i żyć będzie po wieki wieków.

Gońcem dobrej wieści był Marcin Cieciora, a z nim przybył Naum polhany; duma zabiła pomstę w sercu czarnobrewki; skrwawione pióro w ogień rzuciła i patrzyła jak płonęło do ostatka. Stara piastunka przy tem była, ruszyła ramionami.

— Tylko żałoba po mężu kochanku jej została. Starzec ze stepu prawdę, prawdę przepowiedział. Bodaj nie wszystko było prawdą.

Tegoż samego dnia na Czehryńskiej Mogile trzech ludzi się zeszło i rozmawiali z sobą:

— Wszystko przepadło. —

— Nic, nie, wszystko na dobro idzie. —

— Jak to? —

— Ku zagubie najstarszego orła; jak jego nie stanie, to wy stanicie, tylko nie tak róbcie jak dotąd. —

— Ja ojeze Naumie robiłem wszystko com mógł. —

— Ty Marcinie, nie mówię, ale Filarec. —

— On się poprawi. —

Niech się stara. — Słuchajcie teraz, ty Filarecie wracaj do monasteru, trudno umarli zmartwychwstają, ale czeruce łatwo kołpak na kozaczą czapkę zamienić mogą, rozumiesz Filarecie. —

— Rozumiem. —

— Ty Marcinie dmuchaj zuzuli w ucho na starego orła, reszta samo pójdzie. —

W tej chwili puszczyk zapuhaczał, zaskrzypiała wierzba.

— Pójdzie, pójdzie, byle starego orła się pozbyć, i złoty ptak i zuzula swojemi skrzydłami nie daleko polecą. Poczem Filarecie twoja będąc rzecz, Czernca rękami połapać te ptaki, a twojemi tego ptaka, tylko jednej trzeba rzeczy. —

— Jakiej? —

— Żeby pana Koszowego w tancie wyprowadzić. —

— O! to rzecz trudna. —

— Zapewnie, ale bez tego nic nie można; on może urość na takiego orła, jakim dziś stary. Pamiętam ja, o pamiętam dobrze, co mu przepowiedział jeden ze znachorów, najślawniejszy na całym stepie; dzieciną był jeszcze w kolebce, a znachor mu gadał. — Jest mu step ojcem, morze matką, koń i szabla dziećmi; część wojenna rodzoną siostrą, a sława kochanką; jak raz porośnie w pierze, to już mu nikt lotu nie zatrzyma. Polec, polec, wysoko, a krwią ziemię zaleje szeroko. Ptakiem będzie się uwijał i tędy i tędy, a wszędzie tłukł, nikomu druh, tylko Ukrainie. —

Nocznica przyleciała nad ich głowy, wiankiem latała, i świerkała jak pisklą.

— Żle to, źle synowie; albo wam, albo jemu to wieszczbar—

— Kto nic nie waży, to nic nie ma; jabyń mówić szabla naj-
lepiej. —

— I na szablę przyjdzie czas, a teraz wy jedźcie w swoje
drogi, a ja w swoje; ja pójdę do Kosza. Moja stara głowa, mnie
na świecie żyć najmniej warto, my młodzi jeszcze, przed wami
wszystko. —

Krom naoczniczy nikt nie widział jak się rozchodzili, a naoc-
znica nie plotka.

Zaporoże, szczerza pustynia! rzeki płyną, stoją jeziora, roz-
sochate dęby, starce, a dzieci pustyni, kręglakami rosną, a ni-
gdzie mieszkania ludzkiego, grodu nie widno, ani siola dojrzeć.
Nie sieją tam, nie orzą; smagławe bydło brodzi po burzanach.
po obłokach tabunami konie hasają, a nigdzie obory. Mołodce
cwałują w tę, w ową stronę, nigdzie szlaku i drożyny nie masz,
a po śladach mołodców i djabełby się zbłąkał; chyba za wilka
skokiem, chyba za orła, za sokoła lotem dążyć. Wiley, orły i so-
koły, gdzieś tam się niosą, nie po żer, ale w zwiady: czy pano-
wie mołodce wyszli z Kosza, wtenczas na gwałt wabią braci,
i w tropy za mołodcami, z ochłapów pohulanek będzie im żyru
za doś, za długo.

Do koła tej pustyni palanki, o gonę jedna od drugiej, a mię-
dzy palankami, co pięćset kroków stoją rusztowania smolnych
beczek, piętrzące się w górę od dziesięciu aż do jednej w trój-
ką; od góry do dołu przez środek spada sznur smolony, na
dole bezustanku ognisko się pali, a koło ogniska dzień i noc,
zimną i latem, grzeje się mołodce, a przy nim brat koń, osio-
dlany, nie rozkelzany. Palanki wysokie, na jednym słupie jak
gołębnik, na dachu siedzi mołodce; jak gołąb strażnik wzro-
kiem na daleko goni. W palance więcej ich być musi, a koło
palanki pasą się konie czutkie, na pogwizd umne. Niechno tam
z palanek wojsko jakie zaoczą, w duch, prędzej błyskawicy
strzał huknie, rusztowania jasnym ogniem płoną, a mołodce
przez pustynię w cwał skaczą, i bydło przed sobą gonią, a ta-
buny za niemi sadzą. A jakby cudem jakim, z tamtąd gdzie oni
polecieli, sunie ćma mołodców, las spis przed sobą niesie na
pocalunek gości, goście co nieczesną stopą chcą deptać step
świętych pańskich. Pustynia to nie ludzi, ale świętego Bazylego,
świętego Jana, świętego Antoniego, świętego Pawła, a cała świę-
tego Michała Archanioła.

Srebrny Archanioł tam mołodcom siedzieć nakazał, powie-
dział: wyście moje wojsko ziemskie, was tu stawię na obronę
chrześcijaństwa. Wam być przedmurzem chrześcijańskich krain,
wam nieść krzyż pański przez lądy i morza między niewierne
ludy. Rzekł i słowo jego się stało.

W pośrodku pustyni stanęła Sicz, Kosz mołodców. Nie ma

tam murów do koła, tylko przepony drewniane, ale młodców pierśi staną za wały, za mury. We środku nie masz zamków, i pysznych domów, ale jest podostatkiem wszystkiego do życia i do wojny, a bogactw to nasypem w zasiekach. Cerkiew Boża pod złotem się gnucie, złotem i srebrem się podpiera. A dzwony cerkiewne z czystego srebra lane. Ale co tam największem bogactwem, to panowie młodce.

Jak czterdzieści dni wielkiego postu, tak na czterdzieści kureników młodce się liczą, a w każdym kureniu do tysiąca braci; to krzyżownicy chrześcijaństwa, to zakon koszowy. Każdy kurenik ma swego przeora i zwie go Atamanem kurenym. Starszyzna jak kapituła się zbiera, naradza i czuwa nad dobrem zakonu, a pan Koszowy jak wielki mistrz młodcom chrześcijaństwa przywodzi.

Nie znają na koszu ni niewiasty, ni uciechy światowej. Kiedy wyprawą na niewiernych idą, to na trunek nakazany post, zakonnik Koszowy walcząc i ginąc za wiarę, duch wiarą napawa. W Koszu wolno mu pobiesiadować, ale wszystko tam wspólne: i prosty młodiec i pan Koszowy, jedno jedzą, jedno piją i jednako mieszkają. Tam zakonne braterstwo, ale i posłuszeństwo zakonne. W Chrystusowe słowo, bracia wszyscy duchem, i jak cerkiew przykazała, czezą i słuchają głowę swoją, pana Koszowego.

Jeśli kto z chrześcijaństwa do Kosza zajedzie, tam mu chleb, sól i družba braterska.

I Kozak i Lach zostać może bratem Koszowym, jeśli ma wiarę dla Boga, jeśli ma serce i ramię do boju, bez tego nie tam po nim.

Zna Bisurman, zna Tatarzyn, co to zakon Koszowy. Niech Budziak i dzikie pole, niech Nogaj i Zaperekopie wygada, ile razy Pan Koszowy z młodcami, z ogniem, z mieczem biegał tam do Tatarzyna w odwiedziny. Niech Czarne morze wyśpiewa ile razy pan Koszowy hulał po niem i po swojemu Bisurmańskie okręty w taniec brał. Niechaj powie Siedmiowzgórzy Istambul, Trebizonda, Synopa i Azyjskie kraje, co niejedyn pan Koszowy z młodcami dokazywał tam. Niech się prawda, jak jasne słońce wyświeci, a świat pozna, co to zakon Koszowy.

Cóż to tam za praznik w Zaporozkim Koszu. Srebrny dzwon zadźwięczał, i młodce kureniami stanęli. Atamani przed kureniami: Chaneńko, Sirkowie, Hohol, Szabatyn, Zuzulicz, Woronicz: Czajka i wszystkie te ptaki Zaporozża, co pod Konotopem byli, i cała ta starszyzna, której Jan Wyhowski przywodził pod Konotopem i pod Cudnowem. Przyszedł i pan Koszowy; nie masz orła we wszech stepach Ukrainy, coby bystrzej patrzył

jak on; w ruchach było orla pauoszenie się i w mowie klekotanie orle.

— Panowie bracia, Ukrainie źle; dzisiejszy Hetman do stu djabłów się zwyzuwiał. W Braclawskie już ich naprowadził. Naszemu ojcu i panu grożą. Myż mamy spać na to? Pójdziemy bronić naszego ojca, w Ukrainie robić ład. Nam nie kto inny ojciec i pan, tylko Jan Wyhowski. —

— Sława Bogu, ojcze Koszowy, pójdziemy, pójdziemy! —

— Teraz pohulajcie sobie, a jutro w pochód. —

— Żyj, żyj w długie lata, w sławę, ojcze Koszowy! —

Dziwny to był ojciec Koszowy, przy tych koszowych dzieciach. Pomiędzy dziećmi już wielu, wielu śnieżno-włosych jak łabędzie a większa część szpakowatych od wiekowego szrona, a ojcu Koszowemu nie dawno jak wąż na dobre rośnie, i włos ciemny, świeży jak u młodzieńca.

Mołodce hulają, a do pana Koszowego przyjechali jacyś goście: obadwa starce, jeden wojenny mąż, a drugi lirnik. Wojenny mąż pokłonił się.

— Ojcze Koszowy, kiedyś i ja byłem mołodcem Zaporozża, a ciebie znalazłem ojcze Asawulą przy naszym sławnym Hetmanie Janie Wyhowskim, ty mnie nie poznajesz.

— Znam ciebie, ty Prokop Osadniczy. —

— Ja ojciec Putywłanki tej, którą Juryszka pojąć chciał za żonę, a którą zamordowali zabójcy Daniela Wyhowskiego. —
Schmurzył czoło pan Koszowy.

— Bisie przekłęty, nie tyż byłeś strażnikiem putywłańskiego zamku. —

— Ja byłem, ojcze Koszowy, ale ja tam słuchałem, a nie rozkazywałem. —

— Któż tam rozkazywał? czy nie Juryszka czasem? —

— Nie ojcze, Cieciury. —

— Marcin, ten zdrajca i zmiennik. —

— I Czerniec Filaret: oni zabili moją córkę, i twego wuja ojciec Koszowy. —

— Mego wuja? psiawiary! dwóch wujów! —

— I wdowa po Danielu, i Hetman Tetera zapomnieli o pomście. —

— Ja nie zapomniałem. —

— Oni teraz odbywać mają wesele. —

— I ja tam pojadę, zdążę na dobrydzień. —

— Ojcze Koszowy, sprawiedliwość nam zrób. —

Brzuchowiecki pomyślał trochę.

— A gdzie teraz te psy Cieciury? —

Lirnik porwał się do mowy.

— Panie Koszowy, ja to bywalec, znam wszystkie kątki na

Ukrainie, jak gdyby były na mojej dłoni; daj mi dziesięciu młodców, a takich jak ja wybiorę, a zobaczysz czy ci obudwóch Cieciorów nie dostawię, albo w ręce nie wprowadzę, jak tylko z Zaporozża wyjdiesz na Ukrainę. —

Ucho nastawił pan Koszowy, okiem wiercił po starym lirniku.

— Hej Panie Asuwało! —

Wszedł Karpenko.

— Tego djabła gdzieś znam. Panie lirniku, obejdziemy się i bez twojej pomocy, a w zastaw nam zostaniesz. —

Ojcie Koszowy. —

— Dosyć, dosyć tego; wziąć go pod straż i pilnować jak oka w głowie, a Atamanów Sirków tu prosić, oni i bez lirnika dotropią Cieciorów. —

Kiedy sam został z Prokopem, węża pogładził.

— To Naum pohany, ja coś wiem o nim. —

— On przyjechał do mnie podmawiać, abym jechał do was, ojcie Koszowy. —

— On to wychował tych Cieciorów, i bezustannie się włóczył. —

— Już to on ojcie włóczęga zawolany. —

— Djabeł trafił na djabła. —

Jeszcze tej samej nocy obaj Sirkowie wyruszyli z Siczy z kilkudziesięciu młodcami, ale takimi dziarskimi, co to i djabła dotropią, i djabła złapią, jak pan Koszowy każe.

Nazajutrz dzień starszyczna, Atamani, młodce i sam pan Koszowy, wszyscy a wszyscy szli do spowiedzi. Na trzeci dzień była msza święta w cerkwi Przczystej Dziewicy, dzwony dźwięczały, z harmat palono sto i oko razy. Ciało i krew pańskie pożywali młodce, starszyczna i pan Koszowy.

Kiedy siedli już na konie, Błahoczynny Zaporozkiego Kosza, wyszedł z krzyżem i błogosławił. Z odkrytymi głowami wojsko błogosławieństwo przyjmowało i dopiero poszło w pochód. Pan Koszowy w samym przedzie a czterdzieści kureni za nim. Szli przez pustynie świętych i śpiewali hymny na cześć każdego świętego, a srebrny anioł w chorągwi nad Zaporozkiem wojskiem płynął, a pan Koszowy przodem jechał, niby Namiestnik Archanioła. Takim obyczajem szedł na wyprawę zakon Koszowy.

XX.

I KTOBY SIĘ SPODZIEWAŁ.

W Chwastowie, w zamku Metropolity Kijowskiego był wielki zjazd. Metropolita Topolski dawny to przyjaciel Chmielnickich i Wyhowskich, obu sławnych rodów Ukrainy; Bohdanowi Chmielnickiemu rówieśnik latami, wielką drużbę mu niósł. Jan Wyhowski rósł pod jego okiem i radą, i zaskarbiał dla siebie najserdeczniejsze uczucia starca. Takim sposobem świętobliwy kapłan Ukrainy związał swoje życie z życiem dwóch dzielnych Hetmanów Kozactwa. Rodziny Chmielnickich i Wyhowskich uważał jak swoje, i kiedy mir w Ukrainie nastął, chciał, żeby cała ta wielka rodzina pomierzyła się z sobą. Sprosił wszystkich do Chwastowa na ślub Heleny z Pawłem Teterą, i wszyscy się zjechali, krom Pana Koszowego.

Ślub się odbył, i wszystko dobrze szło.

Z rana po mszy świętej, pod starą lipą, którą i Metropolita i Neczaj zapamiętali młodocianem drzewem, zasiedli oni dwaj, a z nimi Jan Wyhowski trzeci. Z Istambulskich lulek ciągnęli sultański tytun, przez cybuchy antybki, przez munsztuki z kapuścianego bursztynu, i o sprawach ojczystych rozmawiali. Wojewodzina i obie Czarnobrewki Bohdanka Chmielnickiego także rozmawiały z sobą nieopodal.

Hetman Ukrainy przechadzał się z Juryszką Ihumenem, i rozmowy między niemi nie było. Hetman rad szczęściem, zazdrośny w szczęściu, jak samolub się nim cieszył. Ihumen w żalu niepocieszony, nie śmiał niem klócić uszów cudzych.

Czerniec Filaret nieodstępny Ihumena, jak kruk samotnik wilał się i po ogrodzie kradł słowa z każdej rozmowy. Kozak Dejneka bawił dziatwę Wojewody. I pamięć Daniela, Konstantyna i Putywlanki nie przychodziły mieszać miru. Metropolita to zrządził słowem Bożem:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. —

Zdało się, że w zapomnieniu potonęła przeszłość, a przyszłość do wszystkich się uśmiechała. I Metropolita powtórzył razy kilka.

— Panie nad Pany! Święty Boże! dzięki Tobie. —

A białe włosy starca tak jaśniały, jak gdyby się zapalał błogosławieństwem Bożem, i niem się rozstrzelał na ludzi.

Mały chłopczyk, dziecina Wojewody, w harcu na kiju, w szermierce z drewnianą szablą stanął przed ojcem, szabelką machał, kijem niespokoił.

— Tatu, tatu, czy to takim sposobem zostawać Hetmanem Ukrainy? —

Uśmiechnął się Wojewoda, poklepał syna po ramieniu.

Takim moja lubo, trzeba się tego bić za Ukrainę, a poczciwie służyć matce Polsce.

— Oj Tatu, tak będę się bił jak ty; i tak będę kochał matkę Polskę, jak ty.

— To i dobrze moje dziecię.

— To i będę Hetmanem Ukrainy takim jak Paweł, a przynajmniej panem Koszowym takim jak Grzegorz?

— Kiedy sobie zasłużysz, i taka będzie Boża wola.

— Oj że zasłużę, to zasłużę. I poharcował dalej do matki: niby już Hetman, niby Pan Koszowy. —

Przed Wojewodziną już stała córeczka, z drobnym piórkiem czaplinem w ręku.

— Mamo, czy ja będę kiedy taka jak Helena?

— Jak to taka, moja ty mała doniu?

— Czy ja będę mogła, kiedy jak będę wielka, dać mężowi czaple pióro jak ona? —

Nim matka odpowiedziała, zburmuszony chłopczyk fuknął.

— Co też ty plecisz? mnie tato powiedział: będziesz tego bił, i poczciwie służył Polsce, to będziesz Hetmanem Ukrainy; widzisz że, to ja Hetman. Tato był, i ja nim będę. —

Chciał wydrzeć piórko siostrze, umknęła ręki.

— Widzisz, Juryszko grzeczniejszy jak ty, on swoje oddał Helenie.

— Ja nie taki Czerniec, jak Juryszka. —

Wzniósł się na palce i napanoszył się na prawdę.

Matka pogroziła.

— Zgoda, zgoda, idźcie się hawić. —

Stefanida się uśmiechała, a krasa wystąpiła na lice Heleny. i sama do siebie w myśli gadala: — Ledwie od ziemi odrośli a już o hetmaństwie marzą, zawsze Wyhowscy! Czyż Ukrainy buława ma być piłką dla gry Wyhowskich i Chmielnickich po wiek wieków! O nie!

W tejsze samej chwili Czerniec Filaret przybliżył się do Hetmana Ukrainy, i opowiadał mu rozmowę dzieciny z ojcem, uchem skradł wszystko od słowa do słowa. Tetera odpowiedzi swej nie dał, zakrył myśli przed Czerncem, ale poszedł pod lipy, do Metropolity się zwrócił.

— Święty nasz ojcze, na rozkaz Króla Jegomości, na żądanie Pana Wojewody Braclawskiego, dałem moje przyzwolenie, aby zgromadzenie Jezusowe mogło tam zamieszkać. Jeżeli Pan Wojewoda Kijowski będzie tej samej myśli, dam moje hetmańskie przyzwolenie.

Wojewoda mu oko w oko spojrział.

— Panie Hetmanie Ukrainy, mego przyzwolenia na Wyzwiotów nie dam.

— A jeżeli Król Jegomość rozkaże?

— To tak porzucę Województwo, jakem porzucił Hetmaństwo. —

Podniósł się i odszedł Jan Wyhowski.

A Metropolita ręce złożył.

— Zmilujcie się na Boga, na miłość Ojczyzny was zaklinam, zgoda, zgoda, moje dzieci.

Przed samym obiadem w goście do Metropolity przyjechał Pan Pulkownik Muchawski. Ważna to teraz osoba na Ukrainie, Namiestnik Pana Wojewody Ruskiego, a Pan Wojewoda Ruski z królewskiej ręki wysłany tam z królewskim wojskiem, i ma przy sobie prawo miecza. Zwyczajne w ziemi, gdzie jeszcze ostatki wojny domowej tlały i wszystko było gotowem do rozdmuchu, byle iskra jaka.

Pan Muchawski przywiózł Wojewodzie Kijowskiemu nowy datek królewskiej szczydroty, dwa Starostwa Baru i Rudy, wiecznem prawem dla niego i jego potomstwa. Król i Senat Rzeczypospolitej nagrodzili tem Cudnowską sprawę.

Przy obiedzie były huczne wiwaty, za zdrowie Króla i Królowej Ichmościów, za pomyślność matki Polski, sławę Ukrainy, ojca Metropolity zdrowie, Janowi Wyhowskiemu cześć, Królowi i Senatowi dzięki za szczydrotę dla męża Ukrainy. Niech żyje dzisiejszy Hetman Ukrainy! I tak dalej odliczali długi szereg wiwatów.

W głowach się chmieliło; to co było w myśli, stanęło na językach, z dna kielichów wydobyto szczyrość na jaw.

Hetman Ukrainy kielich pełny w rękę wziął, i przekąsem mówił.

— Niech żyje Pan Wojewoda Ruski, od dawien dawna go-dzien każdej buławy; w rękę Pana Wojewody kijowskiego.

— Niech żyje Pan Wojewoda Ruski! Powtórzył Jan Wykowski, wypił i kielich przesłał dalej. —

Helena szepnęła Muchawskiemu.

— Bez dodatku o buławie. —

Jak koń narowisty poderwał głowę Lach. Z kielichem powstał.

— Mosanie Kijowski, za Bar i Rudę zgoda z ojcami Jezusowego zakonu.

Zczerwieniał Jan Wyhowski jak to u niego rzadko, chwycił za butelkę i w kielich aż przelał wina.

— Ot tak! Prodam Bar i Rudę, a zahram Wyzuwitam w dudę. —

Duszką wypił i kielichem bryznął o ziemię. Choć pjan, wszyscy zamilkli, bo mąż Ukrainy się zasierdził, i stał wielki gniewem.

Biesiada tak się skończyła. W kilka dni później, Korsuń gród Ukrainy, patrzył na srom kozaczy, na srom! bo kilku z lichoty kozaczej, przyjechało skarżyć na sławnego męża Ukrainy, przed kim? przed jakimś tam Lachem. Między tą lichotą, był Hetman Ukrainy, siostrzeniec Wyhowskiego, i rodzona córka Chmielnickiego Bohdanka.

Przed Panem Muchawskim stanęła Czarnobrewka, Pani Ukrainy:

— Hetmaństwo, co Król Jegomość dał memu mężowi, Jan Wyhowski chce wydrzeć; dzieci swoje tego uczy. Zaporozkie wojsko na to w Ukrainę sprowadza. Pan Koszowy już wyszedł z pustyni, na Braclawską ziemię wstąpił, i to czyni bez rozkazu Króla Jegomości, bez wiedzy mego męża, Hetmana swego i Pana.

— Hetmanowo Ukrainy, Pan Wojewoda Ruski wszystkiemu temu radzi, sprawiedliwość zrobi. —

Córa Chmielnickiego Bohdana, któremu Król Pan powiedział: Ja dla waszego narodu nic zrobić nie mogę, ale wy macie szablę i muszkiety, dla mnie zrobić możecie wiele. U Lacha jednego sprawiedliwości zebrała, i po jego słowach nie umarła ze sromu. Duma i zawiść z podejrzeniem się pobratały, i Bohdana krew schyrlała nawet.

Hetman Ukrainy Panu Muchawskiemu mówił:

— Ja wierny Królowi Jegomości, radźcie teraz, bo on po naszą i po waszą buławę sięgnie, a może i dalej pójdzie.

— Zaradziemy temu, a ty Hetmanie Ukrainy, jedź do Czehryna i tam rejestrowe wojsko zbieraj.—

Tak Pułkownik laski dawał nakaz Hetmanowi Ukrainy, a Hetman słuchał. Srom! srom! na wieczne czasy srom!

Przybiegł Marcin Cieciora:

— Pułkowniku Muchawski, dowód mojej wierności ci niosę. Starzy pułkownicy Zadnieprskiej Ukrainy, Wysoczan, Krzyża-

nowski, Głuch i inni, kozactwo bechtają przeciwko dzisiejszemu Hetmanowi Teterze, a wszystko to za powodem Jana Wyhowskiego; sam na własne oczy widziałem pismo Neczaja.

— Dobrześ Waś zrobił pułkowieco kozaczy; będziesz miał za to nagrodę.—

Nie pierwszyna Cieciorze to rzemiosło, przyjął słowo jak bywalec.

A po nim stawił się Juryszka, błady przestraczem, a oczy miał zapłakane łzami.

— Putywlankę zamordował, a teraz jedynego przyjaciela wydarł! —

— Kto? kto? Czerncze, mów wyraźniej.

— Jan Wyhowski, a któż inny? W drodze mnie napadli i porwali Filarcta, mego przyjaciela! —

— Tego czernca? — ba świat przez to nie zaginie, ale Waści sprawiedliwość będzie, skarzę hultajstwo.—

I syn Bohdana Lachowi dziękował. Gdyby był Bohdan zmartwychwstał, umarłby po raz drugi; jużby mu nie żyć na świecie, kiedy taka sromota padła na jego ród.

Muchawski rad z siebie nadął się. Lach o mało nie pękł i już z góry gadał do mędrka, żeby pisał dwa listy; jeden do Wojewody Ruskiego, z doniesieniem o wszystkim, i z zapytaniem co ma robić; drugi do Wojewody Kijowskiego, aby się stawil natychmiast, do zdania sprawy ze swych czynności.

— Zaraz niech tu się stawi. —

Mędrak uśmiechnął się, siadł, pisał, a potem czytał Panu Muchawskiemu. Na cały list do Wojewody Ruskiego, głową kiwał:

— Tak, dobrze. Illustrissime domine! nauczymy chama, będziemy jemu grali w dudy. — Podpisał. —

Ale kiedy mędrak zaczął czytać:

— Miłościwy Panie. — Jako do Senatora i męża sławnego w boju i radzie, pospieszam do Waszmość Pana z prośbą, abyś raczył zjechać do Korsunia dla obmyślenia wraz z Panem Wojewodą Ruskim środków do ratunku Ojczyzny. Many pewne wieści, że Moskwa Ukrainie znowu zagraża. Pan Wojewoda Ruski przezemnie o to Waszmość Pana jak najusilniej uprasza. A ja pewny jego gotowości do posług Króla Pana nam miłościwego i Rzeczypospolitej. Polecając się względem Waszmość Pana, i oczekując jego przybycia, zostaję najniższym sługą. —

— N. S. Domine Professor, prośbę do chama pisać, ja tego nie chcę, nie zrobię.

— Inaczej tu go Waszmość nie sprowadzisz.

— To pójdę tam i tu go przyprowadzę; sic volo i kwita. —

W tem wbiegł jeden z poruczników.

— Panie Pułkowniku, Zaporozce tu na rynek wpadli, porwali Marcina Cieciorę i powieźli.

— A Waściowie co na to?

— Nimeśmy się zebrali, już ich nie stało; jak djabli wlecieli, i wylecieli jak djabli.

— No, to sęk. Niech całe wojsko pod broń staje. Idź Waszczé a prędzej.

— A cóż teraz Mości Pułkowniku?

— Żle Domine, ja mam cztery tysiące wojska niespełna.

— A oni czterdzieści i to spełna.

— Tak, tak, no to już podpiszę. — Wygryzmolił podpis: Muchawski. —

Tegoż samego dnia dwóch gońców pobiegło, jeden do Konstantynowa, gdzie był Wojewoda Ruski, drugi do Chwastowa, do Kijowskiego Wojewody.

W trzy dni później, przybiegli dwaj gońce, jeden od Pana Wojewody Ruskiego z pismem, drugi z Chwastowa z doniesieniem, że Pan Wojewoda Kijowski jedzie.

Zywo Pan Muchawski sąd wojenny ze swoich zwołał, i kazał spisać wszystkie zarzuty przeciw Janowi Wyhowskiemu.

Pisma Pana Wojewody Ruskiego nikomu nie pokazał, nawet mędrkowi, ale powtarzał wciąż:

— Dam mu ja, dam.

Słońce ku wieczorowi się chyliło, mglił się świat wieczorem, kiedy przyjechał Wojewoda Kijowski. Nieliczny z nim poczet, ledwie kilku ludzi, i wierny kozak Dejneka.

Muchawski wyszedł na przeciw, niby przez uszanowanie dla Senatora, podawał mu ramię w pomoc do zsiadania; ledwie Wojewoda nogę przez siodło przeczucił, chwycił go w pól i gwizdnął; wypadli pocztowi. Szablę Wojewodzie wyrwali, samego pochwycili i wnieśli do zamku.

Wojewoda tylko krzyknąć miał czas:

— Zdrada! zdrada! niekzemniki! —

Na sługi jego wpadli i wiazali.

Po tym nieczestnym czynie Pan Muchawski wszedł do komnaty, gdzie był Wojewoda pod strażą. We drzwiach za pierściami straży mówił:

— Janie Wyhowski, oskarżony jesteś o zdradę przeciw Królowi Jegomości, przeciw Rzeczypospolitej, wzywam ciebie przed sąd.

— Mnie, Senatora, Wojewodę, przed jaki sąd? tylko Król i koledzy Senatorowie mnie sędzić mogą.

— Ja ciebie sędzić każę.

— Ty, niekzemny podstępco!

— Ja, ja, czytaj, zarzuty, tam dowody. —

Ze złości trzął się Muchawski, a był czerwony, mało go krew nie zabiła.

Wojewoda odtrącił papier.

— Precz! Senatorskiej godności nie ubliżaj.

— Więc cię zaoecznie sędzić każę.

— Zrobiłeś podłość, rób zbrodnię, a ztąd idź precz! —

Wojewoda do straży ani słowa nie przemówił. I oblicze jego choć gniewne, było spokojne.

Pół godziny nie upłynęło, Muchawski wychodził z sędziowskiej izby i zdybał Vulpiusa:

— Cóż tam?

— Śmierć!

— To się nie godzi.

— Tak osądzili.

— Bez prawa, bez sumienia.

— Tak chciał Pan Wojewoda Ruski.

— To być nie może!

— Czytaj Domine. — Dał mu papier, i wskazał palcem, i w głos sam czytał. — Sądzić i uciąć łeb. — Widzisz Illustrissime, wyraźnie.

— Pan Wojewoda tu nie jest.

— Ja go zastępuję.

— Zmiłuj się Waćpan, co chcesz robić!

— Spełnić wyrok.

— Na Boga zatrzymaj się, ja to na siebie biorę.

— Nie.

— Panie Muchawski, to zbrodnia.

— Niech i tak będzie, już się stało.

— I inaczej stać się może.

— A podstęp, a więzienie.

— To się naprawi.

— Nie, wolę być zbrodniarzem. —

Darmo mędrzek wołał i groził.

— Kara Boża na ciebie! —

Nie zwolnił i kroku Muchawski. A mędrzek się zaśmiał jak szatan.

— Przepadła Ukraina dla Polski! A dla mnie jeszcze zasługa, że ja wstrzymywałem od zbrodni. Srom Polsce! Wojewodzie Ruskiemu! Nienawiść Jezuitom! Zguba! zguba temu plemieniowi, i jam to wszystko zrobił, ja!

Szyderezej od samego szatana chychotnął.

Wszedł mędrzek do komnaty więzienia:

— Janie Wyhowski, osądzonyś na śmierć, przyszłą ci spowiednika, przyszłą ci twego sługę, gotój się do śmierci. —

U okien, u drzwi stały strażę; wpuszczono Dejnękę. Jan Wyhowski patrzył na twarz jego boleścią skrzywioną, ale jeszcze tchnącą dzikiem męztwem.

— Dejneco mój, zbrodnię popelnia.

— Panie mój, ja umrę za ciebie, a nie dam ciebie.

— To na nie się nie przyda.

— Ja umrę z tobą.

— Nie, Dejneco, ty moją wolę zawieszysz tam.

— Panie, Panie!

— Tak ja każę.

Szpinkę z kontusza wydobyl, ostrzem w rękę zapuscil, pergaminu éwiartkę rozwinął, przedarł na dwoje i krwią na jednej pisal:

— Nie kazń jaką na mnie spełnili, ale moją wiarę, moją sławę, całe moje życie zostawiam w puściźnie wam. Służcie Ukrainie, ale zarazem służcie matce Polsce, to wam pod błogosławieństwem nakazuję. Módlcie się za mnie, bom i ja grzeszny. Bądźcie zdrowi, Bóg niech wam dopomaga.

— To dla moich dzieci i żony. —

I na drugiej polowie pergaminu krwią pisal:

— Lach jeden, czy kilku Lachów, nikizemną zbrodnię wymierzą na mnie; ale Polska temu nie winna. Z nad grobu cię proszę i nakazuję, nie targaj się na matkę naszą. Bądź opiekunem żonie i dzieciom moim, bądź opiekunem i dziedzicem tyloletnich zasług moich u Króla i Rzeczypospolitej.

— Grzegorzowi to oddasz Dejneco. Ostatnia to służba twoja dla mnie. —

Dejneka w ręce Pana całował, jak bóbr płakał, a Wojewoda był spokojny.

Przyszedł kapłan Boży, i Wojewoda się spowiadał, pożywał ciało i krew Pańskie, a potem zapłakał.

— O! nie nad sobą ja płaczę, ale nad tem co będzie; nad Polską. —

Brzask dniowy ledwie się przerzucil po niebiosach, słyszy Wojewoda zbrojnych stapanie. Dejneka ciśnie ręce w kulkę; skoczył ku drzwiom. Wojewoda ręką go odsunął.

— Tam stać, a wara. —

Drzwi się otworzyły, a nikt wprzód iść nie śmie. Głos Muchawskiego niepewnie brzmi.

— Idźcie! prowadźcie go!

— Precz, precz, ja Senator Wojewoda, kto mnie tknąć śmie. —

Progu nie przestępuje żaden. Muchawski pięściami im grozi.
Wojewoda kontusz rozpiął.

— Tu zabijcie, jak zabójcy.

— Ognia! ognia! strzelaj! — Muchawski wrzasnął. —

Kilka strzałów huknęło.

Wojewoda schwycił się za serce, zachwiał się, a Dejneka przykląkł za nim, i ciało pańskie już martwe na klęczkach przyjął. Krew Jana Wyhowskiego na niego padała, padała na Polską ziemię.

W Chwastowie co to się dzieje tam?

Wojewodzina garnie do siebie dziatki, otula ramionami, a łzami zmywa im jasny włos.

— Mamo, mamó! co tobie jest takiego? — I płaczą.

— Wy sieroty, a ja wdowa! — Płacze.

Służba, pokrewni, w smutku toną.

Dejneka trzyma wronego konia pańskiego i obóm tak smutno, jak gdyby w grób szli.

Neczaj zatrętwiał w gniewie, i w żalu chwycił się za rękąjęść szabli, i już jej nie puszcza.

Za Chwastowem kureniami młodce stoją, na koniach ze spisami, do lotu.

Na boku trzy pale sterczą, a na palach trzy trupy wstrzemione, jeszcze krzywią twarzami, zębami zaciskają duch, żeby się nie wyparł; to dwaj Cieciorowie i Naum Pohany.

Pan Koszowy na wronym koniu, i sam zemstą wrony, szablą błyska.

Przed nim białowłosy Metropolita, z krzyżem w ręku, błaga.

— Nie, nie święty ojcze! Oni początek dali, ja koniec zrobię. Krwią, nie łzami Lachy popłaczą, dam im, dam.

Szablą machnął na młodców, i z kopyta wszystko runęło: za nim, za nim!

Ziemia jęczy, słońce krwawo zachodzi, na krew; a białowłosy Metropolita jeszcze ku niebu krzyż wznosi.

— Nie daj Boże!



PRZYPIS.

Cała powieść o Janie Wyhowskim jest osnuta na tle jak najwierniej historycznym. Historycy piszący pod wpływem moskiewskim dzieje kozaczyzny, oskarżają Jana Wyhowskiego o zabicie w brew wszystkim działaniom Bohdana Chmielnickiego, oddając Ukrainę pod opiekę Polski. Historycy pod wpływem Polskości piszący, robią zarzut, iż był przeciwnym obrządkowi łacińskiemu, szczególnie zaś Jezultom, i to było główną przyczyną jego śmierci. W archiwach Owruckich znajduje się protokół śmierci Jana Wyhowskiego, i tam za główniejszy powód kładną wymówienie jego przy biesiadzie: *prodam Bar i Rudu a zahraju Wyzwoitam w dudu*. Stefan Czarniecki, ten znamienity bohater Polski, najzaciętszy wróg Kozaczyzny, był głównym sprawcą śmierci Hetmana Ukrainy; Muchawski był jego narzędziem. Nieszczęśliwy ten wypadek był najważniejszym powodem odstrychnięcia Ukrainy od Polski. Grzegorz Brzuchowiecki mszcząc się śmierci Wuja, hojną krwią dokonał tego rozbratu.

Nie było to celem mojej powieści, rozbiierać słuszność lub niesłuszność niechęci, jaka panowała na Ukrainie przeciw zgromadzeniu Jezusowemu. Tu w Paryżu poszukując w bibliotece Jezuickiej zasobów do mojej powieści, od jednego z tych ojców, którego przedmiotem jest zajmować się historją, słyszałem o dowodach, jakie posiada. Że w Niemczech, w Hiszpanji, a zatem zapewne i w Polsce, było bractwo intrygantów, powiększej części złożone z kaczerzy, którzy przybierali na siebie imię Jezuitów, aby onych jako najgorliwszych żołnierzy stolicy Świętej osławiać, a tem samem szkodzić kościołowi katolickiemu. Wprowadziłem tedy onych w moją powieść.

Jerzy Chmielnicki człowiek mizerny, ile razy miał przemawiać do Kozactwa, używał opjum; pod Słobodyszczami starszyzna musiała go gwałtem wyciągnąć od modłów. Helena Chmielnicka naprzód za Danielem Wyhowskim, a potem za Pawłem Teterą była przyczyną zguby męża, i intrygowała przeciw Janowi Wyhowskiemu; ogromna duma była tego powodem. Takie są podania historyczne.

W powieści Koszowata umieściłem zarys pracy, którą zamierzyłem sobie wykonać; pracy, któraby dowodami historycznymi przekonała o owej nieprawdzie: że kozacy nie są czem innym tylko hajdamactwem, utworzonym

przez banalukaizy. Nowe takie banaluki czytałem w powiastkach świeżo wyszłych, gdzie powiada autor bezimienny, czyli raczej nieboszczyk będący pseudonimem, że Hetmanem Koszowym nie mógł być nigdy *pisarz*, ani też taki, co umie czytać. Jan Wyhowski nim został Hetmanem Ukrainy, był Koszowym, a przedtem pisarzem; tak samo z pisarzy postąpili na Koszowych Hetmanów: Piotr Doroszenko, Konstantyn Horodeński i Filip Orlik. Wyjazd mój z Paryża nie pozwala mi dopełnić podjętej pracy, muszę ją odłożyć na później.

25 Marca 1841.



1002 - 01 - 0101



1993-07-06

21.05.1999

2009-09-02

2011-03-21

2013-09-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
W GŁIWICACH

SA 13593